

LEONARD CARPENTER

CONAN WYRZUTEK

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE OUTCAST
PRZEKŁAD MAREK MASTALERZ

Dedykuję Terri i Tomowi Pinckardom

PROLOG

Ósmego dnia, w ósmym miesiącu, ósmego roku swego panowania, kiedy od siedmiu już lat miasto nękała susza, król Sarku Anaksymander obudził się późnym rankiem. Wtedy właśnie ujrzał objawiony obraz.

Król ocknął się z głębokiego, kamiennego snu. Blask słońca, który złościł ciężkie zasłony wychodzących na taras okien wskazywał, że jest o wiele później, niż monarcha zwykł wstawać. Anaksymander czuł się wypoczęty i pogodny, bez wątpienia częściowo za sprawą powiewających za zagłówkiem jego łóżka szerokich palmowych wachlarzy. Ożywczy, rześki powiew przyjemnie chłodził przez całą noc kształtne ciało monarchy.

Niewolnice powoli wymachujące wachlarzami – dwie miłe dla oka Zamoranki o jasnej karnacji i bujnych, odsłoniętych piersiach – nauczone były wykonywać swoje zadanie w całkowitej ciszy. Najdrobniejszy szmer, otarcie chropawym liściem o skórę śpiącego władcy – czy też, w przypadku jego bezsenności, niemiarowość wachlowania wystarczająca, by wzburzyć chociażby pasemko namaszczone pachnidłami włosów lub kędzierzawej, przyszczyżonej w kształt cegły brody – najprawdopodobniej spowodowałyby śmierć jednej lub obu niewolnic na nieludzkich torturach. Król Anaksymander powtarzał sobie, że to jedyny sposób, by zapewnić idealną sumienność służby.

Tego ranka, miast jak zwykle przytknięciem wypielęgowanych palców przywołać lokajów i konkubiny, monarcha uczynił rzecz niespodziewaną. Podniósłszy się z twardej, zimnej pryczy, okrył królewską nagość cieniutką, jedwabną kołdrą i nie zważając na klęczące pod ścianą komnaty niewolnice, zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi wiodących na taras. Ignorując chcącą go wyręczyć służkę, własną dłonią odciągnął zasłony i wyszedł na werandę. Natychmiast poczuł na skórze pałace promienie porannego słońca.

Przed Anaksymandrem roztoczył się znajomy widok – z jedną wszak odmianą. W dole znajdował się miejski plac, o tej porze prawie zupełnie pusty. Było już tak gorąco, że nieliczni nędzarze i żebracy kryli się w wąskim paśmie cienia pod północną ścianą pałacu. Z wysokości tarasu trudno było stwierdzić, ilu z nich skołało z pragnienia, a ilu jedynie nie miało siły się poruszać. Za dziedzińcem i wąskim pasem pokrytych dachówką wojskowych baraków znajdowały się mury miejskie – grube, niezmiernie wysokie, opatrzone w spiczaste blanki przypominające zęby piły. Stale pełnili tam wartę strażnicy miejscy w stożkowatych hełmach i pancerzach ze spiżowych łusek, noszący długie włócznie z brązowymi grotami.

Wszelako tego ranka poza murami Sarku Anaksymander dojrzał niezwykle zjawisko. Zamiast jałowej, wyprażonej przez słońce rzecznej doliny, pokrytej brunatnymi kępkami marniejących zasiewów, oraz mozaiki spękanego nadbrzeżnego mułu na równinie za murami widniało miasto, jak gdyby zbudowane podczas snu króla.

Gród, a właściwie złudzenie grodu, lśniło w blasku słońca tak jaskrawo, iż zdawało się bardziej prawdziwe niż rzeczywistość. Dumne miasto, składające się z krytych dachówkami wytwornych budowli, otaczały wysokie, równo zwieńczone mury z jasnopłowych wypalanych w ogniu cegieł. Wewnątrz obronnego pierścienia wznosiły się stateczne wille, pobielane kopuły pałaców i ziguraty z bladego kamienia. Nad miastem kołowała białe ptactwo, przysiadające na gzymsach gmachów i kępach drzew barwy przykurzonej zieleni. Na wprost króla znajdowała się brama miejska, otoczona grupkami rozpoczynających dzień ludzi. Zza obitych brązem podwójnych wrót wyłonił się właśnie długi rząd obładowanych wielbłądów. Ich poganiacze sprawnie popędzili je opadającą po nasypie drogą dojazdową. Z boku traktu druga karawana czekała na wjazd do miasta; kręcący się przy niej urzędnicy w hełmach

oceniali wartość należącego myta.

Ale najwspanialszym elementem wizji było pasmo cętkowanej słonecznymi odbłaskami błękitnej wody na wprost bramy. Okalające życiodajną rzekę pasy jaskrawozielonych zarośli kończyły się tuż przed wjazdem do miasta. Mieszkańcy oazy w drugich szatach nabierali pełne dzbany, a na płyciznach w dole nurtu trudziły się praczki...

Król pomyślał z goryczą, że podobną scenę można było ujrzeć w przeszłości również pod Sarkiem, dopóki wielki, szczodry bóg Wotanta nie odwrócił się z nie wyjaśnionych powodów od grodu swych wiernych wyznawców i żarliwie oddanego sługi, jakiego miał w osobie Anaksymandra.

Tego brzemiennego w skutki poranka nie tylko monarcha ujrzał wspaniałą miraż; świadczyły o tym pełne nabożnego podziwu pozy i niezupełnie zdyscyplinowane gesty strażników na murach Sarku. Anaksymander zapewne przywołałby oficera straży, by nakazać mu ukrócenie samowoli, gdyby od ujrzanej wizji nie doznał zawrotu głowy. Monarcha zamrugał kilkakrotnie i potarł dłonią oczy, jak gdyby oparzyła je intensywność złudzenia.

Gdy po chwili król spojrział ponownie za mury, miraż mętniał już i ginał wśród zawirowań rozpalonego żarem dnia powietrza. Brunatne piaski pochłaniały stopniowo fantastyczną wizję, a zza obrazu cudownego miasta zaczęło przezierać tło wypróżnionego pustkowia – prawdziwej domeny Anaksymandra. Król wolał odwrócić się od przygnębiającej scenerii, niż oglądać ją raz jeszcze.

Tuż za wyjściem na taras stał dowódca gwardii pałacowej, wpatrując się rozszereżonymi ze zdumienia oczyma w obraz widoczny za murami Sarku. Anaksymander nakazał mu natychmiast przywołać arcykapłana Khumanosa.

Po kilku chwilach zdyszany kapłan dotarł do królewskich komnat. Szczupły, czarnoskóry Khumanos był wyjątkowo młody jak na zajmowaną pozycję; jego oczy błyszczały zaciekawieniem.

Król zdążył już wdziąć oficjalny strój: starannie utkaną spódniczkę – kilt, zdobny w klejnoty szeroki pas oraz przetykaną złotogłowie ceremonialną kamizelkę. Monarcha rozsiadł się wygodnie w składanym krześle, pokrytym płatkami złota. Podczas gdy służące kornie zajęły się pielęgnacją królewskich stóp i dłoni, Anaksymander zwrócił się do arcykapłana:

– Słyszałeś o zesłanej mi przez boga wizji? Może sam ją widziałeś? – kapłan gorliwie skinął głową, a władca kontynuował: – Ujrzałem obraz naszego odwiecznego handlowego rywala – pogańskiej Qjary. Chociaż leży wiele mil na północny wschód stąd, z woli Wotanty ukazała się mi tak, jak gdyby znajdowała się na wyciągnięcie dłoni ode mnie. – Anaksymander pokręcił głową z oszołomieniem i niechęcią. – To bogaty, strojny gród, bogacący się niepomierne dzięki rzece i karawanom... Widocznie miastu i jego mieszkańcom sprzyja ukochana przez nich bogini.

Ostatnie słowo z trudem przeszło władcy przez gardło. Lepiej niż ktokolwiek wiedział, jak okrutnie stan kapłański zawiódł go w ostatnich latach. Świątobliwi mężowie nie zdołali przywołać deszczu ani innych dowodów boskiej łaski, niezbędnych dla utrzymania sprzyjających warunków do życia w mieście-państwie Sarku oraz jego pozycji. Chociaż sam Anaksymander jako Król-Kapłan obejmował za sprawą tradycji funkcję tytularnej głowy kościoła, było wszak oczywiste, że nie można go winić za niedole Sarku. Uznano więc, że za zły los odpowiadała hierarchia świątynna, dlatego też okresowo była zmuszana do pokuty za swe niedopatrzienia.

Ascetyczny młody kapłan nie starał się bronić, nie okazywał również niepokoju. Przytaknął z głęboką troską i rzekł:

– Królu, niewątpliwie było to zesłane przez wielkiego Wotantę proroctwo lub ostrzeżenie. Jeżeli życzysz sobie, bym pospołu z astrologami spróbował je wytłumaczyć...

– Nie, kapłanie. Sam się podejmę wyjaśnienia – chociaż uważam, że znaczenie objawienia powinno być dla każdego oczywiste. – Król najwyraźniej nie liczył się zbyt z młodszym mężczyzną. Zmarszczywszy brwi, uniósł zamyślane spojrzenie ponad pielęgnującymi jego kędzierzawą brodę niewolnicami i mówił dalej: – Wiedz przede wszystkim, że przez swoją niedbałość jestem po części odpowiedzialny za obecny los. Władza sprawiła, iż zacząłem przywiązywać nadmierną wagę do wygód i luksusów. Chyba nie dość starannie baczyłem na trapiące mój kraj nieszczęścia i nie zwracałem uwagi na utratę pozycji przez Sark wobec sąsiednich miast-państw.

Arcykapłan zaczerpnął głęboko tchu i powiedział niemal zbyt skwapliwie:

– Panie, na pewno można było podjąć kroki, aby...

– Opadły mi łuski sprzed oczu – przerwał Anaksymander, nie zwracając uwagi na uniesienie kapłana. Jak gdyby dla zaznaczenia swego zdecydowania, odtrącił obuwające go w sandały niewolnice i kontynuował: – Bóg naszego miasta wyraźnie oczekuje ofiary. Nie zwykłego oddanie życia przez parę tuzinów niemowląt czy dziewczic na szczytce ziguratu w noc letniego przesilenia, nie chrztu studni i kanałów krwią skazańców i schwytyanych koczowników, lecz prawdziwej ofiary, o jakiej opowiadają pradawne legendy. Zsyłając nam tę wizję, Wotanta zażądał ofiarowania całego, bogatego królestwa. Boski wybór padł na Qjarę! – Król dźwignął się z krzesła, górując nad kulącymi się pokornie niewolnicami. – Jestem pewny, że dzięki takiej ofierze zostaniemy obdarzeni niezmiernymi łaskami. Na wzgórze spadną deszcze, wypełnią się studnie i zbiorniki, rzeki wystąpią z brzegów, użyźniając pola. Szlak karawan znów bieć będzie przez Sark, nie zaś Qjarę. Wzbogacimy się na kupiectwie i podatkach. Wypełnimy wolę Wotanty, a jego boska łaska wspierać będzie naszą potęgę w wojnie i handlu!

– Królu... – Khumanos nie śmiał przerwać wizjonerskiej, ekstatycznej przemowy Anaksymandra, ale widać było, że słucha jej z niepokojem. – Jeżeli myślisz o wojnie, pamiętaj, że Qjara jest solidnie ufortyfikowana. Wiem, że bronią jej doborowe oddziały kapłanów – wojowników, którzy poprzysięgli wierność swojej bogini. Oblężenie na pewno okazałoby się drugie i kosztowne...

– Oblężenie? Nie chodziło mi o oblężenie. Khumanosie, ty lepiej niż ktokolwiek inny powinieneś wiedzieć, co mam na myśli. – Król zwrócił się ku kapłanowi, przybierając butną, władcą pozę. – W stanie kapłańskim przekazuje się tajemnice z pokolenia na pokolenie tak samo, jak w królewskich rodach. – Anaksymander odwrócił się plecami do młodszego mężczyzny i podszedł do drzwi na taras. Między zasłonami widać było teraz tylko jałowe pustkowie, ciągnące się aż po pasmo nierównych wzgórz. – W Sarku wciąż krążą pradawne przekazy o cesarstwach na wschodniej pustyni, zniszczonych dłonią boga – naszego boga, Wotanty, który w owych czasach objawiał się w o wiele bardziej przerażającej postaci niż obecnie. Powiada się, że owe miasta z mroku pradziejów – Pesk, Elgashi i Yb Bdomitów – zostały zmiecione z powierzchni ziemi świętym gromem za swe grzechy i bluźnierstwa. Znajomość historii pozwala mi jednak sądzić, że stało się tak przede wszystkim za sprawą przewin wobec dumnego Sarku i przodków mego królewskiego rodu. – Anaksymander odwrócił się. Padający z tarasu blask sprawiał, że Khumanos widział przed sobą tylko dumną sylwetkę monarchy. – Za każdym razem kapłani Wotanty rzucali klątwy na grzeszne w obliczu boga miasta, a po ich zagładzie celebrowali triumfalne uroczystości i orgie. Po każdym niebiańskim gromie następowało ożywienie naszej świętej wiary i nowa epoka zamożności i rozkwitu Sarku. – Król zamilkł na chwilę. – Sądzę, Khumanosie, że nadszedł najwyższy czas na kolejny taki cud – dokończył.

– Zapewne – odparł ściszym, nieco ochrypłym głosem arcykapłan. – Mniemam, że zdajesz sobie sprawę, panie, iż podobny cud nie oznacza jedynie boskiej łaski i przychylności, ani też nie jest sam w sobie wystarczającym sposobem poprawy losu zwykłych śmiertelników. Gdyby Wotanta w swej prawdziwej, okrutnej postaci zstąpił na ziemię, byłoby to wydarzenie epokowej doniosłości.

– Niewątpliwie, kapłanie – odrzekł chłodno Anaksymander. – Cieszę się, że obydwaj zdajemy sobie sprawę z wagi takiego zjawiska. Chciałbym ci przypomnieć, że w ciągu ostatnich siedmiu lat szczyt wielkiego ziguratu pokryła serdeczna krew trzech poprzednich arcykapłanów – o wiele starszych i bardziej doświadczonych od ciebie. Ich ofiara okazała się nadaremna, ponieważ susza nie ustąpiła. Dlatego też uważam, że nadszedł czas na to, co raczyłeś opisać: wizytę srogiemu Boga Żywego we własnej osobie. – Król wyszedł z rozświetlonego otworu drzwi, dzięki czemu Khumanos wyraźniej dojrzał zdecydowanie na jego twarzy. – Rozumiem, że musisz podjąć odpowiednie przygotowania. Wiem, że będą one oznaczały znaczny wydatek pieniędzy i pracy, lecz powinieneś je jak najbardziej ograniczyć. Zapewne zdajesz sobie sprawę, że rozmyślałem o tym od dawna, lecz wszelkie wątpliwości nikną w obliczu dzisiejszego znaku z niebios. – Władca podszedł do swego sługi i stanowczym gestem położył mu dłoń na ramieniu. – Kapłanie, nakazuję ci otworzyć drogę Wotancie.

– Tak się stanie.

Skłoniwszy się niepewnie, Khumanos odwrócił się do wyjścia. Kroczył z wysiłkiem, walcząc z obezwładniającym, nie dającym się zagłuszyć strachem.

Nieruchome, zastałe rzeczne bagna rozpościerały się w blasku popołudniowego słońca. Niezbyt daleko nad trzcinami widniały mury Qjary. Panowała cisza; ani szcęk rynsztunku, ani odgłosy alarmu nie zakłócały spokoju przyrody. W stojącym nieruchomo nad nadbrzeżnymi zaroślami powietrzu rozlegało się brzęczenie pszczoł, os i ważek – słaby, kojący dźwięk upalnego dnia.

Nad zakolem rzeki stał mężczyzna. Jego szerokie, zbrązowiałe plecy odbijały się w zielono-niebieskim nurcie. W milczącym skupieniu oddawał się łowieniu ryb. Nagle szybkim jak błyskawica ruchem, rozchlapując srebrzystą wodę, rzucił się naprzód i dźgnął prymitywnym trójzębnym ościeniem w wodę. Po krótkiej, lecz zaciętej walce wy dobył przyszpiloną do porośniętego wodną roślinnością dna zdobycz.

Zacisnął obydwie dłonie na długiej, śliskiej rybie zielonkawo-brunatnej barwy i szybko poniósł ją w stronę zbielałego od słońca konara, wystającego nad skraj rzeki jak węzłaste ramię. Z prowizorycznego haka zwisał na poły zanurzony w wodzie sak z surowego płótna, pełen niewidocznych, wijących się stworzeń. Mężczyzna wrzucił węń świeżą zdobycz i zaciągnął energicznie rzemieńne wiązanie.

Rybak wyprostował się i otrząsnął wodę ze zmierzwionych, czarnych włosów. Wyjął zza konara spiętą z grubym pasem, postrzępioną przepaskę na biodra, i jednym ruchem założył ją na szczupłe, pokryte postronkami mięśni lędźwie. Przy pasie zwisał szeroki nóż o długim ostrzu. Mężczyzna wsunął zęby ościenia pod węzeł saka, przełożył go sobie przez ramię i ruszył z powrotem płytkim brzegiem rozlewiska.

Obozował nieco dalej w dole rzeki, na piaszczystej plaży, ocienionej rozsiewającymi podgniłą woń krzewami. Niedaleko po płytkim, stromym kamienisku toczyła się z głośnym pluskiem woda.

Mężczyzna przez kilka minut krzątał się pośród swego skromnego dobytku. Dorzucił drewna do otoczonego kręgiem kamieni ogniska, które zdążyło już zamienić się w kopczyk żarzących się węgli i lekkiego jak puch popiołu. Nabral czystej wody w pogięty, szerniały hełm bojowy, służący mu za kociołek. Zręcznie wyjął z saka kilka złowionych tego dnia ryb. Bez zbędnego okrucieństwa pozbawił je życia wielkim nożem i złożył na obdartej z kory kłodzie, której używał jako stołu.

Mimo iż był zajęty tymi czynnościami, jego instynkt pierwotnego łowcy w porę ostrzegł go, że coś się dzieje. Jakieś poruszenie wzburzyło muł w rzece. Pod czyjąś stopą trzasnęła gałązka. Wreszcie w zaroślach z drugiej strony ogniska pojawiły się niewyraźne cienie, których nie mogły rzucać gałęzie ani ptactwo.

Nie okazując zaniepokojenia, rybak podszedł dorzucić parę gałązek do ognia. Powoli, niedbale odwrócił się, przeczesując krzaki spojrzeniem stalowoniebieskich oczu. Niespodziewanie rzucił się w chaszczę ruchem szybszym niż cios ościenia podczas polowania na ryby. Wyłonił się z nich, trzymając nóż na gardle szarpiącego się intruza. Jego ofiara okazał się chudy, wrzeszczący, niemal nagi chłopiec o brązowej jak orzech skórze i wymazanych błotem nogach.

– Ciekawe, co my tu mamy? – roześmiał się donośnie łowca i schował broń. – Myślałem, że dość nałapałem żab i szczurów wodnych, a trafił się mi jeszcze jeden! – stwierdził, używając szemickiego dialektu, najbardziej rozpowszechnionego na wschodnich pustyniach.

– Puść go! – Nakaz, czy też prośba w tym samym narzeczu, padła ze skraju zarośli z ust nieco starszego, jeszcze chudszy chłopca. Młodzieniec wyszedł z krzaków i przybrał zaciętą, wojowniczą pozę. – Ostrzegam cię: jeśli chcesz go zjeść, twoja skóra zawiśnie na murach miejskich!

Młodzieniec potrząsnął niewielkim krzemiennym nożem. Za jego plecami kryło się jeszcze dwoje dzieci.

– Zjeść go? Dlaczego miałbym mieć na to ochotę? Nie, nie chcę narazić się na niestrawność, chyba że ukradniecie mi to, co złowiłem, nicponie! – Wypuścił chłopca ze stalowego uścisku, lecz nie wypuścił z ręki jego nadgarstka. Dzieciak szarpał się w odległości wyciągniętego ramienia, usiłując się uwolnić. – Naprawdę myślicie, że mógłbym go zjeść?

– Jesteś przecież trollem? – zapytał starszy chłopiec. – Okrutnym olbrzymem z Północy?

– Jaki tam ze mnie troll! Jestem Conan z Cymmerii. Żaden ze mnie olbrzym w porównaniu z moimi rodakami, a okrutny robię się tylko wtedy, gdy łeb mi pęka po całonocnych uciekach.

– Tak jak myślałem! Wszyscy wiedzą, że Cymmerianie i inne plemiona Północy to

ludożercy! – Młodzieniec wskazał z odrazą na ustawiony na kamieniach nad tłącymi się płomieniami hełm – kociołek. Gotująca się woda rażno bulgotała. – Jeżeli nawet z tobą jest inaczej, na pewno jesteś dzinnem i jesz nieczyste mięso.

– Fuj! Posiłek z tego łapserdaka rzeczywiście byłby nieczysty! – Conan wypuścił dzieciaka. Chłopiec pomknął do swoich towarzyszy, lecz zaraz potem zaczął przyglądać się mieszkańcowi Północy z podejrzliwością i zafascynowaniem. – I tak nałapałem dosyć, by się najeść. Może mi nawet coś zostanie.

Podniósł nóż z piasku, otarł go o przepaskę i zamieszał w kociołku.

– Co... co to takiego? – ośmielił się zapytać jeden z chłopców zza pleców swego obrońcy.

– Pyszna potrawka z raków i rzecznych węgorzy.

Barbarzyńca imieniem Conan uniósł wiotkiego, przypominającego owada skorupiaka na obróconym płasko ostrzu noża. Po chwili rak ześlizgnął się z chlupotem do hełmu.

– Nieczysty! – zawołał dyszkantem ostatni z chłopców. – Kapłan Jedynej Prawdziwej Bogini walnąłby tuzin razy twoją głową o skraj ołtarza, gdybyś został przyłapany na jedzeniu tego robactwa lub chociaż się do tego przyznał.

– Bzdura – odparł barbarzyńca z Północy. – Mieszkańcy tego miasta musieli postradać rozum, jeśli nie chcą jeść porządnych darów rzeki. – Wsunął nóż pod skórzany pasek hełmu i zdjął go z paleniska. – Mieszkacie w Qjarze?

– Tak – odparł jeden z młodszych chłopców. – Jestem Javed. Moim ojcem jest Jafet, handlarz wielbłędami, ale... parę lat temu wyjechał kupić parę sztuk i już nie wrócił – dokończył z zamyślnym wyrazem twarzy. – Moja matka plecie kosze z trzciny i sprzedaje je na targowisku, by nas utrzymać do czasu, kiedy ojciec wróci i znowu będziemy bogaci. Mam naciąć dla niej wikliny – dodał, wyciągnawszy mały krzemienisty nożyk, dobrze nadający się do przecinania twardych gałązek.

– Mój ojciec był dekarzem. Spadł z dachu i zabił się – oświadczył starszy chłopiec. – Matka też plecie kosze, a ja tnę dla niej wiklinę, ale kiedyś będę kapłanem – wojownikiem Jedynej Prawdziwej Bogini! – Wyciągnął nieco dłuższy nóż, schował go do torby przy pasie, jak gdyby był to szlachecki miecz i przybrał dumną pozę. – Może któregoś dnia zostanę tak sławny jak mistrz świątyni Zajus!

– Wasi kapłani są doskonale wyszkoleni i mają wspaniałe stroje – roześmiał się Cymmerianin. – Podejrzewam jednak, że ich styl walki jest nieco sztywny, bo krępuje go co najmniej tyle zakazów, co waszą dietę!

– Możesz być pewny, że tuzin z nich jest w stanie poradzić sobie z setką obdartusów z pustyni! – odpowiedział zapalczywie chłopiec.

Conan popatrzył nań w milczeniu, rezygnując z dyskusji o bojowych przewagach świątynnych wojowników.

– Czy synowie dekarza lub wikliniarza mają w ogóle szansę zostać członkami tak szlachetnego bractwa?

– To możliwe – odparł wojowniczym tonem młodzieniec. – Powołanie do stanu kapłańskiego odbywa się wyłącznie dzięki wykazanym w szkole świątynnej zdolnościom, hartowi ducha, wynikom w grach i ocenie z musztry – wyraźnie wyrecytował jednym tchem solennie zapamiętaną lekcję.

– Doskonale. Gymmerianin pokiwał głową. – Może nie jest z wami tak najgorzej. Jak się nazywasz, chłopcze?

– Ezrel – odrzekł młodzieniec. Wskazując swoich towarzyszy, przedstawił również ich: – Javed, Felidamon i Inos.

Ezrel zakończył prezentację na chłopcu, którego schwytał Conan. Cymmerianin znów pokiwał głową w milczeniu. Podejrzewał, że Felidamon jest w istocie chłopięco wyglądającą dziewczynką. Zarówno ona, jak i Javed byli równie kościści i nosili takie same powłóczyście szaty – dżelaby – uniemożliwiające rozróżnienie płci.

– Jesteś wojownikiem? – zapytał Javed. – Co to za broń?

– To porządny, hartowany ilbarsyjski nóż – powiedział Conan, wyjmując oręż z pasa. – Zyskałem go podczas... handlu z plemionami na południe od Morza Vilayet. Zobaczcie, ostrze rozszerza się przed końcem, równoważy to jego krótkość przy... rąbaniu drewna na opał. To wyśmienite narzędzie; można nim ścinać krzewy, kopać doły, oprawiać i ćwiartować rozmaite zwierzęta, nawet wykorzystywać je jako rożen, a mimo to jest dość ostre, by się nim golić. Mężczyzna powinien nosić taką broń stale przy sobie... – Pochylił się i wepchnął nóż w gorejące ognisko. – Nigdy nie wiadomo, co można złapać przy jego pomocy!

Uniósł nóż, zdmuchnął popioły i pokazał im podłużny, parujący kształt, zawinięty w zwęglone liście.

– Widzicie? Słodkie bulwy! Mam jeszcze bagienną rzodkiew i pory.

Wyrzebał z paleniska więcej smakołyków i gdy wystygły dał dzieciom do spróbowania. Ezrel okazał się też na tyle śmiały, by spróbować potrawki z ryb i raków.

– Fuj, za gorąca i ma za dużo pieprzu! – poskarżył się młodzieniec, mimo to bez sprzeciwu przyjął od Conana sporą porcję, nałożoną na służyca za talerz płatków kory. Pozostali chłopcy poszli za jego przykładem. Nawet nieśmiały Inos przyłączył się do rozlupywania skorup raków i wyjadania ich delikatnego mięsa. Dzieci jadły tak łapczywie, iż dla Conana została skromna porcja, złożona głównie z pozostawionych przez nie resztek i bagiennych porów.

– Na pewno wiele podróżowałaś – odważyła się rzec wysokim głosem Felidamon. – Byłaś kiedyś w miastach większych od Qjary?

– Och, tak. Zawędrowałem do Aghrapuru, Belverusu, Tarancji... wielu zatłoczonych ludzkich mrowisk. Najbliżej leży Szadizar. Chyba się tam wybiorę, gdy śnieg stopnieje na przełęczach – jeżeli natrafi się zdrażająca w tę stronę karawana.

– Nazywają to miasto Szadizarem Występnym – stwierdził Jabez z pełną naiwnością zadumą. – Nie chcą nam o nim opowiadać w szkole świątynnej. Może ty wiesz, dlaczego, Conanie?

– Och, pełno tam zarówno wielkiego bogactwa, jak i niezmierzonej nędzy. Konający z głodu mężczyźni i kobiety czołgają się w pyłe u stóp opływających w dostatki próżnych hulaków.

– Jak to możliwe? – spytała zdumiona Felidamon. – Czy kapłani nie nakazują im dzielić się swoją własnością?

– Nie, oni są tam najbogatsi i najbardziej bezwzględni – odparł z gorzkim uśmiechem Cymmerianin. – Szadizar to wielkie targowisko niewolników. Ich panowie są okrutni, lecz wielu wolnych ludzi wiedzie jeszcze gorszy żywot od rabów. Większość zdrowych, uczciwych mężczyzn to złodzieje – wyobraźcie sobie, że w Szadizarze mają oni nawet własny cech!

– Mieszkańcy naszego miasta powiadają, że samotny wędrowiec – jak ty – to na pewno bandyta – powiedział jak zwykle bez trwogi Ezrel.

– Gdybym rzeczywiście był złodziejem, tam właśnie czekałyby mnie najbogatsze łupy. W tym mieście jest wystarczająco wielu zachłannych kupców, opętanych oparami lotosu arystokratów i bogatych, wyniosłych czarnoksiężników – uśmiechnął się Cymmerianin. – Zebrał resztki jedzenia i wrzucił je w ogień. – O wiele bardziej opłaca się kraść w Szadizarze niż w takiej zabitej deskami stajni dla wielbłądów, jaką jest Qjara!

– I tak nie nacieszyłbyś się tutaj długo występny żywotem – odparł Ezrel. – Świątynni wojownicy zrobiliby z ciebie pasztet. – Widząc nachmurzoną minę Conana, dodał: – Jeżeli złożysz przysięgę, że nie będziesz kraść, zostaniesz wpuszczony do miasta i nie będziesz musiał spać na rozścielonych gałęziach. – Wskazała na pogrążone w cieniu pod krzewami legowisko z rozpostartą derką.

Cymmerianin pokręcił głową.

– Nie, chłopcze, nie sądzę, by ojcowie waszego miasta życzyli sobie mojej obecności na jego ulicach. Na pewno nie poza dzielnicą, wyznaczoną dla poganiaczy karawan. I tak nie mam ochoty zabić tuzina ludzi, by przestali zawracać mi głowę. Wolę nadal mieszkać poza miejskimi murami.

– Przecież mógłbyś osiąść w Qjarze i nauczyć się jakiegoś pożytecznego rzemiosła – wtrąciła się Felidamon. – Na przykład hodowli wielbłądów lub też... – opuściła wzrok na dogasające palenisko i resztki pożywienia – ...gotowania dla jednego z karawanserajów!

– Miałbym przyrządzać jedzenie dla wędrowców i brać w zamian pieniądze... Zajmować się tylko tym i niczym więcej? – Conan przyjrzał się jej zmrużonymi oczyma, marszcząc ze zdumieniem brwi. – Co by było, kiedy znudziłoby mi się gotowanie, a na pewno by do tego doszło? Nie jestem niewolnikiem, by bez końca harować dla czyjegoś kaprysu! – Potrząsnął energicznie grzywą czarnych włosów, jak gdyby chciał odegnąć od siebie tak wstrętą myśl. – Gdybym nie padał na kolana przed waszą boginią, Saditą, też popadłbym w tarapaty. Nie, najlepiej będzie, jeżeli zostawię wasz gród swojemu własnemu losowi. – Wyrzwał ku pogrążającemu się w cieniach brzegowi rzeki. – Zobaczcie, robi się późno. Zanim odejdziecie, umyćcie naczynia.

Ezrel rzucił okiem na opuszczające się na zachodzie słońce i natychmiast wstał z ziemi.

– Zatem wyruszysz do Szadizaru – niespodziewanie odezwał się drobny Inos. –

Które miasto podoba ci się bardziej, Conanie, Szadizar czy Qjara?

– Szadizar jest stworzony dla ludzi takiego pokroju jak ja. – W skierowanym ku chłopcu wzroku Cymmerianina kryła się odrobina smutku. – Przyjmij jedną radę, zanim odejdziesz, chłopcze: ceń to, co masz! – Poklepał Inosa po ramieniu i pchnął go lekko przed siebie. – Nie porzucaj Qjary dla Szadizaru Występnego i módl się, by nigdy nie zawlekli cię tam handlarze niewolników!

2.

DOLINA OGNI

Arcykapłan Khumanos przemierzał pustynne pustkowie w trwodze. Przypadkowy obserwator być może nie zorientowałby się w stanie jego umysłu, lecz on zdawał sobie sprawę, że opór i ociężałość jego kończyn jest wywołana nie tylko palącym żarem. Nie słońce sprawiło, że jego łopatki pod bawełnianą tuniką z kapturem pokrywała gruba warstwa potu, to nie tylko buchający jak z paleniska żar w przemierzanych wąwozach sprawiał, że gardło kapłana wyschło na wiór. Khumanos posuwał się przed siebie, nie zwracając uwagi na surowy krajobraz. Mająca za rozmigotaną zasłoną żaru sceneria była jedynie słabym odbiciem śmiertelnej bojaźni i trwogi w jego zamierającym, przerażonym sercu.

Mimo paraliżującego uścisku strachu, Khumanos zdawał sobie sprawę, że jedynie Solon mógł udzielić mu właściwej rady, a przynajmniej wskazać drogę postępowania. Wiekowy, pełen zdobytej w ciągu niezmiernie drugiego żywota wiedzy, święty pustelnik mieszkał na pustyni już w czasach przodków Khumanosa. Solon nie był bogiem, lecz z pewnością nie był również zwykłym śmiertelnikiem... W przeszłości ojcowie sarkańskiej świątyni wielokrotnie zwracali się do świętego mędrca o radę. Uznawano go za wyrocznię, za krystalicznie czyste źródło bezgranicznego fanatyzmu, leżącego u podstawy prawdziwej gorliwej wiary.

Khumanos zatrzymał się w wąskim paśmie cienia, zalegającym pod nie rozgrzana jeszcze północną ścianą pustynnego wąwozu. Kapłan oszczędnie upił ciepłej wody z niemal pustego bukłaka. Nie wiedział, czy zmierza we właściwym kierunku; prawdę mówiąc, nie wiedział, czy w ogóle istniała droga do siedziby Solona, czy w ogóle pustelnik jeszcze żył. Tradycja głosiła jednak, że jeśli dotrze się do tego miejsca i podaży się przez pustkowie wąwozem wprost ku bezimiennym wzgórzom, trafi się do siedziby mędrca.

Arcykapłan osądził, że znajduje się na właściwej drodze. Powiadano bowiem, że pustelnik żyje w dolinie ognia, a okolica, do której dotarł Khumanos, wyglądała, jak gdyby wycięta została w zamarłych płomieniach. Z obu stron wznosiły się urwiska i granie z czerwonego piaskowca. Pokręcone labirynty zboczy wieńczyły przypominające jęzory ognia iglice. Rozpalony żółty piach dna wąwozów przetykany był zgrupowaniami nierównych cynobrowych głazów. Gdy Khumanos stawał na nich, paliły go przez podeszwy sandałów jak gorejące węgle. Gnieźdząca się w zagłębieniach terenu i zwisająca z wąskich szczelin w zboczach wąwozu nędzna roślinność była uschnięta i pociemniała od nieustępliwego, piekielnego żaru.

Niespodziewanie wąwóz skończył się: Brak było w nim jakiegokolwiek śladu ludzkiej obecności. Khumanos rozejrzał się po nagich, dziobatych zboczach, pokrytych czerwonym nalotem jak wewnątrz garncarskiego pieca. W końcu zdołał dostrzec dalszą drogę.

Pradawna powódź lub lawina sprawiła, że skalne rumowisko i głazy zaczopowały wąski wylot wąwozu. Jeżeli Khumanos chciał iść dalej, oznaczało to konieczność niebezpiecznej wspinaczki po stromym, nierównym zboczu zapory, sięgającym wysokości sześciu dorosłych mężczyzn. Upadek ze szczytu zwaliska nie byłby zapewne śmiertelny, lecz połamane kości odebrałyby kapłanowi wszelką szansę na ujście z życiem z jałowego, wrogiego pustkowie.

Zbocze oznaczało dla Khumanosa wyzwanie i próbę wiary. Była to jednak drobna, nieznaczająca przeszkoda w porównaniu z ogarniającą jego duszę obezwładniająca trwoga. Zarzucił bukłak na plecy i z rozbiegu wskoczył na pierwszy z masywnych głazów. Postawił stopę na kolejnym, wsparł dłoń na nierównych, rozpalonych kamiennych krawędziach i rozpoczął wspinaczkę.

Dotarłszy niemal do szczytu rumowiska, Khumanos dojrzał, że skalną szczelinę blokuje wystający olbrzymi głaz. Arcykapłan czuł pewność, że tu przyjdzie mu umrzeć. Pozdzierał sobie do krwi opuszki palców, z najwyższym wysiłkiem wciągał powietrze w płuca, a rozgrzany kamień, do którego przywarł z równą gorliwością, jak niemowlę do matczynej piersi, parzył jego piersi i podbródek. Niewielki wystający głaz, na którym próbował oprzeć stopę, obluzował się i z łoskotem

potoczył w dół. Khumanos wiedział, że nie zdoła zejść z powrotem; zmuszony do przyciskania twarzy do powierzchni zbocza, nie mógłby dostrzec niepewnych, znikomo małych występów, po których zdołał wspiać się w górę. Pomyślał, że albo runie w dół, albo będzie wczepiać się w skały, dopóki niemiłosierny żar nie wypaży go na wiór. Wyobraził sobie, jak pustynny wiatr zdmuchuje ze zbocza jego pokurczone, przypominające wyschniętego owada ciało.

Został mu tylko okruczeństwo nadziei. Spomiędzy zwalonych na stertę kamieni nad głazem, w który wczepiał się jak tonący, sterczała samotna gałązka. Dostrzegł ją, gdy rozpaczliwie przeczesywał wzrokiem oślepiająco błyszczące skalne płaszczyzny nad swą głową. Uschnięta, cienka jak palec biała łodyga wydawała się beznadziejnie krucha, lecz znajdowała się w zasięgu dłoni kapłana. Zapewne gdyby sięgnął po nią, by wykorzystać ją jako uchwyt przy wspinaczce, wywołałby tym lawinę, oznaczającą dla niego śmierć u skalnego podnóża... pragnął jednak wierzyć, że jest inaczej.

Czekała go kolejna próba wiary... a zagłada czaiła się na wyciągnięcie ręki. Po drugim wahaniu i wyszeptanej pod nosem modlitwie do Wotanty, arcykapłan Khumanos wyciągnął dłoń do gałązki.

Nie była to jednak uschnięta witka, lecz korzeń – być może nawet należał do zahartowanego, żywego drzewka, ponieważ utrzymał ciężar jego ciała. Wprost w oczy i usta Khumanosa posypał się żwir i pył, lecz on nie zwracał uwagi na tak drobną niedogodność. Stopniowo przeniósł na gałązkę cały ciężar ciała i nieskończenie powoli zaczął podciągać się na łokciach i brzuchu po wypukłym głazie. Wreszcie konwulsyjnym ruchem ugiał pod siebie kolana, bez tchu w piersiach podciągnął się jeszcze dalej – i nagle był na szczycie zapory.

Dotarł na skraj gładkiej połaci wyprążonego, naniesionego przez deszcze piachu. Przed sobą dojrzał kolejne zakręty i rozwidlenia wrzynające się głęboko w karmazynowe zbocza wzgórz wąwozu, lecz bliżej znajdowało się coś, co przykuło bez reszty jego uwagę.

Na stoku wystającej w głąb wąwozu brudnoczerwonej skarpy widniał pogrążony w cieniu wylot jaskini. Poniżej odznaczała się ciemniejsza, jak gdyby świeżo rozkopana smuga szkarłatnego gruntu, upstrzona bladymi kośćmi i innymi odpadkami. Przed jaskinią, u szczytu śmietniska, siedział zaniedbany starzec w brudnobiałej tunice.

Bez wątplenia był to Solon. Wierząc, że doznał podwójnej łaski – dotarcia do świętego mędrca i zachowania życia – Khumanos runął na kolana na piasek. Nie wiedział dokładnie, ile czasu spędził na mamrotaniu gorliwych modłów dziękczynnych do Wotanty. Gdy podniósł wzrok, stwierdził, że starzec przed jaskinią wstał i macha dłonią w bok, zamiatając połami powłóczystej szaty. Khumanos zorientował się, że Solon wskazuje okrażającą śmietnisko ledwie widoczną ścieżkę.

Ślizgając się na czerwonym łupku rzadko używanej ścieżki, arcykapłan spiesznie ruszył wskazaną przez mędrca drogą. Przeskakując z kamienia na kamień, dotarł na zaśmiecone zbocze, zasłane szypułkami dyń, skórkami owoców i kaktusów, kośćmi węży i ropuch oraz wyschniętymi resztkami pożywienia. Tu i ówdzie poniewierały się większe kości o niepokojących kształtach. Kapłan dotarł w końcu do skalnej półki w połowie wysokości bryły piaskowca, piętrzącej się na tle chlustającego żarem nieba jak różowy jezior ognia.

Stanąwszy twarzą w twarz z mieszkańcem jaskini, Khumanos znieruchomiał z obawą i niepewnością. Z bliska starzec wyglądał odrażająco: był przygarbiony i powykręcany, miał połamane, przypominające szpony paznokcie, pokryte odciskami i warstwą brudu ręce i nogi. Jego szata była wyświechtana i postrzępiona. Czoło i skronie Solona nosiły znamiona nadmiernego wystawienia na działanie słońca; pokrywała je mozaika na przemian bladych i zaognionych, łuszczących się plam. Mimo to lekkość i sprężystość jego ruchów przeczyła zniedołężniałemu wyglądowi; w ogorzałym, żylastym ciele kryła się niewyczerpana żywotność.

– O panie, przybyłem w poszukiwaniu mieszkającego na pustyni wieszczą... – odważył się powiedzieć Khumanos.

– Jestem Solon – rzekł starzec z uśmiechem i energicznie pokiwał głową. – Obserwowałem cię od południa. Mogłem ci pokazać bezpieczną drogę przez osypisko, lecz z zasady nigdy nie pomagam proszącym o radę – dodał. – Doskonale, że przeżyłeś wspinaczkę, dowodzi to siły twojej wiary w Wotantę. Minęło wiele czasu od ostatniego razu, gdy arcykapłan Sarku przybył złożyć mi hołd. Jakie dary przynosisz?

Starzec mówił potoczyście, lubując się własnymi słowami, jak gdyby stęsknił

się za ludzkim towarzystwem.

– O najwyższy, najbardziej umiłowany przez Wotantę! – Arcykapłan ponownie padł na kolana, przyłożył czoło do zwirowatej ziemi u stóp pustelnika, po czym się wyprostował. W odpowiedzi na niecierpliwe gesty starca, sięgnął pod tunikę i wy dostał zapakowane w złotogłów zawiniątko. – Przynoszę ci przednie delicje: przyprawione daktyle, lukrowane piersi słowików, delikatne zielone figi i chleb sezamowy z miodem.

Nim Khumanos skończył mówić, starzec wyrwał mu zawiniątko z dłoni i wycofał się w cień jaskini. Zgięty w głębokim ukłonie arcykapłan podążył za nim pod niskie, nierówne sklepienie. Solon przysiadł tuż za wylotem pieczary, lecz nie zaprosił suplikanta do środka. Arcykapłan cierpliwie przyklęknął na zewnątrz pod palącym słońcem.

– Dostojny mędrco, chciałbym móc stwierdzić, że ma wiara jest silna, lecz padłem ofiarą przemożnej trwogi... – odezwał się ponownie Khumanos.

– Wspaniale, że postanowiłeś wyruszyć na pustynię – odpowiedział Solon, łapczywie przełykając wielkie kęsy jedzenia, które wpychał do bezzębnych ust brudnymi dłońmi o popękanych paznokciach. – Wiedz, że ta jałowa kraina jest kolebką świętej, mistycznej wiedzy! – kontynuował po kolejnym kęsie. – Trafiający tu pielgrzym staje wobec surowej, nagiej rzeczywistości – by stwierdzić, że prawda nosi więcej masek i zasłon niż trupa koryntiańskich mimów. Wschodnia pustynia to kraj miraży, omamów, deszczów spadających gwiazd i zrodzonych w gorączce snów. Trudno tu o pożywienie, a jadło, które można znaleźć – korzonki, grzyby i kwiecie kaktusów – zatrzuwa mózg i roztacza przed człowiekiem przerażające wizje. – Solon nie przestawał żuć i przełykać, sycąc wilczy głód. Sprawiało to, że jego słowa z trudem można było zrozumieć. – Mimo to prawdziwi mistycy zdają sobie sprawę, że ból, głódówka i wyczerpanie to najpotężniejsze narkotyki, pozwalające na porozumienie z bóstwami i ujrzanie duchowych objawień. Wotancie jednemu wiadomo, że na pustyni nietrudno o tego rodzaju udręki. Samo pustkowicie jest zewem, wystarczającym do przywołania czających się w zakamarkach ludzkiej duszy demonów. – Solon nasycił się wyszukany m jadem, lecz nie zaproponował go młodszemu mężczyźnie. Otarł usta i zawinął w złotogłów resztki smakołyków. – Na jałowej, nie zamieszkałej pustyni można znaleźć kości i trzewia ziemi, ukazujące prawdziwą, dziką naturę bestii ludzkiej. Chodź za mną!

Wyrzekłszy rozkaz, skinął dłonią i skulony zniknął w cieniach pieczary. Oślepi onemu przez słońce arcykapłanowi trudno było podążać za swoim przewodnikiem. Natychmiast po wejściu do jaskini, a później jeszcze kilkakrotnie, uderzył głową o skalne występy niskiego sklepienia mrocznego tunelu. Chociaż oczy zaszyły mu mgłą z bólu, zaczęły też przyzwyczajać się do ciemności. Ujrzał, że występy sklepienia mają bladą barwę; ściany z bardziej miękkiego piaskowca wspierane były przez gigantyczne kości, twarde i wytrzymałe jak głązy. Widać było, że oczyszczono je, by odkryć ich kształty i powiększyć wnętrze pieczary.

Nieco dalej tunel stawał się wyższy, dzięki czemu idący śladem Solona Khumanos zdołał się niemal wyprostować. Ze wszystkich stron ze ścian sterczały rozmaite fragmenty szkieletów przypominających węże ryb, podobnych do jaszczurek ptaków oraz stworzeń, o których arcykapłan nie słyszał nigdy w życiu. Jaskinia wywierała niesamowite, koszarne wrażenie, przede wszystkim za sprawą odbijających się od pasma krwawoczerwonego gruntu przed jej wylotem promieni słońca. Stopniowo kapłan zaczął dostrzegać coraz więcej szczegółów wokół siebie – chociażby to, iż pustelnik przewiązał sobie wytłuszczony złotogłów pod pokrytą strupami starczą brodą jak szal czy bandaż.

– Jak widzisz, to wzgórze stanowiło niegdyś cmentarzysko smoków – a może zginęły w tym miejscu wskutek potwornej powodzi lub lawiny – Solon zachwalał Khumanosowi cuda jaskini, z dumą wskazując kostne relikty pod sklepieniem. W tym miejscu obramowana szczątkami płetw falanga zakrzywionych żeber i kręgów zbiegała się ku pozaginanej szyi i koszarnej czaszce z ostrymi jak kolce zębiskami, pogrążonej w przeciwległej ścianie pieczary. Jeden ze spiczastych jak sztylety kłów sterczał groźnie z podłoża jaskini pośród mniejszych, lecz równie ostrych zębów. Pustelnik i kapłan stali przed resztkami korpusu ryby o drugim pysku, tak wielkiej, że niemalże mogli pomieścić się w resztkach jej trzewi. – Właśnie takie potwory żyły kiedyś tu, gdzie dzisiaj jest pustynia – rzekł mędrzec. – Kto wie, może pewnego dnia bóg znów powoła je do życia. Z pomocą tych narzędzi... – Solon wskazał rząd ustawionych pod ścianą startych, gładkich i

zębatach odłamów kostnych – ...poszerzyłem jaskinię i odkryłem resztki bożego stworzenia. Tu właśnie, w głębi mego schronienia, znajduje się źródło mej siły i nagroda za me trudy.

Solon wskazał gestem oddzielony zasłoną zakątek jaskini. Gdy starzec odchylił wyświechtaną tkaninę, Khumanos dostrzegł za nią tryskające ze ściany źródło. Strużka cieczy spływała ze sklepienia po sterczącej jak kiel białej kości do skośnie odwróconej pokrywy czaszki jednego z uwięzionych w ścianach pieczary stworzeń. Wiekowy pustelnik nabrał w dłonie większość zebranej w płytkim wyżłobieniu wody i wypił ją z głośnym siorbaniem, po czym łaskawym gestem pozwolił uczynić to samo Khumanosowi. Arcykapłan pokornie cofnął się, rezygnując z poczęstunku.

– Mędrcze, przybyłem do twej świętej pustelni nie po to, by wypijać skąpe zapasy wody, lecz by zaczerpnąć z obfitego źródła twej wiedzy! Nasz wielki bóg Wotanta za pośrednictwem króla Anaksymandra powierzył mi doniosłe zadanie... Nie wiem, czy mam dość odwagi, by się z niego wywiązać.

– Wiem o twojej próbie – odparł Solon, przechodząc obok kapłana. – W samych niebiosach wre wojna. Dopusty i omeny każą nam gotować się na ponowne objawienie Wotanty na naszej płaszczyźnie istnienia. Zaiste, to niezwykła okazja i rzadki przywilej dla śmiertelnika: stanąć przed swym bogiem, wznieść wzrok doczesnych oczu na jego żywe oblicze. – Pustelnik przepełznął na czworaka w niski kąt jaskini i przysiadł na wybrudzonej macie, skrzyżowawszy przed sobą umorusane, chude jak szczapy kolana. – Oczywiście zdajesz sobie sprawę, iż można nie ująć z tego z życiem...

– Nie śmierci się boję! – stwierdził Khumanos, osuwając się na kolana przed mędrcem. – Gdyby spotkał mnie honor ujrzenia Najwyższego, wątpię, czy czułbym ochotę zachowania marnego żywota. Najbardziej boję się samej chwili spotkania z Wotantą... W jakiej postaci się mi objawi? Jak ja, ćma pośród huraganu, zdołam godnie się wobec niego zachować? Mą duszę ogarnia również niegodna trwoga... – kapłan skłonił ze wstydem głowę. – Lęk przed tak okrutnym wobec bliźnich czynem. Nie wszyscy przecież podzielają naszą wiarę; do ostatniej chwili mogą obstawać przy wyznawaniu łaskawszych, słabszych bogów... – Młodszy mężczyzna potrząsnął głową z zakłopotaniem i rozterką. – Skoro tak, nie zdołają w pełni docenić spotykającej ich mocy i chwały.

– Mówisz o ofiarach – przerwał mu pewnym głosem Solon. – O mieszkańcach miasta wyznaczonego na ofiarę.

– Tak – przyznał Khumanos, patrząc w ziemię. – Jest nim Qjara, gród kupiecki na północy. Wotanta w swej mądrości raczył obdarzyć je obfitością deszczów i karawan, by ofiara była tym wspanialsza.

– Gród niewiernych – stwierdził Solon.

– Tak, to prawda – przytaknął pośepnie Khumanos. – Nic nie wiem o tym mieście... wyobrażam sobie jednak, że jest bardzo podobne do Sarku, pełne kupców, chłopów, kumoszek i dzieci...

– Żal ci go – zawtórował pustelnik. – Chyba cię rozumiem. Nie chcesz, by zginęli, nim przyznają, że Wotanta jest ich panem, nim stracą szansę na służenie u jego stóp w zaświatach. Dajesz tym dowód mocy swej wiary, chłopcze! – Z gardła Solona dobył się chrapliwy śmiech. – Odpowiedź na twe wątpliwości jest prosta, zawarta w naszych świętych dogmatach. Zaoferuj mieszkańcom Qjary wysłanie misji kapłanów Wotanty, by nauczyć ich prawdziwego wyznania. Daj im szansę nawrócenia się przed końcem ich świata!

– Wielu z nich nie przyjęłoby prawdziwej wiary, przynajmniej niesztybko. – Khumanos potrząsnął głową. – Wiesz zapewne, mędrcze, że w większości miast – państw Ligi Szemickiej wyznaje się własnych bogów – czy boginie, jak w Qjarze. Trwają uparcie w swej wierze...

– Nieważne – przerwał mu zdecydowanie Solon, wydlubując resztki jedzenia spomiędzy jedynej pary sąsiadujących zębów brudnym, spękany paznokciem. – Niech odpowiedzialność za dokonanie wyboru spadnie na ich głowy. Jeżeli nie skorzystają z okazji, okażą się niegodni prawdziwej wiary i słusznie będą cierpieć katusze niewiernych w zaświatach.

– Ależ, mędrcze, nie rozumiesz, że są niewinni?! – Łzy w spoglądających wprost w twarz starca oczach Khumanosa i łamiący się głos świadczyły o nękających kapłana srogich wątpliwościach. – Mieszkańcy Qjary to pokorni, uczciwi ludzie, młode kobiety i niewinne niemowlęta! Czy mogę ściągnąć na nich gniew Boga Żywego bez dania im godnej, realnej możliwości nawrócenia się i zyskania spokoju duszy?

– Rozumiem, Khumanosie – odparł Solon, mierzając go surowym spojrzeniem. – Zaiste, wielki jest twój grzech. W głębi serca brakuje ci niezbędnej arcykapłanowi Wotanty żelaznej wiary. – Mimo szlochania przybysza, pustelnik kontynuował spokojnym tonem: – Jesteś młody. W duszy wciąż hołubisz idylliczne wyobrażenia o ziemskim żywocie, szczodrości natury, radości z uczciwej pracy i posiadania rodziny, uciechach cielesnej miłości. Nie żyłeś dość długo, by zahartował cię płomień nieugiętej wiary. – Przykucnięty pustelnik odwrócił się i sięgnął do leżącej obok maty sakwy z relikwiami i amuletami. – Poważny, lecz zrozumiały problem. Mam coś, co pozwoli ulżyć twemu cierpieniu.

– Na... naprawdę? – Odzyskawszy częściowo panowanie nad sobą, Khumanos utkwiał w starym mędrцу spojrzenie zmrużonych oczu.

– Naprawdę – przytaknął Solon i wyciągnął z torby zaśniedziałą relikwię, przypominającą z daleka krótki, szeroki nóż. – Pomoże ci to przeciąć bolesne więzy z młodością i oderwać się od nierealnych mrzonek.

Pustelnik wy dostał się z najniższej części jaskini i przeszedł pod spłaszczonymi odciskami kości gigantycznego ptaka o drugim ogonie. Khumanos dostrzegł, że talizman Solona to resztki miecza lub ciężkiego sztyletu, dawno temu ułamanego tuż przy solidnej spiżowej rękojeści. Szerniała i szczerbata resztką ostrza była na pewno tępą, lecz Solon zaciskał dłoń na gardzie, jak gdyby trzymał w pełni użyteczną broń.

– Co zamierzasz zrobić, panie? – zapytał z trwogą kapłan.

– Oto legendarny miecz Onotymantosa, osławiony mistyczny talizman – odparł pustelnik, podchodząc coraz bliżej do Khumanosa. – Znasz jego moc?

– Nie. – Czując wzbierającą we wnętrzościach trwogę, arcykapłan zaczął się cofać. – Do czego chcesz go użyć?

– To bardzo proste. Uśmiercę nim twoją młodzieńczą duszę i wybawię cię od strapienia. – Solon wyprostował się i zwolnił, jak gdyby szukając najdogodniejszej pozycji. Nie było to trudne, bowiem zdażył już zagrozić Khumanosowi odwrót z jaskini. – Nie bój się, w ostatecznym rozrachunku będzie to dla ciebie wielką ulgą. Zdołasz przystąpić ze spokojnym dałem i umysłem do wypełnienia czekającego cię zadania.

– Co to znaczy? Zabijesz... tylko część mnie? Jak to możliwe?... Czy będzie bolało?

Arcykapłan zadawał niezborne pytania, nerwowo odsuwając się od zbliżającego się pustelnika. Odczuwał obojętniającą trwogę przed poddaniem się magicznemu rytuałowi.

– Dzięki wierze w Wotantę wszystko jest możliwe... i warte chwilowego bólu! – rzekł Solon z przebiegłym uśmiechem, wybierając ten moment na atak.

Khumanos spodziewał się dźgnięcia lub uderzenia ułomkiem ostrza, dlatego też nie zdażył wystarczająco szybko cofnąć się przed ciosem pustelnika. Stary Solon niespodziewanie wykonał godne pałacowego szermierza, zgrabne pchniecie. Cios nie został zadany utraconą resztką ostrza, lecz jego niewidzialną częścią, której istnienia Khumanos nawet się nie domyślał. Przeszyty mistycznym orężem młody kapłan wytrzeszczył oczy i zacharczał w agonii.

Niesamowite ostrze trafiło wprost w serce. Khumanos poczuł, jak broń uśmierca jego uczucia, pozbawia ufność i szlachetnych aspiracji. Cios sprawił, że wszystkie ludzkie emocje odezwały się w jego piersi po raz ostatni. Oblicze kapłana wykrzywił pałący ból. Gdy zaśniedziały metal uderzył go w mostek i się ześliznął, nie wyrządzając widocznych szkód, dusza Khumanosa była już martwa.

– Istotnie, miałeś rację. Teraz wszystko jest proste – zwrócił się chłodnym tonem do Solona, otrzepując okruchy rdzy ze swej tuniki. – Musisz udzielić mi wskazówek, jak otworzyć drogę Wotancie.

Odłożywszy mistyczny miecz, Solon usiadł na wprost Khumanosa ze skrzyżowanymi nogami, obszernie wyjaśnił mu, jakie kroki należy podjąć w celu przywołania bóstwa. Nim skończył, blask słońca na zewnątrz jaskini przygasł i Solon zmuszony był zapalić olejną lampkę z odwróconej żółwiej skorupy, by arcykapłan widział schematy kreślone przez pustelnika w pyle jaskini. W świetle chwiejnego płomyka cienie wystających kości tańczyły po karmazynowych ścianach pieczary.

– Tak i tylko tak można tego dokonać. Jeżeli popełnisz chociażby najdrobniejszą omyłkę, spadnie na dębie gniew Wotanty tak srogi, iż nie jesteś sobie nawet w stanie tego wyobrazić. – Solon dokładnie zatarł ostatnie szkice. – Najważniejszy jest posąg.

– Rozumiem – odparł Khumanos i wyprostował się. – W jaki sposób zostałeś strażnikiem tej przedwiecznej wiedzy, Solonie?

– Kiedy nasz bóg zstąpił do miasta Yb, służyłem w świątyni w Sarku. Byłem wtedy młodszy od dębie. Nie byłem arcykapłanem – on zginął podczas sprawowania ofiary. Mnie wysłano, bym obserwował z daleka Yb i przywiózł potwierdzenie zstąpienia Wotanty. Dokładnie pamiętam cały rytuał.

– Yb zostało zniszczone siedem wieków temu, Solonie.

– Być może. Po dostarczeniu wiadomości wędrowałem przez pewien czas obłąkany po pustkowiach. Omal nie umarłem z wyczerpania. Byłem naiwny; tak jak tobie, brakowało mi wiary. Ocalił mnie miecz Onotymantosa.

– Jego moc również ciebie pozbawiła duszy? – zapytał Khumanos.

– Zapewne. Musiałem sam się nim posłużyć, więc może zrobiłem coś nie tak, jak trzeba. Obawiam się, że część mej duszy odżyła od tamtego czasu, odrosła jak niedokładnie wycięty szankier. – Pustelnik wzruszył ramionami, wykrzywając twarz w charakterystyczny dla niego ironiczny uśmiech. – Sam jednak widzisz, że miecz Onotymantosa nie zaszkodził mi, a bardzo pomógł! Za łaską Wotanty cieszę się długim żywotem.

– Istotnie. Sądzę, że wystarczająco długim. – Khumanos nagle pochylił się naprzód, otoczył szyję pustelnika żyłastym ramieniem i dźwignął go w górę. – Zdażyłeś przekazać brzemie swej wiedzy. Nie jesteś już nikomu potrzebny.

Arcykapłan powlókł szarpiącego się starca w stronę wystającej z podłoża pieczary szczęki smoka. Rzucił go na nią z taką siłą, iż sterczący w górę kiel wbił się w głąb czaszki pustelnika.

Odwróciwszy się od zwiotczającego ciała swego nauczyciela, Khumanos zebrał jego skromny dobytek. Wyszedł spod osłony jaskini, gotów do podjęcia przygotowań na nadejście Nieprzejednanego. To, co zyskał – lub stracił – tego dnia, czyniło nieaktualnymi wszelkie przeszkody na drodze do zrealizowania celu jego życia: służby ziemskiemu wcieleniu Wotanty, wszechpotężnemu Nienasyconemu Drzewu.

3.

KARAWANSERAJ

Bosonoga tancerka wirowała na piasku przed ogniskiem. Szybkim ruchem dłoni o czerwonych paznokciach zdarła jedną z owijających jej biodra przezroczystych zasłon i cisnęła ją w płomienie. Materiał zajął się ogniem, wzbił się w powietrze i spopieleny zniknął wśród rozgwieżdżonej nocy jak prześniony sen.

Przyglądając się Szarli, Conan pomyślał, że jej taniec przypomina ruchliwe płomienie. Tancerka stawiała lekkie, drobne kroki, wykonywała błyskawiczne piruety i podskoki w rytm nagłającego bicia w cymbały i natrętnego zawodzenia piszczałek. Od bladej skóry jej brzucha i łędźwi odbijał się blask ogniska. Cymmerianin przestawił krzesło pod zadaszenie, by nie wykręcać karku niepotrzebnie.

Wokół rozpościerała się dzielnica Qjary, przeznaczona dla karawan: rzędy przedzielonych wąskimi zaułkami niskich budowli, okalających wielki, pokryty piaskiem dziedziniec tuż za Bramą Celniczą. Na placu było dość miejsca zarówno dla koni i wielbłądów sześciu karawan naraz, jak i namiotów poganiaczy, którzy zwykle woleli zjadać posiłki i nocować na piasku obok swoich wierzchowców. Na obrzeżu znajdowały się stajnie i poidła. Obsługujące wędrowców karawanseraje i zajazdy były otwarte od strony dziedzińca; znajdowały się przed nimi wielkie paleniska oraz zadaszenia opuszczane i mocowane linami podczas burz piaskowych.

Tego wieczora na placu było cicho i spokojnie; sezon karawan jeszcze się nie zaczął. Do Qjary zawitał zaledwie jeden orszak, zdrażający na zachód i względnie ubogi – chyba że jak Stygijczycy ceniło się sól na tyle, by być gotowym wszczynać o nią wojnę. Na pograżonym w mroku dziedzińcu płonęło tylko jedno ognisko. Z miejsca, w którym siedział Conan, widać było gwieździste niebo ograniczone miejskimi szańcami z jednej strony i niższym, umocnionym murem odgradzającym dzielnicę karawan od reszty Qjary z drugiej.

Gdy taniec dobiegał końca, rozmowy i pijackie śmiechy przycichły. Zainteresowanie poganiaczy wielbłądów tancerką niebezpiecznie wzrosło, lecz Szarla знаła swoją profesję. Zręcznie uchylała się przed wyciągającymi się zbyt blisko dłońmi i pochylającymi się w jej stronę mrocznymi sylwetkami. W razie konieczności pozornie przypadkowym szurnięciem stopy miotała piasek w oczy natręta, skutecznie wybijając mu z głowy nieskromne zapędy.

Kolejna z jej zasłon pofrunęła w stronę ogniska, by zakreślając płomienny łuk, poszybować ku niebu. Zostały jej tylko dwie z początkowych siedmiu – tak przynajmniej ocenił Conan, chociaż na jego rachubę wpływało wypite wino. Na

pewno nie był w stanie doliczyć się osuszonych tego wieczora kubków araku. Stwierdzenie, ile zasłon pozostało na biodrach wirującej tancerki, i tak graniczyło prawie z niemożliwością.

Szarla postanowiła jak najszybciej zakończyć występ; coraz więcej koczowników z karawany spragnionych kobiecych wdzięków poczyniło przysuwać się w jej stronę. Dziewczynie przyszło łączyć wyrafinowany taniec ze zwinnymi unikami, lecz zdołała utrzymać się poza zasięgiem pożądlivych męskich dłoni.

Szybko minęła kusicielska chwila niemal zupełnej nagości po ofiarowaniu rozbuchanym płomieniom ostatniej zasłony. Błysnęło gibkie, szczupłe ciało, zalśniła blada skóra... i piruety oraz zgiełkliwa muzyka dobiegły końca. Szarla zniknęła za zasłoną, odgradzającą murowano – drewnianą część karawan – seraju.

Gdy po pewnym czasie wyłoniła się zza niej, odziana w podkreślające jej gibkie wdzięki jedwabie, rozgorączkowanie widzów opadło. Przyczyniły się do tego kolejne porcje trunków i przekomarzenia mniej atrakcyjnych, lecz dobrodusznym i przystępniejszym posługaczek karawanseraju. Szarla podeszła do stojącego w rogu pod zadaszeniem długiego, wywoskowanego stołu, przy którym siedział Conan.

– Szynkarzu, chcę do picia czegokolwiek chłodnego, byle dużo! – zawołała. – I przestań dolewać araku temu cudzoziemcowi! – rzuciła żartobliwie, otoczywszy ramieniem szyję Cymmerianina. – Musi zostać trzeźwy, by mnie zadowolić! – Swobodnym ruchem usiadła na krześle obok Conana. Nie uchyliła się, gdy poufałym gestem objął ją w pasie swą wielką dłonią, lecz rozejrzała bacznie, czy inni goście zauważyli, iż zwalisty wędrowiec z Północy otwarcie okazuje, iż dziewczyna towarzyszy właśnie jemu. – No i jak, Conanie? – zapytała, odwracając się ku niemu. – Podobał ci się mój taniec? Przypominał ci może swawolne noce w dalekim Szadizarze?

Cymmerianin roześmiał się i zastanowił przez chwilę.

– Głupcy z szadizarskiej Mordowni nie doceniliby tańca w wykonaniu takiej dziewczyny. Byliby zbyt zajęci odcinaniem sakiewek, podrzynaniem sobie gardeł lub pilnowaniem się przed takim losem. Tu, na pustyni... – przesunął dłoń za plecami Szarli, by pogłodzić jej smukły kark – ...taki pokaz to cud, bezcenna perła!

– Naprawdę? Tańczyłam specjalnie dla ciebie. Sprawiając wrażenie nie do końca zadowolonej z pochwał,

Szarla wysunęła się z objęć Cymmerianina i odwróciła się po zamówiony napitek.

– Dziecino, twój taniec był jak lot spadającej gwiazdy! – wtrącił się ktoś. – Przypominał galop najdroższego, najszybszego afgulistańskiego wielbłąda! Jestem Memszub, o najpiękniejsza! – Intruzem okazał się pulchny, ustrojony w jedwabie mężczyzna z krótką bródką. Conan domyślił się, że kupiec pochodzi z wschodniego Szemu i jest zapewne przywódcą obecnie goszczącej w Qjarze karawany. Natręt zaszedł tancerkę z tyłu i złożył lubieżnym gestem palce na jej ramieniu. – Jeśli raczysz dosiąść się do mnie, powiem ci więcej, co myślę o twoim tańcu. Zaprawdę, wychwalać będę twój talent pod promienne gwiazdy Ellaela nad naszymi głowami...

– Jestem ci wdzięczna za pochwały, ale lepiej spróbuj przygadać sobie jedną z dziewczek służebnych – odparła zdecydowanie Szarla. – Jestem artystką; zatańczę kiedyś w świątyni Jedynej Prawdziwej Bogini lub w Szadizarze. Poza tym dzisiaj mam towarzysza.

Skinieniem głowy wskazała Conana, który wyprostował się w krześle, by przydać mocy jej stwierdzeniu.

– Towarzysza? Widzę, że to wspaniały okaz młodego, silnego osła! Wielu już takich utrzymywałem, a paru następnych przydałoby się do ochrony mej karawany. – Szemita rzucił Cymmerianinowi pogardliwe spojrzenie i wrócił wzrokiem do Szarli. – Z pewnością jako artystka tęsknisz za czymś wytworniejszym – na przykład światową konwersacją, jaką może zaproponować ci ktoś kulturalny, subtelnym traktowaniem, wyjątkowymi podarunkami, rzadkimi klejnotami... – Odsunął połą wyszywanej jedwabnej kamizelki i potrząsnął zawieszoną przy pasie zdobioną paciorkami sakiewką – ...pięknymi złotymi monetami dalekich krajów...

– Przestań! – Conan chwycił kupca za materiał na ramieniu i skrzywił jedwab tak, iż tkanina wbiła się w tłuste ciało. – Dziewczyna nie chce twojego towarzystwa...

– Racja! – potwierdziła Szarla. – Ale pamiętaj, Conanie, że Anaks nie życzy sobie, byś bez potrzeby wyrządzał krzywdę klientom jego karawanseraju. Puść go, jeżeli obieca, że będzie się porządnie zachowywał. Ty zaś, skoro pragniesz towarzystwa – rzekła, odwracając się do kupca – jestem pewna, że słodka Babeth

chętnie cię zabawi.

Słyszając swoje imię, wspomniana ladacznica zjawiła się natychmiast, porzucając poganiacza wielbłądów.

– Istotnie, z przyjemnością dotrzymam towarzystwa tak wyrafinowanemu arystokracji – zaszczebiotała, odymając kuszaco barwione jagodami usta o ładnym wykroju. – Z rozkoszą spędzę czas z mężczyzną, który nie romansuje z dziewczyną, oparty o swojego wielbłąda!

Kupiec rozmasował zgnieciony bark i popatrzył z ulgą i wdzięcznością na Babeth, nie śmiąc przenieść spojrzenia na Szarlę. Tancerka przedstawiła sobie Memszuba oraz nierządnicę i odprowadziła ich w głąb tarasu, po czym wróciła do Conana. Cymmerianin ponownie sięgnął po trunek.

– Czemu się tak zadumałeś? – zapytała, siadając obok niego. – Znów marzysz o ukochanych hyborykańskich krainach? Podejrzewam, że w porównaniu z nimi ten pustynny wodopój marnie się prezentuje. – Oparła blade dłonie na jego ogorzałych barkach i wsunęła palce o czerwonych jak krwawniki paznokciach w wycięcie krótkiej, wyszywanej kamizelki. – Gdybyś bardziej zaangażował się w życie tego miasta, może wydałoby ci się ono znośne. Zamiast zabrać mnie jak zwykle na przechadzkę do sadów daktylowych lub spacer do oazy, może zanocowałbyś dzisiaj wewnątrz miejskich murów? – szepnęła mu do ucha. – Nie znoszę myśli, że po rozstaniu ze mną wracasz do zimnego obozowiska na pustyni.

– Mm, tak dobrze. Podrap mnie niżej – mruknął Conan i podsunął masywny bark pod zręczne palce tancerki. – Nie, dziewczyno, gdybym tu został, nie zaznałbym spokoju. Podobnie jak ci poganiacze, jestem z natury koczownikiem. Piasek to moja poduszka, a gwiazdy – ma derka. – Zadumany, dodał po chwili: – Poza tym, gdybym zamieszkał u ciebie, próżne języki zaczęłyby rozpowiadać, że jestem utrzymankiem. Naraziłbym na szwank swoją i twoją reputację. Pamiętaj, że jestem obieżyświatem i najemnikiem. Opuszczę Qjarę z następną karawaną.

– Rozumiem. Oczywiście, masz rację.

Dziewczyna zdjęła dłonie z jego pleców i wyprostowała się. Po chwili podjęła beztronską rozmowę z próżnującym w tej chwili szynkarzem Anaksem. Conan zaczął się zastanawiać, jak głęboko uraził tancerkę. Zdawał sobie sprawę, że bardziej od honoru dziewczyny zależało mu na własnej wygodzie.

Wypijane w równych odstępach kolejne porcje araku, kupowanego za kurczący się zapas zarobionych przy eskortowaniu poprzedniej karawany drachm, wypłukały mu z głowy zmartwienie. Po pewnym czasie zapomniał nawet o Szarli, zwróciwszy uwagę na kobietę, która siedziała w rogu tarasu.

W środku otwartej części karawanseraju znajdowały się długie ławy, zaś po bokach rozstawiono mniejsze, okrągłe stoliki i wyplatane krzesła. Z przodu, poza podpartym tyczkami płóciennym zadaszeniem, na dziedzińcu płonęło ognisko. Rozesłano tam kobierce i poduszki dla klientów, preferujących wygody pustynnych pawilonów. W głębi, w najbardziej cywilizowanej części zajazdu, znajdował się szynk i kamienne schody, prowadzące do droższych pokojów gościnnych na piętrze. Obok schodów, przy okrągłym stole z rozstawionymi świecami, siedziała rozmawiająca z coraz to kimś innym kobieta, która zwróciła na siebie uwagę Cymmerianina.

Miała na sobie strój niezamężnej ziemianki: długą, ciemną szatę z kapturem. Jej usta i nos skrywał czarczaf, lecz nad woalem widać było delikatne brwi i podkreślone henną oczy równie piękne, jak ogon pawia. Kobieta popijała trunek z niewielkiej szklaneczki w przerwach między rozmowami z podchodzącymi do niej na krótko osobami. Przeważnie byli to pracownicy i stali goście karawanseraju. Pojedynczo lub parami siadali naprzeciw kobiety i gawędzili z nią dobronnie. Wydawało się, iż jest to rytuał, nie dotyczący spraw handlowych czy w ogóle pieniężnych. Chwilami łagodny głos kobiety i jej melodyjny śmiech dobiegał do Conana mimo zawodzącego grania piszczalek.

Zachowywała się godnie i z rezerwą, lecz Conan zorientował się, że wielokrotnie spoglądała w jego stronę, jak gdyby nie mogła oderwać od niego wzroku. Zdawało się mu, iż po każdym takim spojrzeniu na jej oblicze wypływa rumieniec. Nie był pewny, czy pragnęła go przywołać, lecz gdy ostatnia z rozmawiających z nią kobiet odeszła, ku swojemu zaskoczeniu zorientował się, iż podchodzi do jej stolika.

– Jestem Conan. Zawędrowałem tutaj z Aquilonii. – Rozsiadł się wygodnie na krześle i uśmiechnął się, patrząc prosto w tajemnicze oczy kobiety. – Wydaje się, że znasz tu wszystkich, ale nie przypominam cię sobie, pani – dlatego postanowiłem ci się przedstawić. Powiedz mi, co tu robisz? Dlaczego tylu ludzi

podchodziło porozmawiać z tobą?

Kobieta wyraźnie poczuła się nieswojo. Zatrzepotała powiekami, a na policzki nad woalem wypłynął jaskrawy rumieniec. Nerwowo powiodła wzrokiem po Cymmerianinie i rzekła urywaniem, jak gdyby brakowało jej tchu, głosem:

– Co robisz?... Wróżę!

– Ach, jesteś wieszczką? – Conan na moment stracił kontenans, nie tyle wskutek niechęci do czarów, ile za sprawą zapierających dech w piersiach, niejasnych przepowiedni, jakich nasłuchiwał się od rozmaitych wróżbitów. Po chwili jednak skarcił się w duchu, iż tak subtelna i delikatna dziewczyna na pewno nie stanowi dla niego zagrożenia. Uśmiechnął się, pochylił i rzekł zniżonym głosem:

– Nie pobierasz opłaty za swoje usługi?
– Sądzisz, że powinnam brać od ludzi pieniądze? – Kobieta potrząsnęła głową, wciąż wytracona z równowagi. – To dla mnie tylko rozrywka... Nie do końca opanowałam umiejętność wróżenia. Nie chciałabym, by ktokolwiek potraktował moje marne przepowiednie zbyt poważnie.

– Traktujesz to więc jako zabawę? Dobrze. – Conan pokiwał głową. – Dlatego, że... – urwał i zmienił temat: – Jak się nazywasz?

– Ja? Inara.

Cymmerianin skinął głową.

– Przypuszczam, Inaro, że spojrzenie w przyszłość ukazuje zwykle bezmiar nieszczęść i smutków?

– Och, tak – przyznała kobieta. – Widziałam niejedno, na szczęście los większości mieszkańców Qjary, przynajmniej w niedalekiej przyszłości, wydaje się... nieszczególnie dramatyczny – stwierdziła nieco nerwowo, wciąż unikając spojrzenia mu w twarz. – Wróżę dla rozrywki i dla wprawy. Nie żądam zapłaty, lecz wyjątkowo pozwalam klientom postawić mi porcję samarskiego narcyntu, by zachować jasność zmysłów.

Uniosła woal dwoma palcami i upiła niewielki łyk z niemal pustej szklanki.

– Narcyntu? Wina z płatków jaśminu? – Conan ujął naczynie między kciuk i palec wskazujący, po czym wciągnął w nozdrza aromatyczny zapach trunku. – Na pewno uderza do głowy. – Uniósłszy w jednej dłoni szklankę i swój kubek, dał znak szynkarzowi. – Anaks, jeszcze po jednej kolejce!

– To będzie już moja druga. Nigdy nie piję więcej – stwierdziła Inara, podnosząc nieśmiało wzrok na Cymmerianina. – Przychodzę tutaj, bo nie mam dostępu do narcyntu w... dzielniczy posiadaczy ziemskich. – Odwróciła spojrzenie, wyraźnie stropiona. – Dzięki niemu właśnie mogę wróżyć.

– Chcesz powiedzieć, że narcynt pozwala ci ujrzeć przyszłość? – Conan pokręcił ze zdziwieniem głową. – Nigdy o tym nie słyszałem. Wiem, że wino potrafi zatrzeć przeszłość... ale ukazać, co nastąpi?

Inara stłumiła śmiech i odparła:

– Nie przepowiadam przyszłości tak precyzyjnie, jak gdybym czytała ze zwoju, nie widzę również nadchodzących wydarzeń jak w wieszczym źródle czy magicznym zwierciadle, lecz właśnie narcynt pozwala mi zyskać wyobrażenie o tym, co nastąpi.

– Wyobrażenie?

– Dostrzegam otaczającą ludzi aurę i czuję, co się im przydarzy. – Inara potrząsnęła głową. – Wszystko zależy od tego, co czuję wobec tych osób.

– W jaki sposób wróżysz?

– Zabiera mi to sporo czasu i wysiłku. Widzisz na przykład mężczyznę przy długim stole, przyglądającego się grze w kości?

– Turańczyka?

– Tak, w zielonym turbanie. Na szyi ma obrozę niewolnika.

– Nieprawda! – zaprotestował Conan i przeniósł spojrzenie z gościa karawanseraju na przyglądającą się z napięciem Turańczykowi Inarę. – Mówimy o tym samym człowieku?

– W mojej wizji ma obrozę z brązu i łańcuch na szyi. – Inara potrząsnęła głową i upiła kolejny łysek narcyntu. – To znaczy, że był niewolnikiem.

– Albo nim zostanie.

Kobieta pokręciła głową.

– Obroza jest stara i wytarta, dlatego sądzę, że dostrzegłam przeszłość. Gdyby była nowa i lśniąca, zapewne chodziłoby o przyszłość. – Zmrużyła oczy. – Zapytałam go o to. Pokazał mi blizny na szyi; minęło sporo lat, zanim zdołał się wykupić z niewoli.

– Mm, w takim razie to niezbyt przydatny dar – mruknął Conan. – Nie

potrzebujemy wieszcy do opowiadania o przeszłości – przynajmniej tej, która pamiętają jeszcze żyjący ludzie.

– Dla mnie znaczy to bardzo wiele. Przysięgłam sobie zawsze mówić, co rzeczywiście ujrzałam.

– Nie wątpię, że wierzysz w swoje wizje, lecz jak odróżniasz je od rzeczy, które zobaczyłaś na własne oczy? Na przykład od turbanu tego Turańczyka?

– Przedmioty w wizjach są otoczone niezwykłą poświatą. Widzę je tylko wtedy, gdy spoglądam pod określonym kątem – i jedynie po wypiciu wschodniego wina.

Wzniosła elegancki toast szklaneczką narcyntu i jeszcze raz odchyliła woal dwoma palcami.

– A człowiek, który siedzi przed Turańczykiem? Złowrogo wyglądający gracz w kości i blizną zamiast oka? – zapytał Conan.

– Nie ma go tutaj. – Spostrzegłszy zaskoczenie Cymmerianina, dodała. – Widzę podskakujący w powietrzu kubek i toczące się kości, lecz tylko ulotny zarys dłoni i reszty ciała gracza. – Pokręciła z zadumą głową. – Ten człowiek zginie lub przepadnie bez wieści. I to bardzo niedługo, bowiem już znika ze świata wizji.

– Niesamowite. – Cymmerianin zamyślił się na chwilę i zadał kolejne pytanie:

– A opierająca się o jego ramię roześmiana kobieta?

– Widzę ją brzemienną – odrzekła Inara. – Jest tak zapłakana, że rozmazuje się jej henna.

– Rozumiem... Wierzę ci! Twój dar jest chyba prawdziwy – Conan spojrział z wyzwaniem Inarze w oczy. – Co duchy ukazały ci, gdy patrzyłaś w moją stronę? Czy było to coś niezwykłego?

– Hę? Nie, nic nie widziałam. – Spostrzegłszy, że Conan jej nie uwierzył, pospieszyła z tłumaczeniami: – Nie zawsze to, co widzę, jest ważne. Czasami to rzeczy pozbawione znaczenia, kaprysy.

Kobieta odwróciła głowę z zakłopotaniem.

– Wykrztuś to z siebie! – zachęcił ją Cymmerianin, prostując się w krzesło. – Nie takie rzeczy przeżyłem!

– Kiedy... kiedy na ciebie popatrzyłam, ujrzałam cię w zbroi. I niczym więcej – powiedziała niepewnym głosem.

– W zbroi? – mruknął Conan. – Mam nadzieję, że kompletnej!

– Nie – przyznała się Inara, zarumieniła się gwałtownie i opuściła wzrok na stół. – Miałeś na sobie tylko pancerz i nagolenniki. Miałeś też złoty hełm z grzebieniem i pióropuszem oraz złoty miecz... wspaniała broń!

– Cóż... – Conan opuścił wzrok na swe szeroko rozstawione nogi. Rumieniec Inary okazał się dziwnie zaraźliwy. Cymmerianin przysunął krzesło do stołu, wsparł się łokciami o blat i skrzyżował ramiona. – Chyba nie było w tym niczego wstydliwego? – stwierdził po chwili. – Słyszałem, że w takim stroju walczy część Koryntian. Może znaczy to, iż zajdę kiedyś bardzo wysoko w którymś z królestw Północy? Słyszałem już takie wróżby.

Gdy ich spojrzenia wreszcie się spotkały, obydwoje wybuchnęli niepowstrzymanym śmiechem. Niespodziewana, konwulsyjna wesołość spowodowała, że obydwoje rozlali swe trunki, zwracając na siebie uwagę innych gości. Młoda kobieta odchyliła się w krzesło w sposób nie przystojący jej szacownemu strojowi; Cymmerianin schwycił dłońmi skraj stołu, daremnie próbując zachowywać się skromnie. Przypadkiem położył rękę na drobnej, delikatnej dłoni Inary; uścisnął ją ostrożnie, jak gdyby schwycił dzikie, wystraszone zwierzątko.

– Inaro, co myślasz o twoich magicznych talentach twoich krewni... w dzielnicy ziemian? – wykrztusił w końcu.

– Mojej rodzinie by się to nie spodobało. – Kobieta pokręciła głową. – To gorliwi wyznawcy Jedynej Prawdziwej Bogini, przedkładający prawomyślność ponad wszystko. W moim domu nie ma miejsca na duchy... ani na trunki. – Przesunęła szklanę z kałuży aromatycznego wina na stole. – Kiedy nie mogę już tego wytrzymać, zjawiam się tutaj, by spotkać moich znajomych.

– Rozumiem cię.

– I tak klienci karawanseraju mają ciekawsze losy – dodała.

Conan rozejrzał się po tarasie, chcąc zniechęcić do gapienia się tych, którzy zwrócili uwagę na ich wesołość. Nikt jednak nie patrzył w ich stronę, nawet Szarla; dzieweczyna przyłączyła się do Babeth i przepędzonego wcześniej przez Conana kupca Memszuba. Tancerka szeptała coś do ucha bogacza, jak gdyby chcąc wzbudzić zazdrość swojego wcześniejszego towarzysza; ladacznica siedząca z drugiej strony Szemity, sprawiała wrażenie zaniedbywanej.

– Powiedz mi, Inaro, jaką przyszłość widzisz dla tamtego szemickiego kupca i tancerki, którą trzyma w objęciach?

– Nie widzę mężczyzny; Szarla opiera się o brzuch ustrojonego w zdobną uprząż, przeżuwającego wielbłąda – natychmiast odpowiedziała kobieta.

Cymmerianina i wróżbitkę znowu ogarnęła wesołość, równie hałaśliwa, lecz krótsza. Inara niespodziewanie chwyciła Conana za rękę.

– O rety! – jęknęła. – Przybyli zbrojni, świątynni wojownicy! Nie mogą mnie tu znaleźć!

Rozejrzawszy się, barbarzyńca z Północy dostrzegł zbierających się przed tarasem strażników w bladoniebieskich tunikach. Sześciu szczupłych, sprawnych szermierzy nosiło na ramionach pochwy z drugimi mieczami. Ustawili się w rząd po drugiej stronie ogniska i wkroczyli między gości karawanseraju. Zatrzymywali się przy niektórych, by przyjrzeć się im dokładniej bądź zadawać półgłosem pytania. Z każdego ich ruchu przebijało zdyscyplinowanie i pewność siebie. Jedynym noszonym przez nich elementem zbroi były wypolerowane srebrne kaski z krótkimi osłonami na policzki i kryzami na kark.

Inara skuliła się z wystraszoną miną za stołem, jak gdyby pragnęła stać się niewidzialna.

– Nie martw się, odciągnę ich uwagę – wyszeptał do niej Conan. – Kiedy nadarzy się sposobność, spróbuj się wymknąć.

Cymmerianin wstał, starannie zasłaniając ciałem wróżbitkę. Przepychając się między gośćmi, podszedł zawiadackim krokiem do Szarli i jej towarzystwa.

– Cóż, Conanie, widzę, że spotkałeś tę dzierlatkę Inarę! – stwierdziła tancerka, gdy się do niej zbliżył. – Powiedz mi, jaką przyszłość przepowiedziała ci nasza zawołowana kusicielka?

Cymmerianin przybrał gniewną minę i nie odpowiedział. Ściągnął tancerkę z kolan Memszuba, odepchnął ją od siebie i chwycił jedwabny rękaw koszuli kupca.

– Nauczysz się teraz, łotrze, że za kradzież kobiety płaci się drożej niż za porwanie wielbłądów! – zagrzemiał.

Poderwał nieszczęsnego handlarza z ławy, obrócił go dookoła, podstawił mu nogę i pchnął w stronę stołu, gdzie trwała gra w kości. Natychmiast rozległy się wściekle wrzaski hazardzistów, piski kobiet i odgłosy uderzeń. Ponad zgiełkiem wznosiły się stanowcze nawoływania świątynnych wojowników.

– Zachować spokój! – rozległ się surowy głos.

Odwróciwszy się, Conan ujrzał zbliżających się do niego stróżów porządku. Zrazu wydało się mu, iż strażnicy dobyli broni, lecz zorientował się, iż wymachiwali jedynie orężem w pochwach. Młóćąc nim jak pałkami, wprowadzali ład wśród przeklinającej, okładającej się pięściami klienteli karawanseraju.

Z łatwością poradził sobie z pierwszą parą strażników. Skoczył w bok, uchylił się przed ciosem jednego z nich i wbił bark w żołądek drugiego. Wojownik runął z rozpędu na kolejny stolik, co jeszcze powiększyło rozgardiasz – następni rozwieścieni goście włączyli się do bijatyki.

Trzeci ze strażników okazał się trudniejszy do pokonania. Był to szczupły szermierz o żyłastych mięśniach i kwadratowej, znamionującej karność szczęce, noszący sugerujący wyższą rangę hełm ze złotym otokiem. Szybкими, agresywnymi ruchami wyprzedzał ataki Cymmerianina. Zdołał nawet sięgnąć bronią w pochwie skroni Conana, gdy ten wymijał go, by wskoczyć w gąszcz walczących.

Barbarzyńca zaczął okrażać skraj tarasu. Wpychał przy tym pomiędzy walczących biernie przyglądających się gapiów. Niektórymi zaś z nich tarasował drogę strażnikom, którym nie odechciało się jeszcze go ścigać. Udało mu się w ten sposób zwiększyć zamieszanie.

Nagle bijatyka ustała za sprawą jednoznacznych w swej wymowie dźwięków. Rozległ się szcęk dobywanego miecza, okrzyk: „Giń, złodzieju!”, łoskot gruchotanych kości i wysoki wrzask z głębi dławiącego się gardła.

Conan odwrócił się i zaczął przepychać między zamarłymi ludźmi, by dojrzeć, co się stało. W rogu tarasu twarzą do podłogi leżał jeden z gości z ziejącą raną w boku. Jego wina była oczywista: nieboszczyk dzierżył w jednej ręce krótki, zakrzywiony sztylet, w drugiej zaś – wypchany pas na pieniądze, przecięty tuż przy wciąż zapiętej złotej klamrze.

Nad trupem stał najwyższy rangą strażnik. Na drugim, lśniącym ostrzu jego miecza perlila się świeża krew. Wojownik przewrócił stopą złodzieja na plecy, upewniając się, że już się nie poruszy, po czym otarł ostrze wydobytą z zanadru jedwabną chustką, którą cisnął na pierś zabitego. Kupiec Memszub schylił się pokornie po swoją własność. Conan zdał sobie sprawę, iż niefortunnym złodziejem

był gracz w kości z przepaską na oku, którego śmierć przepowiedziała Inara.

– Oto dowód, jakie są skutki buntu i nieposłuszeństwa! W imię Jedynej Prawdziwej Bogini, macie wszyscy zachować spokój! – Wojownik powiódł po tłumie wzrokiem pełnym świątobliwego oburzenia. – Nie tylko ten szubrawiec odpowiada za to, co się stało. Cudzoziemcze, nie znasz pewnie cywilizowanych obyczajów, ale bacz na swe postępowanie w Qjarze! – zwrócił się do Conana, świdrując go lodowatym spojrzeniem.

– Ty napuszony chłystku, pogromco kieszonkowców! – zagrmiał Conan. – Ośmielisz się stawić mi czoło pięściami lub mieczem, a nie czczymi słowami?!

– Dosyć! – Świątynny wojownik przerwał Conanowi tonem świadczącym, iż ma za nic jego groźby. – Śmierć jednego szubrawca powinna wystarczyć, by do rana panował tu spokój. – Podniósł chustkę, ponownie otarł miecz, schował go do podsunętej przez podwładnego pochwy i raz jeszcze zwrócił się do reszty gości karawanseraju: – Rozejdźcie się! Zajmijcie się swoimi sprawami!

Ku zdumieniu Conana po słowach strażnika rozległy się rzadkie okrzyki aprobaty: „Chwała Zajusowi, największemu spośród świątynnych wojowników! Chwała bogini Sadicie! Chwała im obojgu!”

Gdy goście posłusznie zaczęli wracać na swoje miejsca, Conana dobiegły szepty:

– Widziałeś? Złodziej miał broń! Chciał zabić Zajusa!

– Zajus zabił po raz dwudziesty. Chyba zostanie największym świątynnym szermierzem wszechczasów!

Zaskoczony niepojętymi dla niego obyczajami, Conan powściągnął rozdrażnienie i rozejrzał się po zajeździe. Stwierdził, że osiągnął swój cel: Inara zdołała się wymknąć. Wrócił myślami do dotyczącej gracza przepowiedni; jej spełnienie się niewątpliwie stanowiło dowód magicznej mocy kobiety.

Cymmerianin zbierał się do wyjścia, gdy poraziły go słowa wyszeptane przez jednego ze świątynnych wojowników do swojego towarzysza:

– Widzisz, plotka okazała się fałszywa! Nie było tu księżniczki Afriandry.

4.

NIEWOLNICY Z SZARTUMU

Hyrkańczyk Tulbar obudził się z płytkiego, czujnego snu. Leżał w milczeniu, nasłuchując nierównych oddechów śpiących obok niego ludzi i łopotania fałdów namiotu pod wpływem nocnego wiatru. Nie wiedział, która jest dokładnie godzina, bowiem księżyc jeszcze nie wzeszedł, a jeśli nawet, jego blask nie padał na razie na kopułę namiotu. O ile jednak instynkt nie zawodził Hyrkańczyka, srebrna tarcza powinna wkrótce wynurzyć się spoza urwisk na wschodzie. Tulbar postanowił, że właśnie wtedy przystąpi do działania.

Od dzieciństwa blask miesiąca zastępował Hyrkańczykowi światło słońca. Nie przypadkiem bogini księżycy Ulla była patronką jego rodzimego klanu złodziei i awanturników. Księżyc przyświecał Tulbarowi i błogosławił wszystkim jego wyczynom, czy były to grabieże wiejskich gospodarstw, czy kradzieże zamkowego bydła. Towarzyszył mu w wędrówkach przez połowę świata, a obecnie, gdy jego położenie malowało się w najczarniejszych barwach, blask miesiąca powinien umożliwić mu odniesienie największego sukcesu.

Na zew księżycy powinien odpowiedzieć również kompan Hyrkańczyka, Hekla. Drobnym włamywacz zapewne nie spał już, podobnie jak Tulbar; miał czuwać z tyłu namiotu. Ich swobody nie ograniczały łańcuchy, kraty ani mury; w odróżnieniu od żalonych szartumskich niewolników nie przejmowali się pogrózkami butnych strażników. Zamierzali wymknąć się, gdy tylko księżyc wypłynie na niebo.

Tulbarowi wprost nie chciało się wierzyć w swe szczęście, gdy został pojmany do niewoli przez pachołków szejka Szartumu. Napaści na pustynne karawany stanowiły oczywiście pospolity występki na Południu. Zbrodnia Tulbara polegała na ubiegnięciu szejka Fuaza w ograbieniu kawalkady wielbłądów, przemierzającej okolicę, którą Szartumczyk uważał za własny teren łowiecki. Podwładni Fuaza wspaniałomyślnie darowali życie Hyrkańczykowi i jego kompanowi, zadowolając się pojmaniem ich, by służyli szejkowi jako niewolnicy.

Nie minęło wiele czasu, a para jeńców okazała się przydatna. W rezydencji szejka na skraju solnej pustynnej niecki złożył wizytę posępny, napawający trwogą kapłan Khumanos i para jego uczniów, w asyście oddziału żołnierzy. Propozycja sprzedaży własnych poddanych w niewolę okazała się dla Fuaza równie naturalna jak łupienie karawan. Szejk kazał uszyć swym niezliczonym żonom nowe

szaty z przywiezionych przez Khumanosa w okutych żelazem skrzyniach jedwabi, paciorków i złotogłowiu, zaś dwie setki i czterdziestu Szartumczyków na zawsze pożegnało się z uprawianiem warzyw i daktylowych sadów. Sarkańscy żołnierze pogнали ich jak bydło w stronę ginących w porannych mgłach wschodnich wzgórz.

Tulbar i Hekla byli częścią sprzedanego towaru. Zrazu Hyrkańczycy przeklinali bezlitosnych strażników i buntowali się przed dźwiganiem zapasów, narzędzi górniczych i namiotów, którymi obarczali ich Sarkanie. Dwaj złodzieje zamierzali uciec natychmiast, gdy tylko zdołają ukraść konie lub wielbłądy. Podczas wyczerpującego marszu rozeszła się jednak pogłoska, że niewolnicy mają wydobywać cenne metale i klejnoty w kopalniach na wzgórzach – zapewne, by wypełnić kufry Anaksymandra, króla dalekiego miasta – państwa Sarku.

Wieść ta sprawiła, że para Hyrkańczyków zabrała się do dźwigania tobołów i bukłaków z wodą z nowym zapalem. Jakiż awanturnik nie skorzystałby z takiej okazji? Zamierzali dobrać się do skarbów, zabrać, ile się da i zniknąć bez śladu – a kiedyś być może wrócić z wynajętymi przez siebie samych kopaczami i wojownikami, by wybrać resztę złoży. Wędrowka była wyczerpująca, wielu towarzyszy niedoli – głównie kobiet i starców – pomarło z wycieńczenia, lecz Tulbar i Hekla ani myśleli o ucieczce.

Po pewnym czasie okolica, przez którą wędrował orszak niewolników, uległa zmianie. Wzgórza stały się znacznie wyższe, a pokrywająca je roślinność zaskakująco obfita. Pełne wodorostów, pokryte rzęsą strumienie o zasłanym żółtym mułem dnie toczyły wody przez drugie, żyzne doliny, meandrujące pośród gołych grzęd pustynnych grani. Wokół potoków rosły trawy, chwasty, cierniste krzewy i karłowate drzewka. O ile można było stwierdzić, ptactwo i ryby unikały dolin, jednak nadrzeczne łąki roiły się od żółwi, ruchliwych gryzoni, ropuch i wielkich, hałaśliwych owadów. Niewolnicy często żywili się stworzeniami upolowanymi przez strażników. Chociaż trudno było określić, czy są to króliki, świstaki czy szczury wodne, ich mięso było kruche i smakowite.

Również przyległa pustynia zmieniała charakter w miarę, jak orszak zapuszczał się coraz dalej. Część roślinności sprawiała wrażenie osobliwie bujnej, niekiedy wręcz rozdętej. Wybujałe liście chwastów miały gąbczastą konsystencję, a grube, giętkie odrosty krzewów przypominały czasem wyciągnięte palce. Rosła tu oszalałająca obfitość kaktusów, a węzłaste konary spotykanych gdzieś indziej rosłych drzew pokryte były naroślami wielkości ludzkiej głowy. Tulbar widział, jak kapłan Khumanos przyklękał przed niektórymi z nich z nabożną czcią.

Dzięki obfitości wody, dużym, choć pozbawionym smaku bulwom i owocom oraz osobliwej dzikiej zwierzynie wędrowka przez doliny była o wiele łatwiejsza niż pokonywanie pustyni. W miarę posuwania się, nadrzeczne parowy były coraz węższe, a ich stoki bardziej strome, lecz i tu łączące się strumienie użyźniały ziemię.

Powodem występowania bujnej roślinności były najprawdopodobniej gorące mineralne źródła. Stary szlak, którym wędrowali niewolnicy, przebiegał obok jednego z nich. Biło ono w niskiej, płytkiej pieczarze, udekorowanej złogami siarki. Położona na zboczu wzgórza jaskinia wyglądała jak wyszczerzona paszcza z żółtymi kłami. Za obrośniętym zielenią otworem znajdował się parujący zbiornik, pokryty bulgoczącą brunatną pianą i kępami pływającego mchu. Korytem pełnym pokrytych żółtym nalotem otoczków wypływał z niego gorący strumyk, nad którym snuły się pasma oparów. W powietrzu zalegał silny smród siarki. Tulbar spostrzegł, że rozdęta roślinność wokół zbiornika zdawała się kołysać mimo braku najbliższego chociażby powiewu wiatru. Woda okazała się jednak zdatna do picia i umożliwiła dalszą wędrowkę przez wzgórze.

W końcu dotarli do pozostałości dawnych kopalni, położonych w bardziej jałowej okolicy tuż pod stromymi szarymi szczytami. Olbrzymie, osypujące się w dół stoków hałdy świadczyły o rozmiarach prowadzonych tu niegdyś robót, lecz zaścielające ziemię odłamki rud nie przypominały Tulbarowi żadnego ze znanych mu cennych metali. Wyloty szybów blokowały wielkie owalne gązdy, dodatkowo pokryte woskowymi pieczęciami z kapłańskimi symbolami. Łączyły je sznury o zawiłym splocie. Po rytualnym zdjęciu pieczęci potrzeba było wysiłków wszystkich niewolników, by przy pomocy drugich lin z przewiązanymi supłami usunąć skały z wylotów sztolni.

Mimo zachowania ostrożności, jeden z wielkich gązów stoczył się po zboczu i zmiażdżył dwóch niewolników. Arcykapłan Khumanos odniósł się do tego równie lekceważąco, jak do zgonów podczas wycieńczającego marszu, lecz jeden z jego uczniów litościwie odprawił aż nazbyt znajomy obrządek odprawienia dusz umarłych w zaświaty.

Na zboczach znajdowały się łącznie trzy sztolnie. Wyloty kopalni nie wymagały napraw, poza wymieceniem z nich całych koszy pajęczyn. Niezliczone blade, rozdęte pająki, które je zamieszkiwały, broniły się bolesnymi ukąszeniami. Prastare stemple okazały się solidne. Nie trzeba było również umacniać wybitych w litej skale głębszych tuneli, co ocaliło przed wyrębem nieliczne pokręcone drzewa w dolinie.

Znalazłszy się po raz pierwszy w jednej ze sztolni, Tulbar dokonał osobliwego odkrycia. Zagłębiając się coraz bardziej pod powierzchnię stwierdził, że niknące światło słońca zastępuje zielonkawy blask, padający ze ścian tunelu. Niektórzy twierdzili, że bije on od mchu, lecz Hyrkańczyk szybko zorientował się, że najjaśniejszy blask roztaczają świeżo wykute bryły rudy. Zielono majaczące, ciepławe w dotyku skały wywierały w ciemnościach upiorne wrażenie, chociaż po wydobyciu na światło dnia prezentowały się jak zwyczajne, bladoszare kamienie.

To źródło światła pozwalało górnikom uniknąć smrodu i zagrożenia, związanego z olejnymi lampkami. Już pierwszego dnia po dotarciu do jaskiń zagnano niewolników do pracy. Mężczyźni kruszyli i nagarniali urobek w zielonkawym blasku, kobiety zaś wносиły pełne kosze na powierzchnię. Ruda zalegała w długich, wąskich żyłach, dlatego też nie trzeba było przebijać się przez otaczające skały, by się do niej dostać. Jarzący się minerał łatwo się kruszył; przecinały go naturalne szczeliny i rozpadliny, trafiały się nawet próżne zakątki. Ku zachwytowi kopaczy okazało się, że często tkwiły w nich skupiska wielościennych, piramidowatych kryształów, rzucających na wszystkie strony snopy ciepłego szmaragdowego blasku.

Zważywszy na trud i wydatki, jakie zadał sobie ów król imieniem Anaksymander, zawarty w rudzie metal musiał być wyjątkowo cenny. To oraz względna łatwość wydobywania kazała Tulbarowi zastanowić się, dlaczego nie wyczerpano jego złóż już przed wiekami – dlaczego, na przykład, nie przybyli tu Szartumczycy, by uszczknąć sobie nieco rudy? Hyrkańczyk odpowiedział sobie częściowo na te pytania, założywszy, że oczyszczenie jej wymagało zastosowania skomplikowanych metod, których znajomości trudno byłoby spodziewać się u pustynnych bandytów pokroju Fuaza.

Co więcej, wydawało się, że kapłani i monarchowie Sarku mają monopol na wykorzystywanie kopalń, chronionych zawiłymi klątwami i groźbami zbrojnego odwetu. Nie wydobyte złoża stanowiły zapewne zapas bogactwa dla przyszłych pokoleń rządzącej dynastii. Niejasną, lecz istotną rolę w wydobywaniu rudy odgrywały również religijne rytuały. Grupę, w której pracował Tulbar, wysyłano na przykład na zmianę do wszystkich trzech sztolni. Chociaż wydobywana z trzech szybów ruda była identyczna, Khumanos baczył, by jej nie mieszano i surowo karał naruszenia tej reguły. Urobek składano w pojemnych koszach z plecionymi pokrywami w różnych barwach: czarnej, czerwonej i żółtej. Wykrycie najdrobniejszego chociażby zaniedbania przy rozdziale rudy lub próby kradzieży równało się natychmiastowej, srogiej chłości, wymierzanej przez sarkańskich nadzorców.

Arcykapłan Khumanos wywarł na Tulbarze wrażenie chłodnego i nieprzystępnego. Wydawał dwóm młodszym kapłanom stanowcze i zwięzłe komendy gardłowym sarkańskim dialektem. Uczniowie również byli nieprzystępni, przejawiali jednak zwyczajne ludzkie słabości i uczucia – gorliwość i dokładność w wypełnianiu swych kapłańskich obowiązków, lecz także gniew, a nawet od czasu do czasu współczucie dla szartumskich niewolników. Khumanos natomiast odprawiał błogosławieństwa i modły beznamiętnie, jak gdyby zależało mu wyłącznie na poprawnym wykonaniu każdego szczegółu rytuału. Chociaż jedynie on z Sarkan władał narzeczem szartumskich Beduinów, rzadko rozmawiał z niewolnikami. Nigdy nie wygłosił do nich przemowy z obietnicami nagrody, wstawiennictwa czy pociechy. Motywy przywództwa Khumanosa nad wyprawą do kopalń pozostawały dla Tulbara niezgłębioną, dopuszczającą najbardziej posępne przypuszczenia tajemnicą.

Niewolnicy zwracali coraz większą uwagę na arcykapłana w miarę, jak zaczęły trapić ich rozmaite dolegliwości. Z początku były to swędzące wysypki, drobne owrzodzenia i niewielkie, nie gojące się rany. Trudno było znaleźć przyczynę tych chorób, zważywszy, iż praca była znośna, strawa niemal wystarczająca, nie brakowało też wody do mycia. Tulbara i Hekle ominęła większość z tych schorzeń, natomiast szartumscy niewolnicy kilkakrotnie wyznaczali spośród siebie delegacje, słane do arcykapłana z trwożnymi prośbami o pomoc. Nie otrzymali jej, lecz też niewielkie były możliwości jej udzielenia. Khumanos podał to samo wyjaśnienie, przy którym obstawał później, gdy starszych mężczyzn i kobiety

poczęły nękać poważniejsze objawy: bezwład w członkach, opuchlina czy ogólna niemoc. Twierdził, że są one wynikiem ukąszeń jadowitych pajaków z podziemi i rozkazywał niewolnikom bardziej przykładać się do pracy w tunelach.

Tulbar powtarzał sobie, że znoszone trudy są mało ważne w porównaniu ze spodziewanymi korzyściami. Był pewien, iż niebawem skończy się dla niego harówka o nieznanym celu.

Przez płótno namiotu przebił się blask księżyca. Był wystarczająco jasny, by pomóc Tulbarowi szybko i bezszelestnie przemknąć się między śpiącymi ludźmi. Hekla niewątpliwie znajdował się w umówionym miejscu; nie bez przyczyny obydwaj Hyrkańczycy doszli do znacznej wprawy w złodziejskim rzemiośle. Tulbar podciągnął pod siebie szczupłe nogi i podniósł się z posłania.

Bezszelestnie przekroczył tuzin śpiących niewolników. W namiocie rozlegało się wyłącznie ciężkie, gardłowe chrapanie chorych, nękanych koszmarami ludzi. Tulbar nie widział powodów do obaw; wartownicy niespecjalnie przykładali się do pilnowania obozu, bowiem więźniowie po całodziennej pracy byli zwykle tak wyczerpani, że nie dobudziłoby ich nawet energiczne szarpanie. Hyrkańczyk przestąpił przez kolejnego śpiącego mężczyznę i zatrzymał się przy macie Hekli.

Drobny złodziej widocznie nie słyszał zbliżania się Tulbara. Leżał z naciągniętą na głowę wyleniała derką z wielbłądziej skóry. To było niepodobne do Hekli; może zachorował? Tulbar ostrożnie położył dłoń na ciele kompana, by go nie wystraszyć. Nie spodobało się mu to, co poczuł. Uniósł róg derki i zajrzał pod spód.

Spod derki sączył się zielony blask. Hyrkańczyk poczuł nagle przypływ lęku i gwałtownym ruchem zerwał przykrycie.

Kryształy, które wyniósł ukradkiem ze sztolni i dał Hekli na przechowanie, rzuciły na matę pajęczynę jaskrawych, szmaragdowych promieni. Przez noc wypaliły dziurę w workach i torbach, w których były ukryte – i nie tylko w nich. W środku oślepiającej zielonej konstelacji leżało skurczone ciało Hekli. Szczerniałe popioły przylegały do zwęglonych kości. Uniósł się smród palonego mięsa, Tulbar poczuł na spotniałych dłoniach buchający od zielonych klejnotów żar.

Jęki Hyrkańczyka i jaskrawa zielona poświata obudziły innych. Niewolnicy trwożnie podchodzili do zwęglonego szkieletu, niektórzy jęczeli i zanosili się płaczem ze strachu. Po paru chwilach zjawili się wartownicy. Ciosami pejczy zapędzili przerażonych więźniów w róg namiotu, po czym ostrożnie przystąpili do zbierania resztek ciała i skradzionych, śmiercionośnych klejnotów.

Bez trudu zorientowano się, że Tulbar jest współnikiem martwego złodzieja. Żołnierze zabrali go do Khumanosa. Arcykapłan jak zwykle nie zdradzał nawet śladu emocji.

– Siejesz pośród nas niepokój – zwrócił się Khumanos do ponurego złodziejaszka. – Nie jesteś i nigdy nie byłeś Szartumczykiem, a teraz straciłeś jedynego przyjaciela. Trudno ci znieść brzemię, nałożone przez Wotantę na twoje barki. Rozumiem cię. – Khumanos zdjął zawieszony na rzemieniu na szyi pradawny amulet czy też relikwii: zaśniedziały ułomek miecza. – Mogę ci pomóc. Znam czar, który pozwoli złagodzić twoje cierpienie.

Wystawiwszy przed siebie tępe ostrze, ruszył w stronę Tulbara.

5.

WYZWANIE O PÓŁNOCY

Świątynne tancerki płaśły w rytm dźwięcznej melodii wokół turkusowej sadzawki przed alabastrowym posągami Sadyty, Jedynej Prawdziwej Bogini. Bosonogie, gibkie kapłanki w skromnych, powłóczyстых spódnicach i przybranych wstążkami nakryciach głowy stapały statecznie po niebieskim żyłkowanym marmurze. Po każdym kroku kobiety obracały się w koło, wyrzucały w górę stopy i ruszały dalej, wsłuchane w dźwięki zawodzących fletów i wibrujących cytr.

Zalegający pod perystylem frontonu świątyni głęboki cień łagodził żar dnia. Po przeciwnej stronie dziedzińca znajdował się posąg wyprostowanej, muskularnej bogini – wojowniczkini w drugiej szacie, wspierającej o ziemię przy kształtnej stopie drzewce włóczni. Twarz rzeźby miała surowy, nieprzenikniony wyraz. Kapłanki tańczyły wokół basenu na środku dziedzińca przed drewnianymi, pokrytymi zawiłymi płaskorzeźbami drzwiami, prowadzącymi do świątynnego sanktuarium. Naprzeciw portyku znajdował się masywny stół, zastawiony owocami, serem i twardymi ciastkami – darmowym poczęstunkiem dla tych, którzy przybyli oglądać ceremoniał i złożyć hołd bogini.

Conan stał w pobliżu stołu, blisko rozpiętej na wschodnim rzędzie kolumn atlasowej kurtyny. Cymmerianin zatrzymał się nieco z tyłu za resztą wiernych, mając w zasięgu dłoni misę z przyprawionymi cytrynami. W dzielnicy karawan trudno było o świeże owoce. Chociaż świątynia Sadyty była, jak zapewniano, otwarta dla wszystkich, barbarzyńca nie był pewny, z jakim przywitaniem się spotka. Wolał nie wywoływać kolejnej awantury. Wśród widzów znajdowali się świątynni wojownicy, wysocy urzędnicy miejscy oraz wykształceni Qjaranie; Conan do tej pory nie miał zbyt wielu okazji oglądać zamożniejszych mieszkańców miasta.

W pewnej chwili Conan poczuł, iż ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu – nie w surowy, władczy sposób, lecz poufale. Ponieważ uwaga wiernych skupiona była na tańcu, nie spostrzegł tego nikt z wyjątkiem Cymmerianina.

– Widzę, że zdjąłeś dzisiaj zbroję bohatera i włożyłeś przyzwoite ubranie – zabrzmiał delikatny kobiecy głos.

– Istotnie. – Conan odwrócił się dyskretnie. – A ty powstrzymujesz się od narcyztu. Na Croma, a więc to prawda! – Chociaż bez trudu rozpoznał dziewczynę stojącą w szparze między kurtyną i szeroką kolumną, był zaskoczony jej wyglądem. – Nie nazywasz się Inara, ale księżniczka Af... Afisa...

– Afriandra – odpowiedziała beztrudno młoda kobieta. – Co cię tu sprowadza, Conanie z dalekich krajów? Zdecydowałeś się nawrócić na wiarę w Jedyną Prawdziwą Boginię?

Barbarzyńca z Północy nie spieszył się z odpowiedzią – chłonał bajeczne piękno stojącej tuż obok niego dziewczyny. Jej twarz przepełniała radość życia, lecz daremnie byłoby szukać na niej śladów makijażu. Miała na sobie luźną bawełnianą suknię, obszytą na wysokości ramion i kolan złotą nicią i spiętą paskiem ze złotych ogniw, jakże różną od czarnej szaty z kapturem, w jakiej Conan widział ją ostatnio. Jej miękkie, jasnobrązowe włosy upięte były inkrustowanymi klejnotami grzebieniami i ozdobione gałązkami drobniotkiego, niebieskiego kwiecia. Nosiła wyszywane złotogłównem sandały, a jej smukłe, kształtne kostki i przedramiona obejmowały złote bransolety. Zachowywała się swobodnie, jak przystało na przedstawicielkę panującego rodu. Wsunawszy zza kurtyny Conanowi dłoń pod ramię, czekała na jego odpowiedź.

– Przyszedłem do świątyni obejrzeć pierwszy taniec jednej z dziewczyn z karawanseraju, Szarli. Chyba ją znasz – zdołał wymamrotać w końcu, pozornie beztrudnym skinieniem głowy wskazując dostojnie przesuwające się kapłanki.

Rozejrzał się, lecz nikt z pochłoniętych pełnym lekkością i wdzięku rytualnym tańcem widzów nie zauważył zasłoniętej przez dekorację księżniczki.

– Wątpię, czy poznałam ją równie dobrze jak ty. – Spojrzawszy nad ramieniem Conana na tancerki, Afriandra uśmiechnęła się filuternie. – Nie obawiaj się, na pewno zostanie przyjęte na nowicjat... me, to się chyba nazywa teraz duchowieństwem świeckim. Podrzędna ranga, lecz Sadita obdarzy ją szczodrymi łaskami. – Księżniczka spojrzała na Cymmerianina. – Powiedziałam Szarli, że w swoich wizjach widziałam ją w kapłańskich szatach.

– Mm, wspaniale. Kapłanek Sadyty nie obowiązuje zatem celibat? – odważył się zapytać Conan.

– Nie. Od stanu kapłańskiego nie wymaga się czystości, lecz zachęca do bratania się, by przyciągnąć do świątyni jak najwięcej wyznawców. – Afriandra przekrzywiła głowę i przyjrzała się kapłankom. – Szarla radzi sobie nieźle, powinna tylko przestać kręcić biodrami. Moja matka oduczy ją tego trzcinką podczas prób.

– Jesteś córką królowej, prawda? – spytał Conan, spoglądając na dziewczynę.

– Matka jest również arcykapłanką Sadyty. Stoi tam. – Afriandra wskazała skinieniem głowy dostojną kobietę w różowej szacie, widoczną za muzykami. – Jest w Qjarze tradycją, iż król bierze za żonę najwyższą kapłankę. Świątynią zawsze rządzi kobieta – dodała.

Conan zmarszczył brwi, przyglądając się bacznie posagowej urody niewieście o pełnych kształtach.

– Wiesz, jak wpakować uczciwego cudzoziemca w srogie tarapaty, dziewczyno. Pomagając w twoich wyskokach, naraziłem się nie tylko królowi, lecz i arcykapłance. Pozowanie na ziemiankę Inarę to kiepska maskarada.

– Istotnie. Mimo to dziękuję ci za pomoc. Gdyby rozeszło się, że księżniczka Qjary jest wróżbitką i awanturnicą, skandal nie ograniczyłby się tylko do świątyni. – Spojrzała błagalnie na Cymmerianina. – Czy mogę być pewna, że dochowasz tajemnicy? A może to już nie, sekret? Nie wyglądałeś na zaskoczonego, gdy do ciebie podeszłam. Powiedziałaś komukolwiek, kim jestem naprawdę?

– Słyszałem, jak szeptali o tym świątynni strażnicy, lecz nawet oni nie byli pewni – rzekł zniżonym do ledwie słyszalnego szeptu głosem Conan; nikt nie zwracał na nich na razie uwagi, a on wolał, aby tak pozostało.

– Wspaniale! – westchnęła Afriandra. – Ale trudno, maskarada skończona, skoro Zajus się domyśla.

– Pewnie wydaje się ci, że to wspaniały wojownik i gorliwy obrońca twej czci – rzekł Conan. – Mnie wydał się nadętym osłem...

– Zajus nie tylko broni mej czci. – Afriandra niespokojnie pokręciła głową. – Rodzice zgodzili się oddać mu moją rękę.

– Co?! – Conan z trudem ukrył oszołomienie. – Chcesz powiedzieć, że król Semiarchos i królowa Regula chcą powierzyć los swojej córki i miasta temu świętoszkowatemu błaznowi?

– Mówiłam ci, taka jest tradycja. Osoby wyróżniające się w świątynnej hierarchii w każdym pokoleniu odnawiają krew królewskiego rodu. Tym razem brak jest następcy tronu, dlatego mam poślubić najwyższego rangą oficera świątynnej straży.

– Czy władza przejdzie w twoje, czy w jego ręce?

– Zajusowi będzie przysługiwał królewski tytuł, lecz będę starała się wywalczyć sobie jak największe prawa. – Potrząsnęła głową. – Mam poparcie matki i ojca, być może nawet liczą się z moim zdaniem. W historii naszego miasta było niewiele sprawujących władzę kobiet, lecz z łaską Sadyty może zdołam utrzymać rządy naszego rodu...

– A co ci mówią twoje prorocze zdolności? – przerwał jej szeptem Conan. – Jaką przyszłość widzisz dla siebie i Zajusa?

– Nigdy go nie widziałam, kiedy byłam pod wpływem narcyntu – odparła Afriandra. – Tamtej nocy w karawanseraju nie patrzyłam w jego stronę... żeby mnie nie rozpoznał.

– Kocha cię? – spytał bez ogródek Cymmerianin.

– Widziałeś go. Czy jest w stanie kochać kogokolwiek oprócz siebie samego? – Wzruszyła z lekceważeniem ramionami. Niespodziewanie jej wędrująca nieuważnie wzdłuż ramienia barbarzyńcy dłoń zacisnęła się silniej na jego łokciu. – Conanie, muszę z tobą porozmawiać! Spotkaj się ze mną dziś w nocy. Po zachodniej stronie pałacu jest przylegający do murów dziedziniec. Wiesz, który? Ten z fontanną. – W jej cichym głosie brzmiała stanowcza nuta. – Bądź tam o wschodzie księżyca. Na pewno przyjdę!

Rozejrzawszy się ukradkiem, barbarzyńca przeniósł podejrzliwy wzrok zmrużonych oczu na księżniczkę.

– I co dalej? Chcesz, bym przemycił dla ciebie butelkę wywołującego prorocze widzenia trunku? Nie mam ochoty być chłopcem na posyłki...

– Nie, głuptasie! – Zdecydowanie pokręciła głową. – Wystarczy mi ty sam. Jeżeli zechcę ujrzeć cię w zbroi, sama zdobędę hełm i pancerz... Żartowałam tylko! – dorzuciła, widząc, że cofnął się niespokojnie. – Jeżeli przyjdziesz, będziemy mogli porozmawiać swobodnie o czymś, co mnie dręczy. – Położyła mu dłoń na karku, zdecydowanym ruchem nachyliła jego głowę, wspięła się na palce i wycisnęła pocałunek na jego ustach. – Obiecuj, że się zjawisz!

Księżyc wznosił się nad wzgórzami na wschodzie, daleko poza murami miasta. Poświata szerokiego sierpa ze sterczącymi w górę końcami padała na nagie stoki, szanice Qjary i dachy budowli. Srebrzyste światło odbijało się od fontanny na środku pałacowego dziedzińca, pozwalając rozróżnić zarysy kwiatów i sterczących nad nieruchomą taflą wody łodyg lilii.

W blasku księżyca wokół fontanny spacerowała samotnie smukła, zgrabna kobieta, rozglądająca się nerwowo na wszystkie strony. Jej postać odbijała się w wodzie między szerokimi liśćmi. Srebrna poświata kładła się na upiętych włosach i powłóczystej szacie, biel jej skóry lśniła w ciemności. Dzięki pięknu i delikatności wszędzie poza surową, pustynną krainą zostałyby wzięta za wodną nimfę.

Podszedłszy do zwisającej nad sadzawką gałęzi oliwnego drzewa; kobieta usiadła na kamiennym obrzeżu. Zanurzony w zamyśleniu dłoń w wodzie, rozglądała się wokół i od czasu do czasu wzdychała.

Ciemność w koronie drzewa nad wyczekującą dziewczyną jakby nagle zgęstniała. Czarna plama w absolutnej ciszy zaczęła zsuwać się w dół. Wreszcie mroczna sylwetka zeskokczyła bezszelestnie na płytki dziedzińca tuż obok dziewczyny. Przybysz powstrzymał dziewczynę przed paniczną ucieczką, położywszy jej dłoń na ramieniu.

– Nie krzycz, Afriandro! Nie jestem lubieżnym podglądaczem!

– Conanie, jak... jak się tu dostałeś? – zapytała księżniczka, otrząsając się z zaskoczenia i obejmując go serdecznie na powitanie.

– Zakradłem się tutaj przed wschodem księżyca, by nie wypatrzyli mnie strażnicy przy bramach – odpowiedział i przysiadł na chłodnych kamieniach obok Afriandry. – Niełatwo jest chodzić nocą po waszym mieście, nie wzbudzając podejrzeń.

– Widzę, że zabrałeś ze sobą broń. – Zwinnie przesunęła dłonią po rękojeści jego ilbarsyjskiego noża. – Obawiasz się pułapki?

– Raczej nie, ale nie mam ochoty stawać przed waszym świątynnym trybunałem. – Wzruszył ramionami i poklepał broń. – W razie konieczności najpierw użyłbym noża.

– Czy dlatego mieszkasz poza miejskimi murami? – spytała, patrząc mu w oczy. – Nie chcesz, by świątynni strażnicy odebrali ci broń?

– Również dlatego. I tak nie zamierzam zostać długo w Qjarze – odparł, wodząc czujnym wzrokiem po dziedzińcu. – Czekam na pierwszą karawanę, wędrującą na północ do Zamory. Liczyłem, że zdołam nie włądować się w żadną kabałę w waszym mieście, lecz wszystko wróży, że nie zdołam się tego ustrzec. – Przeniósł wzrok na dłoń Afriandry na jego ramieniu.

– Och, nie obawiaj się, Conanie, nie chcę cię usidlić, byś nie mógł dołączyć do karawany – odparła, pieszcząc bark Cymmerianina. Przysunęła się bliżej niego. – Brakuje mi po prostu kontaktu z podróżnikami i cudzoziemcami. Człowiek o doświadczeniu tak bogatym jak twoje na pewno zdoła mi... mm, doradzić, co mam uczynić, lepiej niż ktokolwiek z tak małego, zaściankowego miasta jak Qjara.

– Czyżbyś chciała, bym kogoś zamordował? – zapytał, nieznacznie się od niej odsuwając. – Któregoś z krewniaków z panującego rodu, czy też jakąś spiskującą kapłankę? Przyznaję, że miałem się różnych zajęć, a w razie potrzeby nie wzdramam się przed zabijaniem, lecz nie wynajmuję się do załatwiania dworskich porachunków, jak być może myślałaś.

– Och, nie, Conanie! – Księżniczka zaśmiała się pogodnie, opierając się o Cymmerianina niemal całym ciężarem ciała. – Chciałam cię jedynie wypytać o pewne ogólne aspekty władania miastem... oraz wiary.

– Wiary? – mruknął z powątpiewaniem. – Jeżeli pragniesz mnie nawracać...

– Nie, nie! – zapewniła barbarzyńcę ze śmiechem i złożyła czubki palców na jego wargach, by go uciszyć. – Powiedz mi, co sądzisz o religii Jedynej Prawdziwej Bogini? Wiem, że boginie rzadko są czczone w tej części Szemu... – zawiesiła głos, zdejmując dłoń z ust Conana.

– Tak jest prawie wszędzie – zapewnił ją. – W wielkich królestwach Hyborii miejsce bogiń jest u boku bogów – ich mężów, chociaż czasami, rzadko, one mają większą władzę. – Po namyśle dodał: – Tam czci się różnych bogów, wyznawanych pierwotnie w kolejno podbijanych prowincjach. W szemickich miastach – państwach wierzą przeważnie tylko w jedno bóstwo, przeważnie męskiego rodzaju, zwierzę o wybitnie męskich cechach lub też istotę mieszanego, zwierzęco-ludzkiego charakteru, obdarzoną rogami i kopytami. Dlaczego w ogóle o to pytasz?

Afriandra ponownie złożyła mu dłoń na ustach i pokręciła głową.

– Powiedz mi jedno, Conanie, jak reguły wiary w Saditę prezentują się w porównaniu z innymi szemickimi miastami?

– Mówiąc prawdę, uważam życie w Qjarze za znośne. – Conan odchrząknął. – Dlatego właśnie, że szanuję wasze zwyczaje, staram się postępować tu ostrożnie. W wielu szemickich miastach królowie są równocześnie głowami kościołów; zazwyczaj obydwie urzędy sprawują równie twardą ręką. Ustanawiają bez liku praw, wymierzają surowe kary, a ich bogowie to najczęściej gnijący ze starości tyrani o temperamencie rogatego byka i nienasyconym apetycie na niemowlęta lub młode dziewczęta. – W głosie Conana pojawiła się gorycz. Potrząsnął głową ze zniechęceniem. – Crom, bóg mojej ojczyzny, jest zupełnie inny: pozwala człowiekowi swobodnie dożyć swoich dni, dopiero później odbywa osąd! Czczony przez Hyborian Mitra dla odmiany uczy ludzi doczesnej mądrości. Kultury południowych bogów są zwykle narzucane siłą, często łączą się z ohydnyymi obrzędami i udręczeniem... – Cymmerianin dał upust narastającej irytacji długim westchnieniem. – Staram się ich unikać, o ile tylko zdołam.

Afriandra skinęła ze zrozumieniem.

– Nie uważasz więc, iż nasza wiara jest okrutna?

– Wasza? Nie, Qjaranie traktują mnie dobrze jak na cudzoziemca, chociaż nie ufają mi zbyt wiele. Twoi rodzice i ich świta sprawują dobrą opiekę nad miastem, a

ich przywileje i kaprysy nie są zbyt dokuczliwe – z wyjątkiem osób w rodzaju twojego narzeczonego. Ty sama spotykasz się ze mną w środku nocy, chociaż jesteś córką władcy tego miasta... – Otoczył ją ramionami.

– Ach, więc to tak! Tego się właśnie obawiałam! – Dziewczyna rozluźniła się niespodziewanie i z zadumą pokiwała głową. – Powiedz, czy wiesz coś o Wotancie, bogu Sarku, miasta położonego na południowy wschód stąd?

– Nie – nic więcej prócz tego, co już ci powiedziałem. – Conan z rezygnacją rozluźnił objęcia. – Nigdy tam nie byłem.

– Moi rodzice otrzymali posłanie od tamtejszego władcy, spisane złotym atramentem na zwoju, dostarczonym w złotym futerale – wyjaśniła księżniczka. – Jako wyraz przyjaźni, tamtejszy król chce ustanowić w Qjarze misję obowiązującego w Sarku wyznania. Miałyby to być szkoła adeptów kapłaństwa i świątynia, położona w pobliżu naszego przybytku Sadyty.

– Strzeżcie się – stwierdził Conan. – To może być krok, poprzedzający zbrojna napaść. Bóg obcego kraju to często pierwszy żołnierz najeźdźczej armii.

– Tego się właśnie obawiam – powtórzyła Afriandra. – Mojemu ojcu jednak bardzo się spodobał ten pomysł, chociażby jako sposób na wzmocnienie swojej pozycji wobec matki. Dowiedział się o tym również Zajus; zdaje się również popierać tę ideę. Padł nawet pomysł, by urządzić zaślubiny Sadyty i Wotanty. Boskiemu związkowi i wspólnej wierze w ich oboje miałyby towarzyszyć unia naszych miast.

Twoja matka woli pozostać przy wierze tylko w Jedyną Prawdziwą Boginię, czy tak? – spytał Conan. – Królowa sprawia wrażenie... zdecydowanej.

– Niestety, Zajus, pierwszy szermierz świątyni, jest jej pupilem. – Afriandra pokręciła głową z niechęcią. – Jedno jest pewne: darzy go cieplejszymi uczuciami niż mnie, dlatego też może zmienić zdanie pod wpływem jego podszeptów. – Uniosła wzrok. – Twierdzisz, że obcy bóg okazałby się tyranem?

– Niewątpliwie. Zajus marzy po prostu o większej władzy, szykując się do zostania królem Qjary. – Conan spojrzał księżniczce w oczy. – Musisz się temu sprzeciwić, jeśli chcesz zachować swoją pozycję.

– Och, to trudne. – Afriandra ponownie westchnęła. – Myślę, że potrafię stawić mu czoło, lecz czasami przeraża mnie myśl, że zostanie moim mężem w obliczu Sadyty, że według reguł naszej wiary nie będzie mi wolno nawet pocałować żadnego innego mężczyzny! Zawsze marzyłam o kimś subtelnym i rozumiejącym, nie bojącym się okazać swych uczuć i namiętności... – Jak gdyby chcąc zademonstrować, o co jej chodzi, przytuliła się do piersi Cymmerianina i złożyła na jego ustach ciepły, niepewny pocałunek. – Och, teraz mi dobrze – szepnęła. – Boję się samej myśli o sztywnych objęciach Zajusa, lękam się jego twardych, zimnych warg!

Conan wypuścił powietrze z płuc, przesuwając dłonią wzdłuż pleców księżniczki.

– Przekonasz się, że sztywność u mężczyzny jest niekoniecznie wadą – ośmielił się rzec, przytulając silniej gibką dziewczynę.

– Może – gdy dotyczy właściwego miejsca – odparła żartobliwie. – Na pewno taki mężczyzna jak ty potrafi okazać sztywność tam, gdzie potrzeba, i wtedy, gdy potrzeba, a gdzie indziej jest delikatny i giętki...

Oparła się o pień oliwki i pociągnęła go za sobą, niemalże dusząc gorliwymi, spragnionymi pocałunkami. W ten sposób minęło im parę minut.

– Ach tak, Afriandro! – przerwał im nagle surowy głos. – To w taki sposób zabawiasz się wieczorami?! Najpierw zapuszczasz się do zajazdów i zamtuzów poganiaczy wielbłądów, a teraz migdalisz się z jakimś brudnym cudzoziemcem?!

W przenikliwych słowach brzmiało znajome Conanowi połączenie gniewu i świętoszkowatego oburzenia. Padały one z ust wysokiego, pogrążonego w cieniu człowieka, który podkrał się spod bramy w murze wzdłuż krzywizny basenu. Mężczyzna gestykulował zawzięcie, lecz nie dobył miecza. Była to osoba, o której parę chwil wcześniej rozmawiali Conan i księżniczka: świątynny wojownik Zajus.

– Chcesz okryć mnie hańbą?! – wrzał gniewem szermierz. – Mnie, mianowanego arcymistrzem świątyni Sadyty? Miałbym poślubić skalaną przez ciebie kobietę? Miałbym pojąć pod błogosławionym baldachimem Bogini za żonę ochłapy ze stołu brudnego poganina?

– Giń, nędzniku! – krzyknął w odpowiedzi Conan, odrywając się od pólężącej księżniczki.

Wyszarpnął nóż z pętli przy pasie, lecz kobieta zdołała powstrzymać go, desperacko uwiesiwszy się jego ramienia. Wlokąc ją za sobą, Cymmerianin zatrzymał się dwa kroki przed stojącym nieruchomo, rozzłoszczonym Zajusem.

– Conanie, nie możesz go zabić w ten sposób! – zawołała księżniczka, osuwając się na kolana. – Oddał się na służbę bogini!

– Prawda, poganinie! – potwierdził Zajus. – Nie ma tu dla ciebie miejsca, więc znikaj! Popełniłbym śmiertelny grzech, gdybym zbrukał święty miecz twoimi nieczystymi wnętrznościami. – Walnął pięścią o kunsztowną głownię swej broni. – Skrzyżowanie ceremonialnego ostrza z takim czarnym, obmierzłym szpikulcem... – pełnym odrazy gestem wskazał ilbarsyjski nóż w garści Cymmerianina – ...zhańbiłoby całe nasze miasto!

– Słowa tchórza, chowającego się pod spódnicą kobiety, choćby i bogini! – zrewanżował się Conan.

– Nie kryję się przed nikim, lecz jestem sługą Sadyty – oświadczył Zajus. – Ale skąd mógłbyś wiedzieć o tym cokolwiek, dzikusie? Nie masz pojęcia, jak zachowywać się między cywilizowanymi ludźmi. Nie widziałem jeszcze, by z barana z Północy udało się zrobić porządnie zbierającego nawóz niewolnika, nie mówiąc już o wolnym mieszkańcu pobożnego kraju...

Conan wyrwał się Afriandrze i rzucił na Zajusa z gardłowym, nieartykułowanym okrzykiem. Wypuszczony przez barbarzyńcę nóż padł ze szczękiem na płyty dziedzińca. Cymmerianin zasypał świątynnego wojownika gradem niemiłosiernych ciosów pięści. Wszystkie dosięgały celu – lecz bez pełnej siły, bowiem przeciwnik robił uniki i uskakiwał z godną doświadczonego szermierza wprawą. Tylko to ocaliło Zajusa, bowiem każde z uderzeń wystarczyłoby, by go powalić na ziemię bez przytomności lub żyda. Narzeczony księżniczki jeszcze nigdy nie starł się z równie zażartym przeciwnikiem. Ledwie radził sobie z wywijaniem się przed ciosami barbarzyńcy, lecz wkrótce zaczął zataczać się wskutek nie trafiających wszak z całą mocą uderzeń. Cymmerianin raz po raz dosięgał celu. Zapędził przeciwnika w kąt dziedzińca, aż księżniczka ponownie uczepliła się jego ramienia.

– Conanie, przestań! Pozbawiając go w ten sposób honoru, obrażasz boginię!

Wybawiony przez kobietę po raz drugi tej nocy, Zajus ledwie trzymał się na nogach. Dyszał ciężko, kurczowo zaciskał dłoń na rękojeści wydobytego do połowy miecza. Jego tunika była rozdarta w tuzinie miejsc. Zdołał wszelako zebrać strzępy godności w obliczu zwalistego Cymmerianina.

– Mój honor?! – wykrzyknął, wsuwając wspaniałe ostrze do pochwy. – Jak ktoś tak niskiego urodzenia mógłby odebrać honor wojownikowi Sadyty? W świątynnej szkole nie uczyłem się karczemnych bijatyk. Gdybym miał stanąć z takim osiłkiem do prawdziwego pojedynku, zaprezentowałbym mu szermiercze umiejętności, o których mu się nawet nie śniło! – Usłyszawszy gniewne warknięcie Conana, zwrócił się do księżniczki: – Afriandro, odeślij tego łotra. Pomogę ci odprawić pokutę przed ołtarzem Sadyty...

– Zajus, ty tchórzliwy błaznie! – warknął niskim, złowróżbnym tonem Cymmerianin. – Wypruję ci śmierdzące flaki! Nie zatłukłem cię na śmierć, bo nie chciałem, żeby oglądała to księżniczka, ale skoro chcesz, wyzywam cię zgodnie z waszymi świętymi regułami na publiczny pojedynek! Walkę jeden na jednego, na miecze, przed świątynią waszej wszechmocnej bogini!

– Ha, nie brak ci czelności! – zawołał z przyganą Zajus. – Nie wiesz, że w świątynnych pojedynkach mogą brać udział tylko urodzeni w wierze w Sadytę? Nie ma w nich miejsca dla cudzoziemskiego poganina; byłoby to bluźnierczą parodią! Odejdź!

– Tak, Conanie, zostaw nas – powiedziała Afriandra, stając między Cymmerianinem i jego nieprzyjacielem. – Prosiłam etę o pomoc; teraz błagam cię o nią znowu, bardziej niż przedtem. Dla dobra miasta i naszej wiary, zostaw Zajusa i mnie naszemu nieszczęsnemu losowi!

6.

KUŹNIA BOGÓW PODZIEMIA

Arcykapłan Khumanos szedł boso po pokrytym kruchym, kłującym wulkanicznym pyłem zboczcu. Wielomilowa wędrówka sprawiła, że jego stopy pokryły się odciskami; stwardniałe podeszwy zbieleły od zadawanych im katuszy. Tam, gdzie nie wytrzymały obciążenia, przy każdym kroku sączyły się kropkle szkarłatnej krwi. Czerwone plamy znaczyły jego drogę przez skaliste pustkowia, ułatwiając uczniom podążanie za nim. Świątobliwy mąż z zapamiętaniem szedł naprzód, ani razu nie spojrzawszy pod nogi i nie zauważywszy pozostawianych śladów.

Mimo rozmiarów swego poświęcenia, jeszcze większych wysiłków wymagał od

towarzyszących mu ludzi. Niektórzy z nich stracili już obuwie; sandały pozostałych powoli rozpadały się w strzępy pod wpływem pokrywających zbocza gór ostrych jak brzytwa krawędzi pęcherzykowatego pumeksu i czarnego szkła. Wszyscy członkowie wyprawy, zarówno mężczyźni jak i kobiety, nieśli ciężkie kosze, wyładowane brudnozieloną rudą. Ze zgiętych wpool pod ciężkim brzemieniem robotników lały się strugi potu. Pilnujący ich sarkańscy żołnierze również poruszali się niemrawo pod ciężarem dźwiganych zapasów jada, picia oraz broni. Dwaj świątynni adepci służący Khumanosowi maszerowali bez obciążenia, lecz przypadało im wyczerpujące zadanie zmuszania upadających niewolników do ponawiania wysiłków. Nad tymi, którzy nie zdołali już się podnieść, odprawiali ostatnie sakramenty.

Wędrówka przez niziny po opuszczeniu kopalni w szartumskich wzgórzach przebiegła względnie spokojnie. Zawarty z Fuazem pakt sprawił, iż łupieżcy zachłannego szejka nie nękali orszaku; nie natknięto się również na żadne z rywalizujących plemion grasujących w tej okolicy ani na bandy renegatów. Niewolnicy uznawali to za dowód wyjątkowego szczęścia, byli bowiem przekonani, że dźwigana przez nich ruda jest wyjątkowo rzadka i cenna. Niektórzy głosili ukradkiem, iż u kresu podróży jej porcje zostaną rozdzielone między nich w nagrodę za wierną służbę.

W miarę wędrówki rozmowy o nagrodzie, rodzinnych stronach nad Jeziorem Szartumskim i na jakiegokolwiek inne tematy stawały się coraz rzadsze. Niewolnicy zdążyli za Khumanosem w milczącej pokorze, jak za świętym prorokiem. Jeżeli ktokolwiek narzekał lub zastanawiał się nad sensem wyprawy, kapłan w niemal cudowny sposób wzbudzał w niedowiarku bezgraniczne posłuszeństwo. Wystarczała mu na to krótka rozmowa na osobności. Zauważywszy to, niewolnicy doszli do wniosku, iż zaiste ich przywódca jest świętym człowiekiem. Od tej pory starali się traktować trudy niewoli jako sposób zyskania boskiej łaski. Szanowali wyrzeczenia i pogardę dla wygod, których przykład dawał im Khumanos. Naśladowali go, bowiem nie mieli innego wyboru.

Orszak wędrówców dotarł w końcu do pasma gór. Niskie, zębate szczyty były nazywane przez plemię Szartumczyków Kominami Szatana ze względu na widoczne za dnia kłęby gryzącego dymu i malujące się na tle nocnego nieba odbłaski czerwonych ogni. Znaczony krwawymi ofiarami szlak doprowadził wyprawę pod wierzchołek niekształtnej, jak gdyby przyczapionej góry. Pod koniec wędrówki jedynie fanatyczna wiara w boskie wstawiennictwo potrafiła przekonać niewolników, że wyjdą z niej z życiem.

Khumanos wyszukiwał drogę na podstawie nigdy nie widzianych na własne oczy znaków, które znał z instrukcji Solona. Nie miał już nieśmiertelnej duszy, więc znosił trudy lżej niż w trakcie wyprawy do Doliny Ognia. Wówczas doczesne nadzieje, lęki i aspiracje osłabiały jego determinację; obecnie zależało mu wyłącznie na osiągnięciu postawionego sobie celu. Nic nie zakłócało jasności jego percepcji, bez najmniejszego wahania podejmował właściwe decyzje, zmierzające do wypełnienia woli swego władcy oraz stojącego za nim boga w niebiosach.

Kapłan dostrzegł w oddali samotnego chłopca, w trudzie uprawiającego sypką, lecz żyzną glebę stromych wulkanicznych zboczy. Zasiany przez wieśniaka zielony owies sięgał wysokości głowy dorosłego mężczyzny, jaskrawo kontrastując z czerwienią stoków wąskiej doliny. Po chwili rolnik zniknął wśród bujnego zasiewu; Khumanos zdawał sobie sprawę, że wieśniak rozniesie wieść o zbliżaniu się orszaku intruzów.

Gdy nastało gorące południe, arcykapłan doprowadził niewolników do kamienistego pagórka u skraju sporej wulkanicznej niecki. Zamknięty ze wszystkich stron skalny cyrk otaczały dymiące fumarole i poczerniałe granitowe urwiska. Po przeciwnej stronie było pustkowienie, pełne hałd popiołu, cyklopowych rozmiarów głazów i kopców pumeksu. Bliżej widać było parujący górski potok i przedzielone rzadkimi drzewami uprawne pola. Między rozrzuconymi po dnie doliny kamiennymi chatami krzątali się – jak gdyby ukradkiem – wieśniacy, najwyraźniej spodziewający się nadejścia przybyszów.

Nim orszak dotarł do pylistego, płaskiego placu przed zabudowaniami wioski, pozostał tam tylko jeden człowiek. Był to stary wieśniak o bujnej brodzie, odziany w spiczastą czapę, baranicę, portki z owczej skóry i wysokie, sznurowane buty, chroniące przed gorącym żużlem. Niewolnicy z ulgą złożyli na ziemię dźwigane kosze i zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu studni. Khumanos, zostawiwszy ich samym sobie, podszedł do wieśniaka i przemówił bez ogródek:

– Wypełniliście swoje obowiązki? Przygotowaliście narzędzia?

Chłop pokornie przytaknął, a na jego pobrużdżoną twarz wypłynął potulny uśmiech.

– Nasz klan sumiennie wypełniał rozkazy waszych miłości. Przez siedem stuleci starannie przechowywaliśmy powierzony nam sprzęt. – Skłonił się z szacunkiem i kontynuował: – Natłuszczaliśmy metalowe części olejem palmowym, chroniliśmy bardziej kruche narzędzia przed żarem i popiołami, strzeżliśmy wszystkiego przed kradzieżą i zbezczeszczeniem. Wedle poleceń przygotowaliśmy również drewno – jest porządnie sezonowane. Wyrab był siedemnaście lat temu.

Uśmiechnawszy się ponownie, starzec służalczo wyciągnął dłoń po zapłatę. Khumanos nie zareagował.

– Oprowadź mnie – rozkazał.

Odwróciwszy się, wznosił dłoń z trzema wyprostowanymi palcami i skinął. Po chwili trzech sarkańskich żołnierzy odłączyło się od tłoczących się przy poidłach niewolników i podeszło do arcykapłana.

Starzec odwrócił się bez słowa i ruszył poza krąg chat. Khumanos podążył za nim, a strażnicy zamknęli miniaturową procesję. Szli wykładaną głazami ścieżką między kołyszącym się zbożem. Wkrótce dotarli do wydeptanej dróżki, wijącej się między hałdami żużlu, dymiącymi otworami w ziemi i kałużami gęstego, bulgoczącego błota.

Bijący od ziemi żar stawał się coraz silniejszy. Zniknęły oczka czystej wody. Powietrze nabrało metalicznego posmaku, słychać było hałaśliwie zawodzący wiatr. Błękitne dotąd niebo nabrało szarawego odcienia, niewątpliwie za sprawą dobywających się ze zwałów żużlu oparów. Przed piątką mężczyzn znajdowało się największe źródło wulkanicznego materiału – ziejąca szczelina u podstawy ciemnego, bazaltowego zbocza. Przez falujące od żaru powietrze widać było skłębiony pióropusz ciemnego dymu, podświetlony niesamowitymi czerwonymi odbłaskami z krateru. Słup dymu wzbijał się na gigantyczną wysokość, nim pustynny wiatr zdołał go rozproszyć.

Obok dziury w ziemi widać było ślady ludzkiej działalności. W purpurowej poświacie majaczyły olbrzymie narzędzia: wielkie metalowe rynny i zbiorniki, poskręcane i zaopatrzone w zawiasy z przerdzewiałej stali gigantyczne formy z czarnego bazaltu oraz niebotyczny, przypominający szubienicę żuraw. W wysokich, zadaszonych łupkiem niszach, zasłoniętych grubymi murami z żużlu przed korodującym wpływem wulkanicznych wyziewów, ustawiono zabezpieczone ciężkimi żelaznymi łańcuchami rzędy długich tyk i łopat. Mimo iż sprzęt był przysypany warstwą popiołu, widać było, iż jest starannie utrzymany i gotowy w każdej chwili do użycia.

– A drewno? – zawołał Khumanos do stojącego obok zgarbionego pod wpływem dręczącego gorąca wieśniaka, który sprawiał wrażenie karła na tle gigantycznej maszynierii. – Pokaż mi przygotowane drewno!

– Najpierw zapłata – odparł starzec, drepzcząc w stronę arcykapłana z wyciągniętą dłonią.

– Najpierw drewno – odrzekł Khumanos, ani myśląc sięgać po sakiewkę.

– Jak sobie życzysz, panie.

Starzec wrzucił ramionami i dał znak Khumanosowi, by szedł za nim. Okrążyli kamienisty pagórek, przynajmniej częściowo chroniący przed buchającym z krateru żarem.

– Bijące z żużlu opary są doskonałe do sezonowania drewna. Dzięki nim staje się twardsze i bardziej trwałe – stwierdził.

– Istotnie – odparł Khumanos, podążając tuż za wieśniakiem i nakazując żołnierzom gestami, by go nie odstępowali. – Oczywiście potrzebuję waszej pomocy. Musicie nauczyć nas, jak posługiwać się tymi narzędziami.

– Zgadza się – odparł wieśniak i znacząco przekrzywił głowę. – Oto twoje drewno, panie.

Poprowadził arcykapłana i trzech strażników wokół szczerbatego bazaltowego występu i wskazał jaskinię w zboczu hałdy żużlu. W jej wylocie widać było kilka grubych, okorowanych pni.

– A koła? – spytał Khumanos. – Nie widzę ich. Je także mieliście przygotować.

– Są w jaskini. Jeżeli podejdziesz bliżej, zobaczysz je, panie. Leżą tam, w cieniu. – Starzec powstrzymał ruszającego z miejsca kapłana i ponownie wyciągnął rękę. – Zgodnie z zawartą przed wiekami umową, czas na złoto.

Niedbale przytaknąwszy, Khumanos wsunął dłoń pod płaszcz i odwiązał od pasa sakiewkę. Wyciągnął wypchaną, ciężką kabzę, wetknął ją starcowi w rękę i podążył

za nim do jaskini. Nachyliwszy się nad żółtawobiałym drewnem, stwierdził, że jest solidne i dźwięcznie rezonuje przy opukiwaniu kłękami.

– Wieśniak zniknął w jaskini! – zawołał jeden ze strażników.

Trzej żołnierze, którzy posłusznie ustawili się przy wylocie pieczary, by uniemożliwić starcowi ucieczkę, rzucili się na poszukiwania chłopca. Rozległy się odgłosy potracanych kamieni i szuranie stóp, pospołu z bluźnierczymi przekleństwami, gdy Sarkanie objęli się o niewidoczne w ciemności załomy. Na moment zapadła cisza, po czym żołnierze przy akompaniamencie dalszych przekleństw skrzesali ogień.

Po paru chwilach jeden ze strażników wyłonił się z wylotu jaskini. Khumanos przyglądał się co najmniej dziesięć kół o średnicy dorosłego człowieka, okutych brązową taśmą i zaopatrzonych w spiżowe tuleje na piasty.

– Wasza świątobliwość, nie wiemy, gdzie podział się wieśniak. Znaleźliśmy tylko na kamieniach krople wosku z jego świecy. – Najwyższy rangą żołnierz zawahał się. – Ciężko będzie wykurzyć go z tej pieczary..

– Zapewne pełno w niej bocznych odnóg i korytarzy prowadzących do wyjść w dole zbocza. – Khumanos oderwał się od przyglądania kołom i dołączył do strażników. – Nieważne, dozorczy zawsze uciekają – stwierdził. – Na pewno będą siedzieć w ukryciu, dopóki stąd nie odejdziemy.

Przez następne dni skalny cyrk stał się areną wytężonej pracy. Rudę przeniesiono na skraj dymiącego krateru i złożono w trzech odrębnych kopcach – tak, jak wydobyto ją z różnych sztolni. Następnie każdą stertę po kolei wrzucano do wielkiego żelaznego zbiornika. Wielka jak barka kadź z wyższą z jednego boku krawędzią zaopatrzona była na rogach w żelazne uszy.

Przez uszy przeciągano łańcuchy i przy pomocy długich metalowych tyczek spychano zbiornik na sam skraj ognistej otchłani. Zabierało to mnóstwo czasu, zwłaszcza gdy znajdował się blisko krateru, bowiem żar i siarczane opary były niemal nie do wytrzymania. Kolejne grupy niewolników zmieniały się w krótkich odstępach czasu; wyczerpani, krztuszający się robotnicy z wysiłkiem schodzili w dół zbocza, podczas gdy ich miejsce zajmowała następna grupa.

Przesuwanie kadzi wyglądało na błąhostkę w porównaniu z kolejnym etapem pracy. Narożne łańcuchy szczepiano z innymi, znacznie cięższymi i grubszymi. Podczepiano je do haka żurawia sterczącego nad ognistą otchłanią. Spełniając nieugiętą wolę wychudłego kapłana, nieszczęśni niewolnicy obracali znajdujące się zaledwie o parę kroków od skraju wulkanu kołowroty, by wzniesić w powietrze kadź wraz z całą zawartością. Później przy pomocy dźwigni, z dodatkowym nakładem wysiłku i ryzyka, ładunek żurawia spychano nad gorejącą dziurę w ziemi.

Gdy kadź znajdowała się nad wylotem wulkanu, powolne szczykanie zapadni oznajmiało, iż ostrożnie zwalniano kołowrót żurawia. Zawieszoną na nieskończenie długich łańcuchach kadź opuszczano w głąb krateru, by jej zawartość stopiła się w piekielnym ogniu. Niemal natychmiast po spuszczeniu, wciągano ją z powrotem, by żar nie stopił zbiornika lub najniższych ogniw łańcucha. Łańcuch nawijał się ogniwo po ogniwie, ząb po zębie obracała się zębata kołowrotu, aż wreszcie brzemień ładunku wynurzało się spod powierzchni ziemi. Tuż po wydobywaniu z wulkanicznej kuźni czerwone, gorejące odłamy rudy przypominały węgle w kominku, a żelazna kadź była miejscami rozgrzana do białości.

Nim metal zdążył ostygnąć, półnadzy niewolnicy przegarniali go łopatami i grabiami na drugich trzonkach. Starali się w miarę możliwości chronić je przed spopielającym żarem, lecz i tak ciężkie narzędzia rozgrzewały się do czerwoności. Po przegarnięciu zawartości kadzi, odpychano ją od skraju krateru i spuszczano znowu w piekielny komin. Wydobywano ponownie, przegarniano, opuszczano... łącznie trzykrotnie, bez wytchnienia; dbały o to czujne oczy Khumanosa i długie bicze sarkańskich nadzorców.

Za trzecim razem kamień i szlaka nad rudą wypalały się zupełnie. Na dnie kadzi ci, których oczy nie opuchły lub nie pokryły się owrzodzeniami od wysuszającego gorąca, mogli dostrzec cienką, płynną warstwę stopionego metalu. Zielony blask surówki kontrastował z czerwienią rozpalonego zbiornika i napiętych łańcuchów. Po wytopieniu rudy kadź windowano najwyższej jak pozwalał żuraw i ostrożnie spychano na bok. Wymagało to wyjątkowej uwagi, bowiem struga ruchliwego jak żywe srebro metalu mogła w jednej chwili wypalić w ludzkiej piersi dziurę wielkości pięści, zamieniając tętniące serce w obłok cuchnącej pary. Taki właśnie los spotkał jednego z nieszczęsnych rabów. Następnie rozpaloną kadź opuszczano powoli na wysokie stalowe rusztowanie, pozwalające na

przechylenie jej tak, by płynna surówka spływała do podstawionej rynny. Pod koniec wylewania przegubowa konstrukcja rusztowania wznosiła się jeszcze wyżej, by metal wyciekł doszczętnie ze zbiornika. Jaskrawy jak szmaragd, dymiący potok toczył się żelaznym korytem do leja, z którego wpadał do opatrzonej w zawiasy olbrzymiej, starannie zaryglowanej kamiennej formy.

Po napełnieniu forma z potraskiwaniem osiadała pod wpływem żaru i ciężaru metalu. W jej szparach widać było upiorny zielony blask. Po paru chwilach również kamień zaczynał dymić pod wpływem nieznośnego gorąca.

Wkrótce po pierwszym napełnieniu, w głęboką noc, Khumanos zarządził modły dziękczynne do Wotanty za pomyślny przebieg pierwszego dnia pracy. Po ich zakończeniu wyczerpani, poparzeni niewolnicy o opalonych brodach i brwiach zwalili się do snu. W obozie rozlegało się wkrótce wyłącznie ciężkie dyszenie; ognisty dech wulkanu poparzył ludzkie krtanie i piersi. Mimo znużenia żaden z niewolników nie był w stanie zapomnieć, iż po wydobyciu z formy pierwszego odlewu czekało ich wytopienie w piekielnym palenisku dwóch kolejnych.

Po paru dniach, gdy kamienna forma ostygła na tyle, iż można było się do niej zbliżyć, wybito czopy z metalowych zawiasów i rygli. Po odłupaniu połówek formy, ukazała się strzelista bryła srebrzystobiałego metalu o nieokreślonym, mniej więcej klinowatym kształcie. Niewolnicy zdołali się domyślić, iż jest to część posągu. Khumanos natychmiast rozkazał zakryć ją namiotowym płótnem i obwiązać sznurami. Odlew przeniesiono następnie na sanie, zmontowane z drewna z jaskini. Przed podjęciem pracy przy kraterze wulkanu, niewolnikom nakazano przeciągnąć je do wioski, gdzie pozostawiono odlew pod strażą.

Arcykapłan nadzorował odlewanie dwóch kolejnych części posągu. Korzystano z tej samej kadzi, lecz różnych form. Za każdym razem Khumanos beznamiętnie przyglądał się gotowemu odlewowi, oświadczał, że jest wykonany należycie i nim zdążyli się mu przyjrzeć strażnicy czy wycieńczeni robotnicy, własnoręcznie spowijał go płótnem. W miarę postępu robót, niewolnicy pracowali coraz wydajniej, a nawet bardziej karnie. Dotykające najsłabszych i chorych wypadki sprawiały, że było coraz mniej narzekających.

Mimo znacznych strat, pozostali przy życiu robotnicy bez szemrania odlewali ostatnią część posągu. Khumanos nakazał, by jedna trzecia niewolników ruszyła w drogę w doliny z pierwszym odlewem. Drugi pozostał pod strażą przy lepiankach dozorców kuźni. Z sobie tylko znanych powodów arcykapłan zarządził, iż części posągu muszą być trzymane z dala od siebie, przez co jeszcze bardziej zmniejszyła się liczba niewolników, zdolnych do obracania kołowrotów i szufłowania rudy.

Wytopu udało się dokończyć w dużej mierze dzięki wysiłkom niejakiego Tulbara – zrazu buntowniczo nastawionego hyrkańskiego niewolnika, który za sprawą Khumanosa zmienił się w posłusznego wykonawcę jego woli. Tulbar nieustępliwie obracał kierat na przemian z przerzucaniem rudy długo po tym, gdy żar przepędzał mniej wytrzymałych więźniów.

Tuż przed zlanie surówki, gdy po raz ostatni podstawiono rynnę na roztopiony metal, Hyrkańczyk przeszedł w gorliwość samego siebie. Gigantyczna kładź zaczepiła o występ skalny przy skraju krateru. Pod wpływem siły bezwładności przechyliła się, co groziło przerwaniem ciągłości ziemnego obwałowania i rozlaniem zawartości zbiornika. Tulbar zdołał temu zapobiec, wykorzystawszy stalową łopatę jako dźwignię, by ją wyprostować. Doszło przy tym do tragicznego wypadku: obrót trzonu szufli sprawił, iż nie wypuszczający z rąk zaklinowanego narzędzia Hyrkańczyk został uniesiony nad przepaść i runął w pełną roztopionego metalu rynnę. Zginął na oczach pozostałych niewolników; zrazu w powietrze buchnął kłęb pary, lecz po chwili jedynie drobne pęcherze pokrywały miejsce, w którym zniknął pod powierzchnią gorejącej zielenią surówki.

Mimo tej tragedii – a być może właśnie za sprawą szlachetnej ofiary Hyrkańczyka – wytop zakończył się pomyślnie. Jeden z uczniów Khumanosa zapytał arcykapłana, czy nie należałoby odprawić jakiegoś specjalnego żałobnego rytuału. Wychudły Sarkanin odwrócił się od stygnącego w formie świetlistego odlewu i odparł tajemniczo:

– To nieistotne. Śmierć ciała, marnej doczesnej powłoki nie jest wielką stratą. Nie to boli najbardziej.

– Do pułapki, by nie unosiła się nad dno, trzeba włożyć płaski kamień. Później przywiązuje się parę witek, o tak... – Siedzący w kucki Conan z Cymmerii zawiązał ostatnie supły i zaprezentował sidła na ryby przyglądającym się dzieciom. – Skończone.

Prostą pułapkę tworzyły dwa trzcinowe kosze o luźnych oczkach. Jeden z nich był jajowaty, drugi, umieszczony wewnątrz pierwszego, miał kształt otwartego stożka. Mimo prostoty sideł, Ezrel, Jabel, Felidamon i mały Inos przyglądali się im, jak gdyby wykonano je z najdelikatniejszego jedwabiu i złotego drutu.

– Tak właśnie łowi się ryby w Piktlandii, w strumieniach, zasilających Czarną Rzekę. Na noc zarzucimy sidła do tej sadzawki; zobaczymy, co się nam uda złapać.

– Złapiemy więcej sumów? – zapytał z żywym zaciekawieniem Jabel. – Smakują mi najbardziej ze wszystkich ryb.

– Zobaczymy – odparł Conan, zawiązując linkę na brzegu kosza.

– Sumy są pyszne – poparła Jabela Felidamon. – Węgorze również. Chciałam nauczyć matkę, jak je przyrządzać, ale powiedziała, że to nieczyste stworzenia.

– Pewnie w wypadku głodu mieszkańcy Qjary uznałyby, że nadają się do jedzenia – mruknął Conan. – Może doszłoby do tego podczas suszy, gdy rzeka zamieniłaby się w wąski strumyczek. Niech cieszą się obfitością, póki mogą. – Skończył przywiązywać drugi koniec linki do głazu o nieregularnym kształcie.

– Ktoś idzie – włączył się do rozmowy spoglądający w górę rzeki Inos.

Pozostali, obróciwszy się, ujrzeli wysuwającą się w ich stronę spomiędzy zarośli długą, zakrzywioną tyczkę. Szmer potoku zagłuszał odgłosy zbliżającego się przybysza.

– Kto tam?! – wykrzyknął Conan.

Zza krzaków wyłonił się pustynny koczownik o ogorzałej od słońca, gładko ogolonej twarzy i krótko przyciętych, kręconych czarnych włosach. U pasa zakurzonego burnusa mężczyzny zwiślała wypolerowana szabla, kaptur jego szaty odrzucony był na muskularny kark. Niósł przed sobą ciemną włócznię, dwukrotnie dłuższą niż wzrost dorosłego człowieka, zakończoną grotem w kształcie zakrzywionego haka. Zaskoczony koczownik zatrzymał się przed Cymmerianinem i wyszczerzył w uśmiechu silne, pożółkłe zęby.

– Witaj, nieznajomy! – zawołał serdecznie Conan w dialekcie nomadów z pustyni na południu. – Chodź, skorzystaj z naszego jedzenia... – sięgnął po wbity w piasek ilbarsyjski nóż i jednym ruchem cisnął go w intruza – ...i gościnnosci!

Ostrze noża utkwilo w piersi mężczyzny tuż nad mostkiem. Koczownik usiłował wyciągnąć szablę, lecz jego ruch zamienił się w nieopanowane, chaotyczne drgawki. Osunął się na kolana i przewrócił na plecy. Z jego ust buchnęła struga ciemnej krwi. Niesiona przez niego włócznia upadła na popioły wygasłego ogniska.

– Dlaczego... dlaczego go zabiłeś? – zapytał cienkim, drżącym głosem Inos. – Chciał ukraść nasze ryby?

– Wstawajcie, dzieci! – rozkazał Conan, sięgając po długie drzewce. – Na wszystkich bogów i boginie, to nie rybacka włócznia, ale bosak do strącania z murów miejskich strażników! Żywo, za mną! Pamiętajcie, nie zostawajcie z tyłu!

Conan przystanął na chwilę, by wyciągnąć nóż z piersi trupa, chwycił Inosa pod ramię i ruszył rażnym biegiem. W drugiej ręce dzierżył wystawioną przed siebie włócznię intruza. Zakładał, że dzieci pobiegna jego śladem. Nie mylił się, po chwili bowiem zza pleców dosłyszał płaczliwy głos Ezrela.

– Conanie, tędy nie dotrzesz do bramy miejskiej!

– Nie mam czasu, by dostać się do Bramy Celniczej! – odkrzyknął. – Koczownicy na pewno szykują się do ataku!

– Ale północna furтка...

– Jest za daleko! – warknął Cymmerianin. – Biegnijcie za mną! Niepotrzebna nam brama!

Ezrel rzucił się do biegu za barbarzyńcą. Felidamon i Jabel pognali za nimi, trzymając się za ręce. Przed nimi zza zarośli wyłoniły się wysokie, gładkie mury Qjary. Na ich szczycie nie działo się nic nadzwyczajnego; pojedynczy strażnik w hełmie z zaciekawieniem przyglądał się nadbiegającej grupce.

– Wzywaj odwody, osle! – wrzasnął Conan, widząc jego podejrzliwe spojrzenie. – Szykuje się atak na miasto! – Dobiegając do muru, uniósł bosak w górę. Okazał się wystarczająco wysoki, by sięgnąć nim do szczytu szanca. Cymmerianin chwycił Inosa za porcięta i podrzucił go jak najwyżej wzdłuż drzewca. Mały obdartus zacisnął na nim dłonie i obejrzał się w dół. Po chwili Cymmerianin uczynił to samo z Jabelem, ponaglając młodsze dzieci: – Właźcie na bosak! Wiem, że dacie sobie radę, widziałem, jak wdrapywaliście się na palmy!

Podtrzymując oburącz drzewce, obserwował, jak strażnicy na szczycie muru pomagają pokonać dzieciom jego krawędź. W chwilę później podniósł Felidamon. Chociaż była dziewczynką, wspinała się równie zręcznie jak chłopcy. W końcu przywołał Ezrela. Najstarszy chłopiec zawahał się, postawiwszy stopę na ugiętym kolanie Conana.

– Wchodź pierwszy! – zawołał. – Będzie ci łatwiej przytrzymać bosak ze szczytu muru i wciągnąć mnie na górę!

– Nie, chłopcze – Cymmerianin niecierpliwie potrząsnął głową. – Hak nie utrzyma mojego ciężaru. Pewnie nie utrzymałby i twojego, gdybym go nie podtrzymał. Właż natychmiast! – Gwałtownie odwrócił głowę w stronę zasłaniających brzeg rzeki zarośli, zza których poczęli wysypywać się uzbrojeni koczownicy. – Dogonią nas, jeśli będziesz się tak grzebał!

Ezrel w jednej chwili wspiał się po drzewcu na szczyt muru.

– Wytrzymaj, Conanie! – zawołał do przyjaciela. – Poszukam liny!

Conan nie zamierzał czekać; nie sądził poza tym, by chłopiec zdażył znaleźć sznur. Uwiesiwszy się na bosaku, barbarzyńca poczuł, jak brązowy hak wygina się i łamie, zgodnie z jego oczekiwaniami. Nie marnując tchu na przekleństwa, Cymmerianin odbiegł z drzewcem od muru – wprost ku rzadkiej linii nacierających koczowników.

Napastnik naprzeciw Conana z zaskoczenia opuścił długą pikę. Był to żyłasty, młody Szemita w rozchełstanej koczowniczej dżelabie, spod której widać było naga pierś. Wystawił przed siebie włócznię, by odtrącić broń Conana, lecz ku jego zaskoczeniu Cymmerianin nie próbował przebić go ułamanym grotem. Cymmerianin rąbnął przeciwnika tyłcem bosaka w szczękę i nie czekając, aż Szemita zwali się na piach, zawrócił w stronę miejskiego muru.

Zamiast zwolnić przed górującą nad nim ceglana ścianą, barbarzyńca pędził coraz szybciej. Wystawił przed siebie tylec bosaka, zaciskając obydwie dłonie na drzewcu tuż pod grotem. Wbił koniec tyczki w piasek tuż przed murem, wbił się w powietrze i obrócił tak, iż szybował poziomo. Cienkie drzewce ugięło się pod jego ciężarem i impetem skoku, lecz wytrzymało, przekazując wzbijającemu się łukiem w górę ciało barbarzyńcy całą energię pędu.

W chwilę później szybujący stopami naprzód z rozwianymi włosami i odzieniem Cymmerianin upadł bokiem na wierzchołek trzykrotnie odeń wyższego muru. Gdy tylko zwalił się na kamienie, podbiegł do niego głośno przeklinający strażnik ze wzniesioną włócznią. Conan podstawił mu stopę. Gdy mężczyzna runął, rzucił się na niego i parokrotnie rąbnął jego głową o skraj muru, krzycząc:

– Durniu, nie jestem koczownikiem! Jestem przyjacielem, psie!

Wartownik zaczął ociężale dźwigać się na nogi. Conan poderwał upuszczoną przez niego włócznię i ruszył stawić czoło napastnikom.

Strażnicy po obydwóch stronach walczyli już z chudymi, żyłastymi koczownikami, pnącymi się tłumnie na mury po drabinach, drzewcach włóczni i linach z hakami. Obsada murów była niewielka; jeden strażnik wypadał na odcinek długości dwudziestu kroków. Niektórzy padali, trafieni strzałami i włóczniami napastników, pozostali zażarcie odpierali atak. Słychać było, iż z miejskiego garnizonu ruszyły posiłki, lecz na dotarcie na mury potrzeba im było dłuższego czasu. Niespodziewany, błyskawicznie przeprowadzony atak koczowników miał duże szanse powodzenia.

Conan biegał w tę i z powrotem wzdłuż skraju muru, stracając gwałtownymi uderzeniami napastników. Nadepnął na rękę grabieżcy o poznaczonej bliznami twarzy, sprawiając, iż Szemita osunął się po swej włóczni. Cymmerianin dźgnął kolejnego napastnika w kark, gdy ten pokonywał wzniesione przedpiersie. Koczownik z wrzaskiem runął w dół. Trzeciego zepchnął w tył, gdy ten prostował się po wdrapaniu na kamienny parapet. Mimo to dwóch napastników zdołało równocześnie wspiąć się na mur poza zasięgiem broni Cymmerianina.

Strażnik, który wpierw próbował przeciwstawić się Conanowi, stanął teraz do walki przeciwko koczownikom z wyciągniętym rapierem. Nim zdołał dotrzeć do skraju muru, ciśnięta z dołu lina z kotwiczką owinęła się mu wokół szyi i powaliła na kolana. Wartownik szarpał się rozpaczliwie, ślizgając po kamiennych płytach, podczas gdy Szemita zaczął wspinać się po sznurze. Conan doskoczył do strażnika i dźgnął koczownika bosakiem w twarz. Napastnik spadł z liny, lecz wspinali się już po niej kolejni. Wartownik nie zdołał utrzymać ich ciężaru i zwalił się z muru z koszmarnym wrzaskiem.

Na szczycie pozostała zaledwie kilkuosobowa, ciasno zbита grupka koczowników. Drogę do Bramy Celniczej zagradzał im tylko Conan i para znękanych strażników.

Szemicy zwrócili się przeciwko Conanowi, nie zważając na wbiegających na plac karawan i wspinających się po rampach na mury nowych obrońców. Napastnicy liczyli niewątpliwie, iż zdołają dostać się do bramy i otworzyć ją swoim towarzyszom. Na szczęście wąski szczyt murów umożliwił zaatakowanie Cymmerianina najwyżej dwóm z nich naraz. Conan przerzucił bosak w lewą rękę, chwycił rapier nieszczęsnego strażnika i przygotował się na spotkanie nacierających koczowników. Jeden z nich nadział się na zataczające młyńca ostrze broni Conana. Miecz Szemity spadł ze szczękiem u podnóża muru; w chwilę później on sam dołączył do niego, brocząc krwią z rozplątanej gardzieli.

Jego miejsce zajęło dwóch kolejnych koczowników, trzeci zaś usiłował wspomóc towarzyszy, dźgając między nimi długą włócznią z zębatym grotem. Conan uskoczył w bok, chwycił za drzewce włóczni i wykorzystał je, by błyskawicznie i bezlitośnie zepchnąć za mur jednego z przeciwników. Szemita runął na piasek, łamiąc sobie najwyżej parę kości. Drugi rzucił się na Cymmerianina – i nadział na wystawiony w przód bosak. Grot przebił mu brzuch i wynurzył z jego pleców. Gdy kolejny koczownik próbował wyminąć nieszczęsnego towarzysza, Conan zręcznym ruchem zdołał nadziać na bosak również i jego. Dwaj wojownicy, przypominający nabite na oścień ryby, zwalili się z muru wśród wrzasków bólu i agonalnych drgawek.

Rzeź trwała nadal. Conan powalał kolejnych przeciwników, spodziewając się w każdej chwili, iż poczuje trafiające go z tyłu wrogie ostrze czy więznąca w ciele strzałę. Z niespożyta energią bez przerwy zmieniał pozycję, by uczynić z siebie trudniejszy cel. Dając pokaz oszałamiającej szybkości ruchów, ugodził śmiertelnym, gwałtownym ciosem jednego koczownika, a po chwili następnego. Niespodziewanie ostatni pozostały przy życiu Szemita wydał krzyk zgrozy i rzucił się do panicznej ucieczki.

Koczownik przebiegł najwyżej pięć kroków, gdy został ponownie zaatakowany – tym razem przez przeciwnika w szarym stroju, walczącego w precyzyjnym, oszczędzającym siły stylu, charakterystycznym dla wojowników ze świątyni Sadyty. Szemita wyprowadził pchnięcie w lewo – i ostrze jego oręża ześlizgnęło się po mieczu nieprzyjaciela z sykiem stali ocierającej się o stal. Dźgnął w prawo – lecz broń daremnie przecięła powietrze przed odchylonym w bok wojownikiem. Ciało w dół, ponownie nie sięgając celu – i w tym momencie ostrze szabli przeciwnika uniosło burnus na jego plecach, przebiwszy go na wylot.

Szemita zgiał się wpół i zatoczył w bok. Zwycięzca odepchnął go od siebie jak worek śmieci i ruszył triumfalnie naprzód. Uniósł broń, gotując się do walki z Conanem. Cymmerianin sprężył się, gotując do obrony.

Jego przeciwnikiem był Zajus, mistrz szermierczy świątyni Jedynej Prawdziwej Bogini.

Wystawiwszy przed siebie miecz, Qjaranin skrzywił się z ironiczną pogardą. Conan ze swej strony czuł dreszcz niecierpliwości przed czekającą go walką. Wydało mu się, iż dostrzeżę w nieco pobladłej twarzy Zajusa cień niepewności i wahania, lecz być może przeciwnik zwlekał z atakiem tylko z powodu głośów, dobiegających z placu karawan i łączącego się z miejskimi umocnieniami muru świątyni.

– Niech żyją bohaterowie! – rozbrzmiewały radosne okrzyki. – Nasze miasto jest uratowane, koczownicy przepędzeni z murów! Niech żyje nam Zajus i dzielny cudzoziemiec!

Cymmerianin i Qjaranin nie mogli przystąpić do walki na oczach setek wiwatujących ludzi. Opuścili broń. Zajus rzucił swemu rywalowi wzgardliwe spojrzenie i odwrócił się do niego plecami.

Conan pomyślał, iż radosne okrzyki mieszkańców miasta są nieco przedwczesne, bowiem gdzieś tam nadal dźgali włóczniami i strzelali z łuków w obrońców murów. Widać jednak było, iż szale walki przeważyły się na korzyść obrońców. Impet szturm opadł, pozostali przy życiu napastnicy zaczęli wlec ciała zabitych towarzyszy w nadrzeczne chaszczce.

Wewnątrz murów znajdowała się enklawa innego świata; panował tu nastrój radości, nie zaś wściekłości i strachu. Grupy straży miejskiej w wypolerowanych, wyraźnie rzadko używanych hełmach i pancerzach z opóźnieniem przybywały na miejsce walki. Mieszczanie z satysfakcją stwierdzali, iż jest już po boju. Dobosze i trębacze korzystali z okazji, by podszlifować swe umiejętności. Pod mur wyległ również plebs, włącznie z kobietami i dziećmi. Na czele tłumu Conan dojrzał wymachującą do niego z podziwem czwórkę uratowanych uliczników.

Przez zgiełk przebiło się niskie, donośne granie trąby, przypominające ryk

ranionego byka.

– Królewskie wezwanie, tak szybko? – rzucił ze zdumieniem jeden z wartowników obok Conana i zaczął czyścić ostrze szabli z krzepnącej krwi.

W jednej chwili Zajus ustawił się w rzędzie razem z kilkoma świątynnymi wojownikami. Równym krokiem ruszyli wzdłuż szczytu muru. Dwóch strażników miejskich obok Conana ruszyło z nimi z mniejszym zdyscyplinowaniem.

– Możesz iść z nami, cudzoziemcze. Jesteś jednym z bohaterów dzisiejszego dnia – zawołał jeden z wartowników do Cymmerianina.

– Dokąd – do pałacu? – zapytał Conan, ruszając niechętnie za nimi. – Nie za wcześnie porzucać mur? A jeżeli koczownicy zaatakują ponownie?

– Zastąpi nas kolejna warta – odparł strażnik. – W razie potrzeby zostaniemy wezwani. Nie obawiaj się, pustynne plemiona rzadko są w stanie zdobyć się na parę ataków w ciągu dnia.

– Najazd koczowników raz na rok to nawet niezła rozrywka – oświadczył drugi z wartowników. – Dzięki nim utrzymujemy się w formie – z wyjątkiem tych, którym nie dopisze szczęście – poprawił się, oglądając na pół tuzina Qjaran leżących u podstawy muru.

– Koczownicy atakują miasto tak rzadko? – zapytał Conan, przyspieszając kroku.

– Niektóre lata są znacznie gorsze – odrzekł gadatliwy wartownik. – Gdy na południu panuje susza, oznacza to bardzo trudne czasy dla niektórych plemion. Sądząc po upierzeniu strzał, napadli na nas głównie Kifarowie, Kadarowie i Aziliszowie. Atakują miasta tylko wtedy, gdy śmierć zagląda im w oczy. Albo zdobywają wielkie łupy, albo wracają na pustynię z wolnymi wielbłędami i mniejszą liczbą gąb do wyżywienia. Tak czy inaczej, oznacza to poprawę doli plemienia.

Wiwatujący hałaśliwie tłum mieszkańców wędrował wzdłuż muru, dotrzymując kroku obrońcom na jego szczycie. Na rampach było tłoczno od szykujących się do zajęcia stanowisk posiłków i znoszonych na dół rannych strażników. Bohaterowie walki podążali jednak dalej.

Tłum wkrótce skręcił, by przekroczyć główną bramę w murze kompleksu budowli świątynnych, niemal równie wysokim jak zewnętrzny szaniec, lecz węższym. Za nim roztaczał się widok, którego nie dane było jeszcze Conanowi oglądać za dnia: bujne sady i zdobne ogrody, otaczające stateczne przypory świątyni Sadyty i królewskiego pałacu.

Obrońcy dotarli wreszcie do specjalnego pomostu, prowadzącego wprost do zamkowej cytadeli przez łuk równie potężny, jak miejskie bramy. Zeszli po nim na wielki wewnętrzny dziedziniec pomiędzy świątynne tancerki i tłum rozradowanych Qjaran. Na górującej na środku placu trybunie oczekiwała na nich panująca rodzina.

Wszyscy troje mieli na sobie wypolerowane odświętne zbroje, założone tyleż dla dodania ducha mieszkańcom, co dlatego, że rzeczywiście stanowiły skuteczną ochronę. Afriandra starała się złowić spojrzenie Cymmerianina. Mimo zbroi, siedziała wyprostowana na środku trybuny w pozie godnej dostojnej księżniczki. Nieco za nią znajdowała się monarsza para: król Semiarchos i królowa Regula.

– Obywatele, wojownicy, wierni wyznawcy Sadyty! Barbarzyńska napaść zakończyła się sromotną klęską, podobnie jak wszystkie poprzednie – Król rozpoczął przemowę, gdy tylko świątynni wojownicy pod wodzą Zajusa ustawili się na wprost niego. Wysoki, siwowłosy Semiarchos prezentował się majestatycznie w wielopałkowej koronie. Pasma jego trefionej białej brody kładły się na rytowanym srebrnym pancerzu. – Pieśń o waszym dzielnym boju i żałobne treny są już śpiewane przed ołtarzem bogini. Zebrano już nielicznych na szczęście rannych i obdarzono ich błogosławieństwami. Na wypadek nowego niebezpieczeństwa na murach Qjary rozstawiono potrójne straże. Jak zwykle, po zakończeniu walki każdemu, kto stawiał czoło nieprzyjacielowi, przysługuje prawo do specjalnej królewskiej nagrody. Są tacy, którzy nie mogą odebrać jej własnoręcznie. Za nich otrzymają ją żony rannych i wdowy po zabitych.

Wśród zebranych na środku dziedzińca wojowników zaczęły krażyć kapłanki w długich szatach. Mijając Conana, jedna z nich wyjęła lśniący kawałek metalu z niesionego na ramieniu koszyka i wyciągnęła rękę w jego stronę. Cymmerianin bez zastanowienia podstawił dłoń. Ku jego zaskoczeniu, nie była to błaha błyskotka lub medalion, lecz kwadratowa złota moneta wielkości opuszki kciuka. Na obydwóch stronach wytłoczono wzór korony Semiarchosa. Wyćwiczonym gestem, imitującym podrapanie się po boku, barbarzyńca wsunął monetę za pas do pustej sakiewki.

– Z wielu bohaterów, którzy tego dnia przelali godnie pot i krew w obronie naszego miasta, jeden wyróżnił się szczególnie – kontynuował król. – Wybija się on ponad wszystkich pozostałych Qjaran, jego umiejętności zaś i nieugiętość w obranej służbie dodają mu jeszcze większej chwały. – Semiarchos powiódł dumnym spojrzeniem po tłumie i podjął na nowo: – Mówię oczywiście o Zajusie, arcymistrzu w służbie świątyni Jedynej Prawdziwej Bogini. Jest szermierzem ósmego stopnia; największym, jaki żył między nami od trzyestu lat. – Król skinął dłonią. Zajus podszedł do trybuny wśród wiwatów tłumu. – Podczas dzisiejszej walki zachował się wyjątkowo chwalebnie. Przybył na plac boju w najbardziej dramatycznej chwili, na czele oddziału świątynnych wojowników. Dzięki jego rozkazom wrogowie ponieśli srogą klęskę. Sam Zajus zabił czterech nieprzyjaciół, dzięki czemu liczba jego ofiar wynosi obecnie dwadzieścia cztery. To niedoścignione osiągnięcie każe nam radować się, iż w obronie naszego miasta i bogini stanął niezwykły bohater!

Semiarchos łaskawie pokiwał głową, słysząc pełne euforii owacje Qjaran. Na jego obliczu pojawiła się godna przyszłego teścia pobłażliwa mina. Bożyszcze tłumu, Zajus, stał sztywno wśród rozradowanych ludzi z nieobecnym wyrazem twarzy, jak gdyby jego główną zaletą była głuchota.

Conan dostrzegł, że Afriandra nachyla się ku Semiarchosowi i szepcze mu coś do ucha. Król przytaknął z zadowoleniem i podjął przemowę, gdy wiwaty nieco przycichły:

– Dodatkowym dobrodziejstwem Sadyty okazała się pomoc gościa z dalekich krajów. Jego imię brzmi Conan, o ile się nie mylę. – Semiarchos wyciągnął ku Cymmerianinowi dłoń władczyim ruchem. Za jego gestem podażyły spojrzenia wszystkich prócz Zajusa. – On właśnie zaalarmował strażę o napaści i u boku obrońców uśmiercił wielu przeciwników. Znow rozległy się wiwaty, tym razem nieco słabsze. Mieszały się z nimi pomruki gapiów, przyglądających się z niesmakiem skąpemu, barbarzyńskiemu strojowi Cymmerianina i pokrywającym jego nogi kroplom zakrzepłej krwi. Conan pomyślał, że jedną z głównych umiejętności szermierczych Zajusa musi być ochranianie swego eleganckiego uniformu przed ochlapaniem posoką zabijanych przeciwników.

Gdy ustały wątle owacje, do tłumu przemówiła królowa. Regula nie była już pierwszej młodości, aczkolwiek nadal prezentowała się wspaniale. W hełmie i pancerzu przypominała nieco posąg Sadyty, chociaż nie nosiła włóczni.

– Jak wiecie, obyczajem w naszym mieście jest, iż bohaterowie otrzymują w imieniu Jedynej Prawdziwej Bogini specjalne błogosławieństwo Sadyty w postaci świętego pocałunku panującej królowej i arcykapłanki – rzekła pewnym, głębokim głosem. Conan przyjął opisaną przez nią perspektywę z umiarkowanym zainteresowaniem i pewną dozą rezygnacji, lecz dalej słuchał jej słów. – Ponieważ jedyną następczynią tronu jest osoba wyjątkowej cnoty i honoru, król i ja uznaliśmy jednak, iż dziś zaszczyt udzielenia błogosławieństwa Sadyty powinien przyspaść ukochanej księżniczce Afriandrze!

Ku swojemu zdumieniu Conan stwierdził, iż wstrząsnęło nim to oświadczenie. Na twarzy czuł naraz żar i zimno. Nie wiedział, czy powinien uciekać z tej piekielnej pułapki, czy przepchnąć się między pozostałymi obrońcami i jako pierwszy poczuć dotknięcie kształtnych ust Afriandry.

Księżniczka wstała, zeszła z trybuny i zatrzymała się przed rzędem świątynnych wojowników na wprost sztywno wyprostowanego Zajusa. Wspięła się na palce i przycisnęła wargi do jego ust. Mimo iż przytuliła się do niego całym ciałem, daremnie wyczekiwała na jakąkolwiek reakcję z jego strony, dlatego też szybko przerwała pocałunek. Hałaśliwy aplauz przycichł, gdy cofnęła się od szermierza z błyskiem niezadowolenia w oku. Niecierpliwie rozejrzała się dookoła; Conan mógłby przysiąc, iż właśnie jego szukała wzrokiem.

Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy jemu również przysługuje specyficzna forma błogosławieństwa bogini. Być może nie miał do niego prawa, ponieważ był nieczystym cudzoziemcem, lecz jeżeli upoważniało do niego zabicie czterech ludzi, gotów był zapracować na cały wieczór i długą noc pocałunków.

Rezygnując z rozważań, jak zwykle wybrał działanie. Minał rząd wojowników i chwycił Afriandrę w objęcia, miażdżąc ustami jej wargi. Miał wrażenie, jak gdyby zatrzęsła się ziemia pod jego stopami; przed oczyma pływały mu czerwone płaty. Gorączkowo zacisnął jeszcze silniej dłonie na jej plecach, jak gdyby był rozbitkiem, czepiającym się jedynej kawałka drewna na wzburzoną, gniewnym morzu. Wśród tłumu rozległ się szmer zaskoczenia, przetykany gwizdami uciechy. Mimo to barbarzyńca długo nie wypuszczał Afriandry z objęć, odwzajemnianych

przez nią z ewidentnym uczuciem.

Zdająca się wiecznością chwila dobiegła końca, gdy Conan poczuł zaciskające się na jego ramionach dłonie. Oddzielono go od księżniczki pośród szeptów zachwyconego skandalem tłumu. Cymmerianin nie wiedział, czy szum w jego uszach to narastający i cichnący aplauz ciżby, czy pulsowanie jego wzburzonej krwi. Podtrzymywana przez służbę Afriandra chwiała się; najwyraźniej miała podobne trudności z powrotem z obłoków na ziemię.

– Stało się wedle zwyczaju: dwa śmiałe pocałunki dla pary dzielnych bohaterów – stwierdziła Regula, chociaż pokrywający jej policzki rumieniec świadczył, iż nie spodziewała się podobnego widoku. – Co prawda Conan jest cudzoziemcem i nie wyznaje naszej wiary, lecz niewątpliwie bogini, działająca przez jej błogosławioną służkę Afriandrę, raczyła obdarzyć go wyjątkową łaską. – Królowa utkwiała w barbarzyńcy spojrzenie, w którym malowała się pogarda i pewna doza lęku. Conan domyślił się, iż arcykapłanka gorączkowo starała się znaleźć wytłumaczenie zachowania córki. Pobladła, oddychająca z trudem księżniczka wróciła na siedzenie na trybunie. Istotnie wyglądała, jak gdyby wcieliła się w nią bogini. Podobnie jak reszta tłumu, unikała spojrzenia Cymmerianinowi w oczy. – Zważywszy na ten niewątpliwie dobry znak, moim obowiązkiem jest przywitać Conana z dalekich krajów na łonie świątyni Sadyty i przyznać mu wszelkie przywileje, przysługujące honorowemu mieszkańcowi Qjary – dokończyła Regula.

Barbarzyńca pomyślał, iż królowa zrobiła dobrą minę do złej gry i zaprezentowała tłumowi dogodne wyjaśnienie tak gładko, jak gdyby ją również bogini obdarzyła natchnieniem. Jej słowa spotkały się z życzliwym przyjęciem przez Qjaran – z wyjątkiem jednej osoby. Zajus podszedł do trybuny i zwrócił się do króla przenikliwym głosem:

– Dlaczego byle niewierny obszarpaniec doznaje takich samych – nie, nawet większych – łask z waszej strony niż ja?! Ten pozbawiony honoru cudzoziemiec to zaraza, kalająca czystość świątyni i pamięć dzisiejszej walki! Wasza wysokość, wyznacz dla niego nagrodę za nieproszoną pomoc, lecz nie zrównuj go z nami! Usuń go z miasta, zanim jego ohydne barbarzyństwo stanie się fatalnym przykładem dla naszej młodzieży!

– Zajus! – warknął gniewnie Conan, próbując się przepchnąć przez osłaniających swego przywódcę świątynnych wojowników.

– Popatrzcie tylko na niego! – perorował wzburzony szermierz. – To zwierzę, gorsze od bydła koczowników! Brakuje mu jakichkolwiek umiejętności, pozwalających żyć w cywilizowanym kraju! Pewnie mógłby w końcu zostać znośnym sługą, jak dzika górską małpa, gdyby jakiś przewidujący pan kazał wyrwać mu zęby, paznokcie oraz męskość i nauczył go batogiem posłuszeństwa! Inaczej ten dzikus stanowi wyłącznie groźbę dla porządku i przyzwoitości...

– Zajus! – krzyknął ponownie Conan, wyrwał się wojownikom i stanął twarzą w twarz z rywalem. – Zbyt szanuję obyczaje twojego miasta, by tu i teraz wyprać ci flaki! – Instynktownie opuścił dłoń do noża u boku, lecz nie położył jej na rękoności. – Rzucam ci jednak tak jak wcześniej wyzwanie! Słuchajcie wszyscy! – zawołał, rozglądając się wokół. – Skoro zaskarbiłem sobie łaskę bogini wraz z wszelkimi należnymi wam, Qjaranom, przywilejami, żądam tylko jednego z nich: bym mógł poderżnąć gardło temu odrażającemu, podłemu pyszałkowi! Na życie i honor, w obliczu bogini, wyzywam cię na pojedynek!

Gdy Cymmerianin wypowiedział rytualną formułę, tłum zareagował gorączkowymi okrzykami i jękami. Publicznie rzucone wyzwanie Conana nie mogło zostać odrzucone.

– Doskonale, stańmy do walki w obliczu bogini. Na śmierć i życie, o honor Qjary! – odrzekł Zajus, obdarzając przeciwnika pogardliwym uśmiechem i rozglądając się po tłumie z pełną wyższości miną. – Jeżeli zdołam zakończyć twój obmierzły żywot, nie kalając mego miecza i ręki, z radością zmierzę się z tobą przed świątynią. Stawiam tylko jeden warunek i proszę cię pokornie o jego spełnienie. – Zwrócił się z powrotem ku Conanowi, mówiąc z przesadną, udawaną uprzejmością. – W nadchodzących dniach czeka nas spotkanie państwowej wagi. – Obejrzał się na Semiarchosa, nim podjął na nowo. – W naszym mieście złoży wizytę król Sarku, Anaksymander. Zostałem poproszony o wzięcie udziału w spotkaniu monarchów. Sprawa tak wielkiej wagi uniemożliwia mi poświęcenie ci cennego czasu, cudzoziemcze! Zgódź się na kilka dni zwłoki, bym mógł dopełnić mych obowiązków, nim będę zmuszony zbrukać swe ręce dziełem usunięcia z Qjary obcego śmiecia. – Uśmiechnął się wyniośle do tłumu. – Jeżeli na to przystaniesz, jestem do twojej dyspozycji!

Z braku odpowiednich słów, Conan splunął na płyty u stóp Zajusa. Szermierz potraktował to jako zgodę.

– A więc postanowione! – Regula przemówiła do tłumu lekko drżącym głosem. – Czekajcie nas pojedynek bohaterów na śmierć i życie w obronie honoru, w obliczu bogini!

8.

WIZYTA W QJARZE

Orszak Anaksymandra, króla Sarku, wjechał do Qjary od południa. Stara Brama, pierwsza i najwspanialsza z prowadzących do miasta dróg, była obecnie rzadko używana, bowiem dzielnica karawan znajdowała się z drugiej strony, nad rzeką.

Panująca w Qjarze para, Semiarchos i Regula, w wyjątkowym goście przyjaźni udała się w powożonym przez mistrza szermierczego Zajusa spiżowym rydwanie bojowym powitać gościa na południowym skraju miasta. Ponieważ nie groziło im niebezpieczeństwo, zabrali ze sobą tylko garstkę świątynnych wojowników. Anaksymander ze swej strony dał znać, iż wjedzie do miasta bez zbrojnej asysty. Osłaniającemu go oddziałowi stu pięćdziesięciu żołnierzy i taborowi wielbłądów polecił rozbić obóz pod murami na suchych ścierniskach po zebranych zbożach. Zrezygnował z propozycji zakwaterowania eskorty w dzielnicy karawan lub nad rzeką, by, jak twierdził, nie ryzykować naruszeń dyscypliny. Nawet informacja o niedawnej napaści koczowników nie zmieniła zdania sarkańskiego króla; władca podziękował za gościnną ofertę w imieniu swoich poddanych, twierdząc, iż przywykli do czujności i wyrzeczeń.

Podczas wjazdu do miasta Anaksymandrowi towarzyszyła tylko grupa tancerzy ze świątyni Wotanty. Dziesiątka wyćwiczonych, miłych dla oka młodzieńców i dziewczyn bez trudności niosła lektykę swego monarchy – zwłaszcza gdy król przesiadł się do wspaniałego pojazdu gospodarzy.

– Przyjmijcie pozdrowienia miasta Sarku i jego kornego króla – kapłana oraz błogosławieństwo wszechmocnego boga Wotanty – zwrócił się do panującej w Qjarze pary, sztywno zginając kark.

– Witaj, królu – bracie – oświadczył Semiarchos. – Racz przyjąć błogosławieństwo naszej bogini i naszego miasta. Oczywiście będziesz łaskaw jechać z nami? Doskonale. – Podawszy Anaksymandrowi dłoń, pomógł mu przesiąść się z palankinu wprost do rydwanu. – Zajusie, podaj mi wodze. Zsiądź, proszę, ale nie oddalaj się za bardzo. Pragnę, by nasz dostojny gość mógł nacieszyć się wygodną jazdą w towarzystwie mnie i mojej szacownej małżonki.

– Zatem mam zaszczyt spotkać osławioną królową i arcykapłankę Regulę – rzekł Anaksymander, obdarzając żonę króla przenikliwym, oceniającym spojrzeniem. – Nie wątpię, iż jest odpowiednią połowicą dla tak kochanego i prawomyślnego monarchy.

– Dzięki za uprzejme słowa – odparł zadowolony Semiarchos.

– Tak, dziękujemy ci, panie – powiedziała lekko zarumieniona Regula. – Jako królowa i kapłanka raduję się z racji tego historycznego spotkania. Przyjmij moje najserdeczniejsze powitania!

– Słusznie witasz mnie w imieniu władzy świeckiej i duchownej, bowiem również jestem zwierzchnikiem cywilnej i religijnej hierarchii Sarku. – Najwyraźniej nieprzywykły do stania w toczącym się pojeździe Anaksymander przytrzymał się dłonią spiżowej poręczy, gdy rydwan zawrócił i ruszył po nierównym bruku drogi dojazdowej do bramy. – Twoje powitanie było bardzo poufale, Semiarchosie! Niektórzy władcy poczuliby się urażeni tak niedbałym, nieformalnym przyjęciem, lecz nie należę do tych, którzy przykładają do tego dużą wagę. Wręcz przeciwnie, uważam wasze niezwykle obyczaje za wielce pouczające. Widzę poza tym, iż panuje u was wyjątkowy dostatek!

– Składałeś już kiedyś wizyty w Qjarze? – spytała z zaciekawieniem Regula.

– Tylko w snach i wizjach – zapewnił ją sarkański władca. – Nigdy nie zawędrowałem tak daleko na północ.

Stara Brama prowadziła do dzielnicy kupców. Wzdłuż szerokiej alei znajdowały się stateczne wille najbogatszych rodów Qjary. Stojący w toczącym się z łoskotem rydwanie Anaksymander z aprobatą kiwał głową mieszkańcom w odświętnych strojach, machający dłońmi na jego powitanie z drzewi i balkonów zamożnych budowli.

– Wasza szlachta nie korzy się i nie kryje przed władcami – stwierdził po namyśle. – Są otwarci na nowości i wyjątkowo ufni wobec obcych.

– Tak, z pewnością – odparł Semiarchos. – Moi poddani pragną dobrych stosunków między naszymi miastami równie żarliwie, jak ja i królowa.

Rydwan wtoczył się na stary rynek – zwykle hałaśliwy i smrodliwy plac, z tej doniosłej okazji wyczyszczony i udekorowany kwiatami. Królewski pojazd przejechał obok znajdującej się na jego środku nisko obmurowanej fontanny. Pluskały się w niej nagie dzieci, podczas gdy ich rodzice wiwatowali na cześć przejeżdżających monarchów.

– Macie pod dostatkiem wody – zauważył Anaksymander. – Bogowie patrzą na was łaskawie.

– Tak, nasza bogini jest hojna – przytaknęła Regula.

– Jest to jedna z czterech publicznych fontann, które mój ojciec, Demiarchos, kazał wybudować wzdłuż muru dzielnicy karawan – wyjaśnił Semiarchos.

– Istotnie, karawany zdążają tam, gdzie jest woda – rzekł władca Sarku. – Sądzę, że nie możecie narzekać na ich skąpą liczbę?

– Tak, z reguły jest ich tu mnóstwo, lecz w tym roku ich sezon może się nieco opóźnić. Obfitość śniegów, które zasilają nasze rzeki, nadal blokuje górskie przełęcze na północy.

– Istotnie – odparł Anaksymander z uśmiechem. – Nie wątpię jednak, iż gdy karawany zdołają przedostać się na południe i zachód, czeka je tu gościnne powitanie?

– Niewątpliwie. – Semiarchos rozpromienił się, przenosząc spojrzenie z gościa na małżonkę.

Powozący rydwanem Qjarański król był starszym i bardziej masywnym z dwóch monarchów. Jego srebrzystosiwe włosy i broda świadczyły raczej o koryntiańskiej krwi, niż pokrewieństwie z panującymi w sąsiednich zamożnych państewkach Szemu rodami. Stojąca obok niego Regula miała kasztanowej barwy – jeśli nie liczyć pasm siwizny na skroniach – włosy, posagową figurę, wyraziste rysy i jaśniejszą cerę od wysokiego, chudego króla Sarku o przystrzyżonej jak cegła brodzie i namaszczonej pachnidłami lokach.

Spotkaniu trójki władców towarzyszyła doniosła aura, każąca spodziewać się brzemiennych zmian w losie poddanych.

Rydwan przejechał szybko przez dzielnicę czynszowych domostw, skrzyżowanie z inną szeroką aleją i wreszcie dotarł do strzeżonej przez niewielką liczbę wartowników, rzadko zamykanej Bramy Kwietnej, prowadzącej do kompleksu zabudowań świątynnych. Za porośniętymi kwitnącym bluszczem wierzejami rozpościerała się Agora – otwarty, wykładany kamiennymi płytami plac religijnych ceremonii i cywilnych zebrań mieszkańców Qjary. Z dwóch stron ograniczały go wysoka kolumnada świątyni Sadity i fasada królewskiego pałacu.

– Macie szczęście mieszkać we wspianiałej, przestronnej dzielnicy pałacowej – stwierdził z wymuszoną wesołością Anaksymander. – Nie widzę tu żadnych umocnień ani przykrych dla oka tłumów gwardii. – Rozglądał się z podziwem, podczas gdy rydwan przejeżdżał przez pełen rozradowanych widzów plac. – Jesteśmy w środku Qjary, prawda? – zapytał. – Myślę, że miejsce na wprost waszej wspianiałej świątyni Sadity doskonale nadawałoby się na siedzibę misji naszego wyznania i przybytek wiary, który chciałbym wnieść na cześć zawarcia braterskiego przymierza między naszymi grodami.

– Przybytek wiary? – zapytał Semiarchos. – Myślisz o ołtarzu, kaplicy czy pomniku?

– Raczej o posagu, wokół którego skupiałyby się nasze obrzędy – odparł uspokajającym tonem Anaksymander. – Nie ma potrzeby stawiać nowych budowli. Wysłani przez nas adepci świątyni Wotanty wynajęliby kwatery w mieście – oczywiście, o ile udzielicie im na to zezwolenia.

– Mam nadzieję, iż posąg okaże się przyjemny dla oka, nie zaś straszny czy przynębiający – oświadczyła królowa.

– Zapewniam, że nie, miłościwa pani! Myślmy w istocie o ornamentальной rzeźbie, przedstawiającej drzewo. Oczywiście, jest to dla nas symbol religijny. – Anaksymander uśmiechnął się pogodnie do Reguli, opierając się dłonią o bark Semiarchosa. Król Qjary manewrował rydwanem wśród wypełniającego Agorę tłumu. – Właśnie taki posąg jest obecnie odlewany przez świątynnych rzemieślników z rzadkiego, cennego metalu, wydobytego na wzgórzach na południu. Byłbym szczęśliwy, mogąc go tu przysłać jako podarunek Sarku dla waszego miasta. Zdołałbym wyrazić w ten sposób szczerą uczucia, którymi was darzę.

– Anaksymandrze, jesteś zbyt łaskawy! – zawołał Semiarchos. – Jeżeli ów posąg jest istotnie tak cenny, pozwól, że podzielimy się kosztami...

– Nie, za nic, drogi przyjacielu! Ani słowa więcej, bez względu na koszty, ważniejsza jest dla mnie harmonia między naszymi państwami. – Władca Sarku

poklepał poufale gospodarza po ramieniu. – Zależy mi na wzniesieniu pomnika naszego przymierza właśnie tu, w środku waszego miasta, by wyznawcy Wotanty mieli gdzie czcić swego boga. Wiedz, iż zwyczajem naszych wiernych jest składanie hojnych ofiar.

– Bardzo dobrze – oświadczyła Regula. – Bądź pewny, iż urządzimy w twoim mieście równie wspaniałą przybytek wiary i złożymy w nim szczodre wota. Postarajmy się, by tak łaskawie zaproponowane przez ciebie zacieśnienie religijnych więzi wzbogaciło nie tylko Qjarę, lecz obydwie królestwa!

– Miłościwa pani, jestem pewien, iż Sark wielce na tym skorzysta.

Gdy Anaksymander wypowiadał te słowa, rydwan podjechał pod schody królewskiego pałacu. Po chwili dobiegli do nich świątynni wojownicy i niosący lektykę władcy Sarku tancerze w jaskrawych szatach. Obydwie grupy zatrzymały się, a po chwili ruszyły za swymi monarchami do pałacu. Za obramowanym kolumnami frontowym wejściem znajdował się westybul, gdzie najwyżsi rangą dygnitarze Qjary oczekiwali, by powitać goszczonego władcę. Najznamienitszych przedstawicieli tejże grupy, włącznie z mistrzem szermierczym Zajusem, wprowadzono następnie do wielkiej, okolonej galerią komnaty, gdzie na gości czekały miękkie, wyścielone poduszkami otomany i uginające się pod wykwintnym jedzeniem i napitkami stoły.

Obydwóch królów i szermierza zabawiono wpierw pokazem tańca kapłanek Sadyty, bacznie nadzorowanym przez królową Regulę. Młode kobiety wirowały po posadzce komnaty w rytm dźwięcznej muzyki nieco swobodniej i śmielej, niż przystałoby w przybytku bogini. Jedna z tancerek, niejaka Szarla, dała zdumiewający solowy popis, sprawiając, iż oblicze śniadego króla Sarku pokryło się głębokim rumieńcem. Monarsza para Qjary uśmieła się dobrodusznie z zakłopotania gościa.

– Doprawdy, wy, Qjaranie, jesteście otwartym, pogodnym narodem – powiedział Anaksymander, gdy taniec dobiegł końca. – Nie lękacie się zbyt, iż obrazicie cudzoziemca jakąś błahostką. Twierdzą, że nasze przyszłe stosunki będą dla mnie źródłem wielkiego zadowolenia, gdyż pozwolą mi pewnie odplacić się za tę swawolną rozrywkę. Dowiedziałem się od moich wezyrów, iż taniec jest u was podobnie jak w Sarku uznaną formą wyznania wiary, dlatego też nasza trupa przedstawi, jeśli wolno, święte proroctwo – Zaślubiny Wotanty!

Tancerze ustawili się w rzędach po obydwóch stronach komnaty. Gdy Anaksymander rażno zaklaskał, w ciszy rozpoczęli występ; szuranie sandałów było ich jedynym akompaniamentem. Najbardziej zwinna para – młody mężczyzna i kobieta – pożyczili miecze od gwardzistów; stało się to za zgodą Semiarchosa, lecz wbrew protestom Zajusa. Dwójka tancerzy wirowała w tańcu i podskakiwała między resztą trupy, odgrywając pozorowaną gwałtowną walkę.

Było to wspaniałe, zapierające dech w piersiach widowisko. Taniec zakończył się sceną triumfalnych zaślubin: przystojna para młodych szermierzy została połączona małżeńskim węzłem na ołtarzu z ciał leżących towarzyszy, zaś pozostali dawali wyraz nabożnej czci dla uścisku nowożeńców. Monarsza para przyjęła występ z nie ukrywaniem entuzjazmem.

– Piękne... po prostu piękne! – wyszeptwała Regula, ze łzami w oczach. – Powiedz mi, panie, dzięki czemu chłopiec i dziewczyna tańczyli tak doskonale? Jak nauczyli się wykonywać bez zawahania tak wyszukane ewolucje, mimo że w każdej chwili groziło im zranienie wirującymi ostrzami? Na pewno wiele mogłabym się od ciebie nauczyć. Nie potrafię przygotować moich tancerek do oddawania czci bogini z tak doskonałym opanowaniem. Powiedz, proszę, jak tego dokonałeś?

Anaksymander wzruszył lekceważąco ramionami.

– Zapewne wiedzą, miłościwa pani, iż ich król ma dobre oko do szczegółów. Pamiętając, iż się im przyglądam, troszczą się głęboko o rezultat – wszakże ten rytualny pokaz jest niezwykle ważny dla szerzenia naszej wiary w Wotantę.

– Jak należy odczytać taniec, wasza wysokość? – zapytała Regula. – Zakładam, że młodzieniec odgrywał rolę Wotanty, lecz kim są jego wrogowie i wojowniczką, którą bierze za żonę?

– Nie mogę stwierdzić tego na pewno – odparł Anaksymander. – Jak powiedziałem, to proroczy taniec. Przepowiada wydarzenia wśród bogów, nie zaś na tym padole. Gdybym jednak miał zaryzykować wyjaśnienie jego znaczenia...

– Sadyta jest wojowniczką – przerwał mu Semiarchos. – Według naszych wierzeń wiedzie samotny żywot, lecz jest zarazem boginią płodności i patronką życia rodzinnego. Należałoby spodziewać się, iż kiedyś pojmie małżonka. Niewątpliwie boga, a nie zwykłego śmiertelnika!

– Pomyślałem dokładnie to samo – rzekł Anaksymander i poklepał obitą złotymi płatkami poręcz swego fotela. – Być może to proroctwo spełni się jeszcze za

naszego życia.

– Chcesz powiedzieć, iż Sadita mogłaby poślubić Wotantę, by przez to przypieczętować na niebiańskiej płaszczyźnie przymierze naszych miast? – zniżonym głosem spytała królowa. – Natchniona myśl! – Rzuciła pełne uznania spojrzenie oliwkowoskóremu młodzieńcowi, odgrywającemu rolę bóstwa z mieczem. Odziany w ulubioną przez wędrownych szemickich proroków baranicę, opinające muskularne łydki wysoko sznurowane sandały i przekrzywioną futrzaną czapkę tancerz stał obok szczupłej dziewczyny, która wcieliła się w rolę panny młodej. Młodzieniec zwrócił już miecz; przy jego boku zwisała pusta pochwa. – Wydaje się, że wasz Wotanta to przystojny, męzny bóg, doskonale nadający się na oblubieńca naszej Sadyty! – dokończyła Regula.

– Zaiste! – roześmiał się Anaksymander. – Dla mnie i kapłanów naszej świątyni Wotanta to surowy prawodawca, lecz lud czci go jako ukochanego bohatera, który dał człowiekowi ogień, a nawet jako swawolnego żartownisia! Prawdę mówiąc, odnajduję takie same wątki w wielu szemickich wyznaniach.

Powiódł po swoich gospodarzach łaskawym spojrzeniem. – Niewątpliwie tworzy to zachęcającą podstawę dla połączenia wyznań naszych miast.

– Z pewnością to ciekawa idea – rzekł z zadumą Semiarchos. – Oczywiście, zaślubiny z Wotantą odbędą się pod warunkiem, iż Jedyna Prawdziwa Bogini objawi nam zachęcającymi znakami, iż pragnie takiego związku. Królowa, jako arcykapłanka, zajmuje się odczytywaniem takich przepowiedni. – Skłonił się przed Regulą. – A ty, Zajusie, co o tym sądzisz? Czy nasza bogini powinna pojąć za męża boga naszych sąsiadów?

– Co sądzę, wasza wysokość? – Sprawiający wrażenie nieobecnego duchem świątynny szermierz otrząsnął się z posępnej zadumy. – Przede wszystkim dziękuję, iż pragniesz poznać moje zdanie. Sądzę, iż z obcej wiary możemy się wiele nauczyć. Współwyznawanie silnego, męznego boga może wzmocnić nasze miasto i wyklarować pewne moralne dylematy... Chciałem powiedzieć, iż na pewno wywarłoby na nas wszystkich odświeżający, dodający wigoru wpływ! – Skłonił się z szacunkiem królowej. – Oczywiście nie chciałem dać przez to do zrozumienia, że wyznawcom Sadyty brakuje gorliwości!

– Nie przepraszaaj, Zajusie. – Królowa uśmiechnęła się pobłażliwie. – Na pewno prawdziwe jest stwierdzenie, iż tchnęłoby to nowe życie w świątynne tańce. – Rzuciła spojrzenie na klęczących pod ścianami w pełnych szacunku pozach członków sarkańskiej trupy. – Może też wspaniale dopełnić czekające nas niebawem uroczystości ogłoszenia następcy tronu. – Popatrzyła pogodnie na Anaksymandra. – Wiesz pewnie, panie, iż w naszym mieście szykuje się wesele?

– Oraz pojedynki – ale to błahostka. Zajus bez trudu upora się z przeciwnikiem – dodał Semiarchos i wyjaśnił gościowi: – Królowa wspomniała o zaślubinach naszej córki Afriandry z tym dzielnym młodym człowiekiem. Ponieważ nie mamy – syna, jest to najlepszy sposób zapewnienia sukcesji tronu i kontynuacji tradycyjnej unii pałacu i świątyni. – Król urwał na chwilę, w zadumie przeczesując palcami kędziory siwej brody. – Zapewne związek Zajusa i Afriandry mógłby w tej sytuacji symbolizować zaślubiny Sadyty i Wotanty! Trzeba się nad tym zastanowić...

– Afriandra! – wtrącił się Semiarchos. – Oczywiście, słyszałem mnóstwo pochwał jej urody i mądrości. Dlaczego nie dołączyła do nas?

– Ach, dziewczęce humory i niedyspozycje! – westchnęła Regula. – Źle się czuła przy śniadaniu, lecz sądzę, iż jest już na siłach, by cię powitać. – Przywołała służącą i poleciła jej ściszym głosem: – Aella, przyprowadź z łaski swojej księżniczkę!

– Ach! Widzę, że nie brak wam pobłażliwości! – skomentował natychmiast Anaksymander. – Godzicie się z dziecinnymi kaprysmi waszej córki, a nawet zwracacie się do służby po imieniu. Nie, nie tłumaczcie się; Wotanta ceni sobie tak wyrafinowanych, łaskawych ludzi. Właśnie ze względu na te cechy chcemy was... mieć za przyjaciół.

– A ty, Anaksymandrze? Trzymasz w swoim pałacu królową i dzieci, czy też należysz do folgujących swoim chętkom władców, którzy wolałby harem pełny pięknych szlachcianek? – zrewanżował się kaśliwym pytaniem podrażniony uszczypliwością Sarkanina Semiarchos i uśmiechnął się nieco bardziej tolerancyjnie.

– Ani to, ani to – odparł krótko gość. – Tak wczesne spłodzenie dziedzica mogłoby spowodować komplikacje, gdy osiągnąłby wiek dojrzały. W należywym czasie wybiorę kilka odpowiednich niewolnic i dołożę starań, by przedłużyć dynastię, zachowując pełną kontrolę nad męskimi potomkami. Od stuleci należy to do

zwyczajów moich przodków.

– Pojmuję twą zrozumiałą troskę – odparł szybko Semiarchos, by pokryć wrażenie, wywołane pełnym dezaprobaty zmarszczeniem brwi przez Regulę. – Staniemy w obliczu takich samych nieuniknionych trudności, gdy Zajus zostanie tytularnym władcą; jestem wszak jeszcze w kwiecie wieku. – Uderzył parę razy z uśmiechem pięścią w masywną pierś, po czym poklepał nieruchomego, zamyślnego szermierza po ramieniu. – Na pewno parę lat zajmie nam przyuczenie go do panowania nad Qjarą, co umożliwi stopniowe przekazanie władzy...

– Afriandra, dziecko! – przerwała mu królowa. – Chodź, nasz dostojny gość czekał na ciebie wystarczająco długo. Oto król Anaksymander, moja droga. Chciałby zawrzeć wspaniałe przymierze między naszymi miastami i świątyniami.

Księżniczka wysunęła się płynnie z prowadzących w głąb pałacu drzwi, skłoniła przed sarkańskim monarchą i złożyła ceremonialne pocałunki na czole matki i ojca. Jeszcze oszczędniejszy i chłodniejszy pocałunek, którym obdarzyła nachmurzonego Zajusa, spotkał się z jego sztywną, zniechęcającą reakcją.

– Oto, miłościwy panie, nasza córka Afriandra, jedyna następczyni tronu i królewskiego rodu Qjary – dokończyła prezentacji Regula.

– Witaj, księżniczko! – rzekł Anaksymander. – Widzę, iż jesteś równie pogodna i piękna, jak twoi rodzice. Siądź przy nas, poczęstuj się wspaniałymi potrawami i napojami, którymi mnie uraczono. Jak widzisz, mamy tu zambulańskie wino daktylowe, wyśmienity turański arak oraz wyjątkowy napitek, który przywiozłem w darze: aromatyczny narcynt z Samary. Rodzice pozwalają ci pić mocne trunki, nieprawdaż? Porozmawiajmy; pragnę dowiedzieć się o tobie jak najwięcej.

Podczas gdy nalewano kolejną porcję napojów, rozmowa toczyła się dalej. Księżniczka siedziała w niemal całkowitym milczeniu, wyjątkowo tylko odpowiadając pojedynczymi słowami na pytania Anaksymandra. Dopiero wyraźnie żywo obszedł ją plan zaślubin bóstw obydwóch miast; co więcej, zaczęła wypowiadać się przeciwko niemu, lecz szybko została uciszona przez zakłopotaną matkę.

– Nie kłopotz sobie tym głowy, moje dziecko! – stwierdziła królowa. – Przecież daleko jeszcze do podjęcia jakichkolwiek decyzji. Napij się trochę wyśmienitego samarskiego wina.

– Tak, to prawda – przyłączył się do niej Semiarchos. – Wszak musimy przede wszystkim zapytać samych Saditę i Wotantę, czy pragną takiego związku. Moja żona została arcykapłanką w dużej części dlatego, iż wykazywała wyjątkową wrażliwość na wolę bogini, objawianą jej w snach i wizjach, jak również w zwyczajnym rzucaniu kości i wróżeniu z wnętrzości – król Qjary wyjaśnił Anaksymandrowi. – Bardzo rozwinęła u siebie tę zdolność, dlatego rychło powinniśmy... Afriandra, kochanie, co się stało?

Semiarchos urwał, bowiem jego córka zaczęła osuwać się z fotela na posadzkę. Stojąca obok służąca Aella ledwie zdążyła ją podtrzymać. Z pomocą królowej posadziła Afriandrę z powrotem. Księżniczka straciła przytomność. Gdy ją odzyskała za sprawą energicznego nacierania dłoni i policzków, nie otworzyła oczu, stwierdziła tylko stłumionym głosem, iż nie czuje się dobrze i chce wrócić do swoich komnat. Po chwili para służących wyprowadziła przez galerię ledwie trzymającą się na nogach dziewczynę.

– Jak sądzicie, co się stało? – zapytał układowym głosem Anaksymander. – Księżniczka patrzyła na mnie nad pucharem, a później w jednej chwili zemdląła!

– Ach, typowa dla dziewcząt nerwowa nadpobudliwość! – stwierdziła przepraszającym tonem Regula. – Racz nam to wybaczyć, miłościwy panie! Pamiętam, że sama taka byłam w jej wieku! Może spowodowało to mocne wino? Piła je pierwszy raz, zwykle bowiem jej na to nie pozwalamy. Jestem pewna, że do wieczora poczuje się lepiej.

– Tak czy inaczej, to wielka łaska mieć równie delikatną, wrażliwą córkę – odparł Anaksymander. – Niewątpliwie bardzo ją kochacie i z ufnością spodziewacie się radości, jakie wam przyniesie w przyszłości. Będę modlił się do Wotanty, byście otrzymali wszystko, na co słusznie sobie zasłużyliście!

Otrzymawszy porcję krzepiącego wywaru, księżniczka Afriandra przespała całe popołudnie w swojej komnacie. Kiedy wreszcie przebudziła się o zmierzchu, na tle mroczniejącego nieba w wejściu na balkon dostrzegła zarys wysokiej postaci.

– Conanie?! – szepnęła. Uniosła głowę nad poduszkę i utkwiała w nim oszołomione spojrzenie. – Jak się tu dostałeś?

– Od dnia napaści, kiedy dowiedziałem się, jak łatwo pokonać miejskie mury, miałem kłopoty, by się przed tym powstrzymać. – Zatrzymał się w smudze cienia

przy drzwiach, gotów w każdej chwili do odwrotu. – Czułem, że przytrafiło ci się coś złego... i proszę, znajduję cię śpiącą za dnia, najprawdopodobniej pod wpływem medykamentów. Czyja to wina, dziewczyno? Co się stało?

– Och, nic, Conanie... To tylko brzemie arystokratycznych obowiązków, konieczności zabawiania goszczonych królów...

– Znowu sięgnęłaś po narcynt, prawda? Widzę to po twoim rozbieganym spojrzeniu i rozchylonych ustach. – Stał skromnie obok fotela przy łożu i zapytał: – Czy te drzwi zamykają się na klucz? Nie chcę, żebyśmy się narażali...

– Nie martw się, nikt nie wejdzie bez pukania – bo nikogo nie wpuszczę. – Usiadła, oparła się o zagłówek i skinęła na Cymmerianina. – Chodź, siadź koło mnie, skoro chcesz mnie pocieszyć – chociaż to niezwykle być pocieszana przez zwalistego wojownika wyłącznie w hełmie i nagolennikach. A złoty miecz u twego boku? Jest prawdziwy czy istnieje tylko w mojej wizji?

– Nie byłbym takim głupcem, by zakraść się do królewskiego pałacu bez mojego ilbarsyjskiego noża, chociaż to nie polerowana błyskotka. – Conan przyklęknął obok łoża, by osłonić swoją nagość. – Co się stało, dziewczyno? Znowu ujrzałaś jakąś koszmarną wizję przyszłości?

– Och, Conanie, to było potworne! – zawołała na samo wspomnienie. – Patrzyłam na gościa moich rodziców; nazywa się Aksander czy coś w tym rodzaju. Jego twarz zaczęła wyglądać dziwnie... Nagle zamieniła się w płonącą czaszkę, pokrytą okropnymi, zwęglonymi kawałkami skóry! Boję się, że stanie się coś straszego! – jęknęła.

– Cóż, takie proroctwo dość łatwo wyjaśnić – zapewnił Conan Afriandrę, gładząc ją po włosach. – Może podczas drogi powrotnej w jego namiocie wybuchnie pożar? Ciekaw jestem, jaka będzie przyszłość Zajusa? Chciałbym to wiedzieć, niedługo przecież mamy pojedynek. Popatrzyłaś może na niego? A co z twoimi rodzicami?

– Przestań, Conanie, proszę! Widziałam tylko odwiedzającego nas króla, cała reszta była rozmyta... Bałam się rozglądać! I tak natychmiast zemdlalam.

Ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała.

– No już, wszystko będzie dobrze.

Barbarzyńca niezręcznie przeszedł wokół łoża i w kojącym geście otoczył księżniczkę ramieniem. Wciąż płacząc, Afriandra przytuliła się do niego i złożyła mu głowę na piersi.

Conan zadbał, by pocieszyć ją należycie. Okazało się to czasochłonnym i wyczerpującym zajęciem, trwającym do późnej nocy. Raz czy dwa rozległo się stukanie do drzwi; Afriandra wykazała godną pochwały przytomność umysłu, szorstkim głosem odsyłając natrętów, a potem jak gdyby nic się nie stało, natychmiast oddając się pasjonującej pocieszce.

Księżniczka przetoczyła się wreszcie na skraj łoża i skrzesała ogień. Przytknęła hubkę do knota olejnej lampki na nocnym stoliku. Wokół roztoczyła się słaba, złota poświata. Blask lampki sprawił, iż pogrążone w nieładzie łoże wydawało się wysepką na mrocznym oceanie; rozciągnięci na nim barbarzyńca i księżniczka przypominali wypoczywających na łasze piasku, wyczerpanych pływaków.

– Oto najlepszy dowód prawdziwości mojego proroczego daru – stwierdziła Afriandra, dotykając boku Conana. – Moja wizja nie kłamała.

Conan przeciągnął się w chłodnej pościeli na twardym łożu i wsparł się na łokciu.

– To znaczy, że wyglądam tak, jak mnie widziałaś? – spytał, by zachęcić ją do dalszych zwierzeń.

– Każda blizna, każdy miesiąc wygląda tak samo, jak w mojej wizji.

Równocześnie z solennym zapewnieniem, przesunęła wskazującym palcem po pewnych kluczowych szczegółach jego ciała.

– Cieszę się, że nie zobaczyłaś mnie bez głowy czy innych niezbędnych narządów – powiedział Cymmerianin. – Dzięki temu myślę, że mam przynajmniej równe szanse w czekającej mnie próbie sił.

– Conanie, o tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Odnalazłabym cię, gdybyś się tu nie zjawił – stwierdziła zaskakująco zdecydowanym, jak na kogoś tak delikatnego, równym głosem. – Na pewno zdajesz sobie sprawę, że nie jest mi łatwo przyglądać się, jak dwaj mężczyźni, których najbardziej... szanuję, rozmyślają, jak za parę dni pozabiją się nawzajem! Przecież nie będziecie nawet walczyć o mnie, bo wyraziłam już zgodę na małżeństwo i nie zamierzam zrywać zaręczyn. – Przyglądając się uważnie, czy nie zraniła go tymi słowami, dokończyła niemal błagalnie: – Nie widzisz, jak utrudniło to mój związek z

Zajusem?

– Ja ci niczego nie utrudniałem! – zjeżył się Conan. – Przypomnij sobie, pomogłem ci w pilnej potrzebie, a później, o ile mnie pamięć nie myli, wykorzystowałaś mnie, by obudzić życie w twoim śniętym narzeczonym! To Zajus jest dziegiem w beczce miodu. To on robi ci trudności, nie ja!

– Wykorzystałam cię? – odpaliła z udawanym zdumieniem Afriandra. – Prosiłam cię jedynie o radę jako wędrowca, obieżyświata! Zgadzam się, właśnie ja, obdarzona nieomylnym wieszczym darem prorokini... powinnam zdawać sobie sprawę, iż skończy się to w mojej sypialni... – potrząsnęła z irytacją głową. – Mimo to nie masz powodów walczyć z Zajusem – podjęła karcącym tonem. – Zachowuj się jak dorosły mężczyzna! Wiem, że Zajus ma język ostry jak miecz, ale czy musisz tak cenić swoją barbarzyńską dumę? Zwłaszcza tu, w Qjarze, gdzie nic nie wiemy o twojej ojczyźnie? Przecież chciałeś za miesiąc odjechać stąd! Pewnie, Zajusa trudno znieść, ale nie widzisz, że pod swą maską doznaje zwykłych ludzkich uczuć? Że może odczuwać tak samo jak ty urazę, że faktycznie został zraniony?

– Czekają go sroższe rany, na pałkę Croma! Ten oszczerczy pies...

– Szszsz! – uspokoiła go Afriandra, kładąc dłoń na napiętym barku Cymmerianina. – Posłuchaj, Conanie, Zajus dźwiga ciężkie brzemię. Jako mistrz świątyni musi być niezwyknięty. Musi bez zmużenia oka stawiać czoło niebezpieczeństwom, przy których zwyczajny człowiek zalewałby się potem i łzami... a przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Moi rodzice postanowili, że ze zwykłego śmiertelnika stanie się królem. Wiedz, że panowanie nad Qjarą to nie zabawa, lecz ciężki żywot, pełen obowiązków i odpowiedzialności! Na domiar wszystkiego, musi znieść mnie i moją niezależność...

– Pewnie! Nikt nie nadaje się do tego gorzej niż ten zarozumiały świętoszek! – warknął Conan. – Nikt rychlej od niego nie zamieniłby waszego znośnego miasta w bezduszne więzienie, kolejną szemicką okropność! Wyświadczę tobie i Qjarze przysługę, jeśli posiekam go na plasterki...

– Conanie, Zajus jest w głębi serca szlachetny i wrażliwy. – Błagająca księżniczka ponownie była bliska płaczu. – Zgadzam się, że jest ograniczony, ale muszę go brać takim, jaki jest! Dla dobra mojego i królewskiego rodu...

Przerwało jej delikatne pukanie do drzwi.

– Afriandro... jak się czujesz, pani? – rozległ się stłumiony głos.

– O wiele lepiej. – Jak poprzednio, księżniczka odpowiedziała wyraźnie i zdecydowanie. – Odejdź, niech nikt mi nie przeszkadza.

Drzwi uchyliły się

– Wybacz mi, pani. Nic na to nie poradzę, musiałem... – Na widok leżącej w blasku lampki pary twarz stojącego w wejściu Zajusa pobladła. Przez chwilę niemo poruszał ustami, po czym zdołał wycedzić zimno: – Och, rozumiem...

– Zajusie, nie... – zaczęła odpowiadać Afriandra, lecz było za późno. Szermierz cicho zamknął drzwi za sobą.

– No proszę, ma przynajmniej szczyptę rozumu. – Conan rozluźnił dłoń na trzymany poniżej skraju łoża ilbarsyjskim nożu. – Może zezwoli ci na należytą swobodę, gdy zostaniesz królową...

– Nie, Conanie, jest jeszcze gorzej niż przedtem! – wybuchnęła księżniczka i kurczowo zacisnęła Cymmerianinowi dłoń na ramieniu. – Posłuchaj, musisz natychmiast uciekać z Qjary! Przecież i tak nie chciałeś tu zostać! Dam ci pieniądze na zapasy. Zatrzymaj się na wzgórzach lub przynajmniej z dala od miasta, aż do czasu, gdy dotrą tu pierwsze karawany. Nie możesz stanąć do pojedynku z Zajusem. Gdybyś go zabił, byłaby to katastrofa dla Qjary. Po tej nocy za nic nie zdołam go przekonać, by cię oszczędził...

– To niemożliwe – odpowiedział Conan, usiadł i zaczął się ubierać. – Rzuciłem publicznie wyzwanie, by odpłacić mu za podłe oszczerstwa. Afriandro, według prawa twojej świątyni – podobnie jak według mojego – wyzwanie to rzecz święta! – Wsunął szeroki nóż w pętlę przy pasie. – Nie mógłbym uciec przed tą walką, chociażby błagały mnie o to wszystkie księżniczki Szemu!

Wstał i odwrócił się, by po raz ostatni pogłodzić ją po włosach.

– Trudno. Skoro nie chcesz się wycofać, zostało już tylko jedno, czym mógłbyś okazać, że mnie kochasz. – Podniosła na niego spojrzenie załzawionych oczu, w których malowało się jednak zdecydowanie. – Pozwól się zabić Zajusowi!

Anaksymander, król Sarku, podróżował przez pustynię z monarszymi wygodami. Błogo rozparty w siedzeniu, napawał się nierytmicznym kołysaniem dźwiganego przez niewolników palankinu. Przypominało mu to opowieści o podróży przez ocean w małej łódce. Powolna wspinaczka na szczyt wydm kojarzyła się mu z pokonywaniem grzbietów fal. Utrudzeni tragarze zwalniali na stromych stokach pod szczytami, zapadając się w grząski piach. Potem następował zachwycający przechyl w przód i przyprawiające o zawrót głowy opadanie, gdy niewolnicy starali się zwolnić bieg z lektyką po przeciwległym stoku diuny. Wreszcie następowała chwila, gdy zdyszany z wysiłku ludzki zaprzęg zwalniał tempa, gotując się do wspinaczki na kolejne zbocze.

Anaksymander cieszył się tymi doznaniem z dziecięcą niewinnością. Napawał się niezrównaną płynnością wędrówki, leniwym trzepotaniem koronkowych zasłon pod wpływem posuwania się naprzód, a nade wszystko rozpościerającym się przed zadaszoną lektyką widokiem rzędów wdzięcznych wydm o łagodnych zarysach. Powtarzał sobie, iż mądrze postąpił, postanowiwszy wrócić tą drogą do Sarku, nie zaś po monotonych równinach wyschniętego morza.

Oczywiście zamierzał po zakończeniu podróży dać tragarzom srogą naukę. Nieregularność tempa ich marszu świadczyła o złym wykszoleniu. Pospołu z nedorzecznym tańcem, do którego wykonania zmusił ich podczas oficjalnej wizyty w Qjarze, dowodziła ich nieprzydatności do dalszej służby. Na razie jednak monarcha sycił się upajającymi wrażeniami.

Jeżeli nawet członkowie wojskowej asysty Anaksymandra mieli własne zdanie o obranej drodze powrotnej, przezornie zatrzymywali je dla siebie. Pokonywali wydmy w luźnym szyku rozpostartym po obydwóch stronach królewskiej lektyki. Ich dowódca, noszący brązową zbroję oficer o charcim, poznaczonym bliznami obliczu, zdecydował się w końcu podjechać na swym koniu pod ruchomy tron Anaksymandra.

– Wasza miłość, na obrzeżu gipsowej panwi na zachodzie dostrzeżono korowód ludzi – zameldował wyćwiczonym, obojętnym tonem. – Sądzymy, iż to orszak arcykapłana Khumanosa, zmierzający na południe do Qjary ze świętym posagiem.

Anaksymander zastanowił się przez chwilę i odrzekł:

– Doskonale. Świadczy to, iż kapłan dokładnie przestrzega poleceń, które mu wydałem. – Po chwili dalszego namysłu król stwierdził: – Od dawna nie miałem od niego żadnych wieści. Niech natychmiast do mnie dołączy. Muszę z nim porozmawiać na osobności. – Z zadumą przegarnął namaszczone pachnidłami brodę i dodał: – Wyślij paru oficerów do pilnowania pod jego nieobecność kolumny niewolników, by nie doszło do niepotrzebnej zwłoki w transporcie posagu.

– Spieszę wypełnić twe rozkazy, wasza miłość. Dowódca natychmiast pognął konia szpicrutą. Po chwili głośno przekazał królewską wolę jednemu ze swych podwładnych. Oficer ujechał jeszcze kawałek i obwieścił rozkazy reszcie eskorty. Niebawem Anaksymander z zadowoleniem ujrzał kłęby pyłu, wzbijanego przez zmierzający na zachód szwadron konnicy. Z kołyszącego się siedzenia jeszcze przez jakiś czas widział w przodzie malejące sylwetki jeźdźców, pokonujących szczyty coraz odleglejszych wydm.

Minęła nieco ponad godzina, nim oddział powrócił. Tym razem dotarł do królewskiej świty od tyłu. Monarcha dostrzegł jeźdźców dopiero wówczas, gdy pokonali wierzchołek ostatniej diuny, i głośnym klaśnięciem w dłonie nakazał niewolnikom postój. Wyczerpani tragarze z ulgą opuścili lektykę na piasek w cieniu wydmy.

Anaksymander spostrzegł, iż między żołnierzami jest też Khumanos. Sposób, w jaki kapłan niezgrabnie podskakiwał na końskim grzbiecie, świadczył, że po raz pierwszy w życiu znalazł się w siodle. Król pomyślał z pewną satysfakcją, iż jego sługa dorobi się dzięki temu wielu bolesnych otarć i sińców, nie mówiąc o późniejszym bólu wszystkich mięśni. Gdy grupka konnych dotarła do orszaku władcy, ciemnoskóry kapłan mimo wszystko samodzielnie zsunął się z grzbietu wierzchowca i chwiejnie wyprostował. Wbrew podświadomym oczekiwaniom Anaksymandra, Khumanos nie runął na piasek; z wychudłej, ogorzałej sylwetki świątynnego sługi były nie zauważone wcześniej przez króla moc i zdecydowanie.

– Witaj, wasza wysokość! – Khumanos wygłosił powitalną formułę z nieznacznym ukłonem i minimalnym spuszczeniem wroku.

– Witaj, dostojny arcykapłanie! – zawołał król z niemalże szyderczą uprzejmością. – Czas i surowe obowiązki zmieniły cię nie do poznania – sądzą, że na lepsze! Wyraźnie się postarzałeś. Zapraszam, skorzystaj z wygod mojej lektyki. Nie wątpię, że niewolnicy zdołają udźwignąć również twój ciężar. Nie masz pojęcia, jak miło tak płynąć nad piaskiem! Proszę, wsiadaj!

Khumanos podszedł na niepewnych nogach do palankinu. Pozwolił osobistym sługom monarchy ściągnąć sobie przez głowę brudną, zakurzoną szatę i wdziac wydobyty z doczepionej do monarszej lektyki cedrowej skrzyni płaszcz ze wspaniałego, delikatnego jedwabiu. Khumanos miał pod szatą jedynie obcisłe spodnie. Jego brudnobrazowy tors przypominał Anaksymandrowi szkielet. Zdawało się, jak gdyby na skórze kapłana zostały spisane wszystkie jego trudy i wyrzeczenia. Jedyną ozdobą Khumanosa było noszone na rzemieniu na szyi ułamane, zaśnieżone ostrze – emblemat niejasno znajomego monarsze wierzenia.

Po wdzianiu płaszcz Khumanos natychmiast odchylił półprzejrzystą zasłonę i wsiadł do stojącej na piasku lektyki na miejsce naprzeciw króla i wyprostował się pod wysokim, wygodnym daszkiem. Gdy na znak Anaksymandra niewolnicy dźwignęli palankin na ramiona, siedzący tyłem do kierunku podróży kapłan zatoczył się i niemal wypadł na zewnątrz. Na szczęście Anaksymander zdążył zacisnąć dłoń na wychudłym nadgarstku Khumanosa. Nie zatrzymując się, niewolnicy zaczęli wchodzić na stok kolejnej wydmy. Kapłan poczuł zawrót głowy od gładkiego kołysania palankinu.

– Zdołałeś, arcykapłanie, wykonać bezbłędnie nakazy najwyższego Wotanty? Odląłeś posąg zgodnie z pradawnymi formułami?

– Tak, wasza wysokość – odparł chrapliwym z wysiłku i od wdychania pustynnego pyłu głosem Khumanos, mierzając króla pozbawionym emocji wzrokiem. – Zgodnie z przekazanymi nam przez przodków instrukcjami, wydobyliśmy święty metal z trzech pobłogosławionych szybów za Szartumem. Pieczęcie na sztolniach okazały się nie naruszone, a ruda spełniała wymogi, o których dowiedziałem się od Solona. Została przewieziona do Otchłani Szatana i tam wytopiona. Dozorcy Otchłani tak jak zawsze do tej pory należycie wywiązali się ze swoich obowiązków.

– Ten szczwany lis, szejk Fuaz, dopomógł ci?

– Tak, panie. Za taką samą jak wcześniej opłatę dostarczył mi niewolników i dopilnował, by nie nękali nas szartumscy rozbójnicy. Zdołaliśmy w rozsądnym czasie zakończyć odlewanie segmentów posągu i ruszyć w drogę.

– Wyśmienicie! Stary Szartumczyk boi się mnie, dlatego nie próbował żadnych sztuczek. Cieszę się, że tak łatwo udało ci się wypełnić swoją misję. – Anaksymander pograżył się na chwilę w głębokiej zadumie, przeczesując palcem brodę. – Co z pozostałymi karawanami? Wiesz, jak przebiega ich wędrówka?

– Według ostatnich otrzymanych przeze mnie wieści, obydwie minęły Sark. Wszystkie trzy części posągu mają niemal jednakową wielkość i ciężar, lecz orszak, który posuwa się najbardziej na wschód, ma najdłuższą drogę. Trzecia karawana musi zaś pokonać strome wzgórza, ponieważ ma ominąć nasze ziemie.

– Istotnie – przyznał król. – Źle by się stało, gdyby posąg zawędrował do Sarku. Byłoby to fatalną wróżbą!

– Oczywiście, panie. Wskutek nakładania drogi dwa pozostałe orszaki mogą się nieco opóźnić. Niedawno wysłałem gońców, by dowiedzieli się, dokąd zdołają dotrzeć.

– Jak sądzę, obydwu karawanom przewodzą twój uczniowie? Mam nadzieję, że na tych młodych ludziach można polegać.

– Tak jest, wasza wysokość. Dołożyłem specjalnych starań, by podchodzili do tej misji z całkowitym, bezgranicznym oddaniem. – Khumanos pogładził przy tych słowach zardzewiałą rękonożkę na piersiach. – Wszelako moja grupa znacznie się skurczyła wskutek trudów i wypadków podczas wędrówki. Musiałem zaangażować do pracy niemal wszystkich członków zbrojnej asysty. Sądzę, że tak samo jest w pozostałych orszakach. Gdybyś mógł przydzielić mi dodatkowych żołnierzy lub tragarzy, panie...

– Oczywiście, Khumanosie. Popieram tę misję z całej mocy swej królewskiej woli. Zezwalam ci zabrać dwunastu żołnierzy z mojej eskorty, jeśli sobie tego życzysz. Po powrocie do Sarku ogłoszę odpowiedni edykt. Nie sądzę, by był konieczny pobór, wystarczy zaciąg ochotników. Zważywszy na panujące w mieście warunki, na pewno mnóstwo chłopów z chęcią zaprzeda się na służbę za obietnicę dostatku jada i wody. Wydam im rozkaz dołączenia do dwóch pozostałych karawan. Sądzę, że zaspokoi to twoje potrzeby? – Khumanos bez słowa pokiwał głową. Anaksymander kontynuował: – Bardzo dobrze. Najedz się i napij do syta, kapłanie, bo między mnie twój zdarty głos. – Wskazał otwarty koszyk, pełny owoców, sera, biszkoptów i butelek z winem. – Tymczasem opowiem ci o czymś, co uraduje twe serce i wywoła wdzięczność dla twojego władcy. Wracam właśnie z Qjary. Wiedz, iż przygotowałem grunt pod twoją misję. Nie wątpię, że święte drzewo Wotanty szybko się tam przyjmie i zapuści głęboko korzenie. – Pochłonięty bez reszty jedzeniem

i piciem, Khumanos nie odpowiedział, obrzucił jedynie monarchę uważnym spojrzeniem. – Ogólnie rzecz biorąc, moją wizytę można uznać za wielki sukces zarówno w religijnym jak i dyplomatycznym sensie – kontynuował Anaksymander. – Wiedz, że goszczono mnie w pałacach i dworach moich zaprzysiężonych wrogów. – Wykazując niezwykłą otwartość wobec swojego poddanego, król roześmiał się serdecznie. – Na własne oczy oglądałem ich żalosne słabości, cechy, które napawają odrazą naszego niebieskiego pana, Wotantę. Otwartość, rozluźnienie obyczajów, beztroskę... i ohydą arogancję, wynikającą z przekonania, że inni hołubią identyczne wady! – Władca skrzywił się z wyraźną odrazą. – Na szczęście te właśnie grzechy staną się przyczyną ich zagłady. Bądź pewny, że pod każdym względem – religijnym, duchowym i politycznym – przygotowałem drogę na nadejście naszego wielkiego boga.

– Wnoszę, panie, iż masz ich za odpowiednie ofiary dla Wotanty? – Khumanos skończył pożywiać się i odłożył skórki owoców oraz pustą butelkę po daktylowym winie.

– Tak, pod każdym względem! Ich zamożność i beztroska, bogactwo ich ziem i ozdób, a przede wszystkim żalosna niewiedza sprawiają, iż doskonale nadają się do złożenia w ognistej, świętej ofierze! Niezwykła wizja, zesłana mi przez naszego pana w niebiosach, okazała się prawdziwa w każdym szczególe! – Anaksymander gwałtownie pokiwał głową, ogarnięty fanatycznym uniesieniem. – Wiedz, że sobie z nich szydziłem, lecz w swym błogim zadowoleniu nie zdawali sobie z tego sprawy! – Król przytaknął z bezgraniczną wzdargą. – Być może wspomną z gorącością moje słowa, choćby w chwili katuszy, gdy będzie dopełniać się nasza ofiara. Jak sądzisz, Khumanosie, zdołałbyś im to uświadomić podczas swej ostatniej przemowy? Wiem, że twoje poświęcenie sprawi, iż już cię więcej nie ujrzę, lecz czy mógłbyś zapewnić mi przynajmniej tędrobną satysfakcję, tę krótką chwilę zemsty? – Anaksymander westchnął. – Wierzę w to, kapłanie, bowiem Wotanta jest na swój sposób hojnym bogiem.

– Nie przystoi mi szukać osobistego rewanzu, panie. – Khumanos zmrużył oczy z nieprzeniknioną miną. – Będę dbał przede wszystkim, by dopełnić wszystkich rytuałów, niezbędnych do otworzenia drogi naszemu bogu.

Król otrząsnął się z zadumy i popatrzył na swojego towarzysza z niejakim zaskoczeniem.

– Istotnie, zmieniłeś się, Khumanosie. Przedtem miałem cię za słabeusza, rozmiłowanego w obrazie słabego, dobrodusznego boga, jaki przedstawia się wieśniakom dla otarcia łez. Nareszcie wykazujesz zdecydowanie i pewność siebie, jak przystało prawdziwemu przełożonemu świątynnej hierarchii! Nie zrażasz się pospolitymi cielesnymi niedogodnościami dla siebie czy innych. Nie wątpię, że wiele zawdzięczasz surowym naukom Wotanty i mojemu osobistemu przykładowi, jak należy mu służyć.

– Tak, panie. Swoją obecną jasność umysłu skłonny byłbym przypisywać również nieżyjącemu prorokowi Solonowi. Przyczynił się do niej w największym stopniu, dzięki... ukazaniu mi złudności doczesnych nadziei i pasji oraz nietrwałości samego żywota. Ten amulet jest pamiątką jego nauk.

W trakcie swej odpowiedzi Khumanos zdjął z szyi i wyciągnął przed siebie ułamane, zaśniedziałe ostrze.

– Solon zdawał się starszy od wzgórz, w których mieszkał – stwierdził z zadumą Anaksymander. – Jego życie tak nagle dobiegło kresu... jak mi się wydaje, niemal równocześnie z twoją pielgrzymką. Dobrze się stało, iż znalazł się godny spadkobierca jego tajemnej wiedzy.

– Prawdą mówiąc, byłem przy jego śmierci... wskutek fatalnego potknięcia w zdradliwych mrokach swej jaskini. Sposób, w jaki rozstał się z życiem, stanowił dla mnie najcenniejszą otrzymaną odeń lekcję – dowód, jak kruchy i nietrwały jest byt nawet najbardziej szanowanego śmiertelnika.

– Wraz ze swoją mądrością Solon przekazał ci magiczny miecz Onotymantosa. – Anaksymander poprawił się na wyściełanym poduszkami siedzeniu. – Ostrzegam cię, kapłanie, nie próbuj go użyć przeciw mej wiecznej duszy ani doczesnemu ciału. – Odsunął połą szaty przy szyi, ukazując noszoną pod jedwabiami srebrną kolczugę. – Możesz dostać jeszcze boleśniejszą lekcję – o marności żywota ludzi nawet tak niezwykłych jak ty.

– O nie, panie, nie poważyłbym się na taki postępek. – W tonie odpowiedzi Khumanosa na groźbę ze strony władcy było brak jakichkolwiek oznak strachu czy skruchy. – Używam tego talizmanu wyłącznie przeciwko osobom, których myśli i uczucia stoją na drodze spełnienia woli Wotanty. Do tej pory surowość i mściwość

waszej wysokości stanowiły siłę napędową – wręcz przyczynę – misji, mającej na celu większą chwałę naszego boga. Dopóki tak będzie, panie, jestem jak najdalszy od myśli, by pozbawić cię duszy.

– Okazałeś mądrość, kapłanie – i przydatność do dalszej służby naszemu niebieskiemu panu! Wracaj do swojej karawany i wiedz ją dalej na północ. Będę z niecierpliwością wyczekiwać wieści o powodzeniu twej wspaniałej ofiary.

Anaksymander zaklaskał w dłonie, by zwrócić uwagę jeźdźców w pobliżu lektyki.

10.

W OBLICZU BOGINI

Conan miał wrażenie, że wszyscy mieszkańcy Qjary stłoczyli się tego pięknego poranka na Agorze, by być świadkami pojedynku między nim i Zajusem. Wiedział, że było to nieprawdą. Strażnicy jak zwykle pełnili wartę na miejskich murach, a wieśniacy trudzili się przy pompach i kanałach nawadniających, by uchronić plony przed wysuszającym żarem, jednak na pewno również ich myśli wędrowały na ogrodzony kolumnadami świątynny dziedziniec, gdzie mieli stoczyć walkę pierwszy szermierz miasta i cudzoziemiec, który rzucił mu wyzwanie.

Barbarzyńca wiedział, że ruchliwi, wyraźnie widoczni w tłumie gapiów Szemici przyjmowali zakłady co do wyniku pojedynku, a w ich sakiewkach znalazły się tego dnia spore sumy. Słońce zbliżało się do zenitu, jednak brodaci oczajdusze nie ustawiali w zawieraniu szeptanych umów. Bijąca od Szemitów pewność siebie świadczyła, że zakłady miały ustalone stawki i nie spodziewano się, by obecny mistrz szermierczy mógł ponieść porażkę.

Najważniejszymi widzami byli król i królowa. Monarsza para zasiadła pod barwnym, wyszywanym baldachimem przed bramą pałacu. Wśród grupy poważnych dworskich urzędników siedziała milcząca księżniczka Afriandra. We wspaniałym stroju i kunsztownej fryzurze prezentowała się piękniej niż kiedykolwiek, lecz bladeść jej twarzy i podkrążone oczy kazały Conanowi domyślać się, iż ostatnio źle spała.

Po bokach Agory, w pewnej odległości od oznaczonego palikami pola pojedynku, ustawiono rzędy ław dla Qjaran, którzy nie mogli pomieścić się na zatłoczonym placu. Naprędce przygotowane wysokie konstrukcje można było w najlepszym razie określić jako niepewne; ponieważ widzowie w pierwszych rzędach nie mogli usiąść czy przyklęknąć, pozostali byli zmuszeni wychylać się nad ich plecami, przytrzymując się ich ramion lub rachitycznych podpórek. Najlepszy widok roztaczał się z wąskiego, porośniętego bluszczem muru kompleksu świątynnych budowli. Wśród rzadkiego rzędu śmiałej młodzieży, która odważyła się nań wspiać, Conan wypatrzył Ezrela i pozostałą trójkę urwisów. Dzieci wciąż odwiedzały Cymmerianina w obozie za miejskimi murami, chociaż czyniły to rzadziej od czasu napaści koczowników.

Mimo zdobytej sławy, niewielu widzów pojedynku Conan mógłby nazwać swoimi prawdziwymi przyjaciółmi. Ci, którzy zasługiwali na to miano, zebrali się wokół barbarzyńcy z Północy na skraju wyznaczonego kołkami placu boju. Grupkę tę tworzyli szynkarz Anaks, Babeth, parę jej przyjaciółek z karawanseraju oraz garstka sług i jarmarcznych artystów z dzielnicy karawan.

W ich liczbie nie było Szarli. Tancerka zajmowała poczesne miejsce pośród kapłanek w powłóczystych szatach, odprawiających rytualną procesję przed wysoką, zdobną fasadą świątyni Sadyty. Gdy kobiety rozpoczęły ożywiony taniec pełen wyszukanych figur, szmer tłumu ucichł, zamieniając się w nabożne skupienie. Dzięki zapadłej ciszy słyhać było wyraźnie rytmiczną muzykę fletu, bębna i cytry ze stopni świątyni.

Gdy taniec dobiegł końca, na Agorze zapadła cisza. Wszyscy czekali na oficjalne ogłoszenie pojedynku przez królową.

– Rzucono wyzwanie świątynnemu szermierzowi, wobec czego zarządzonej został publiczny pojedynek. W imię Sadyty oznajmiam, iż wszystko jest gotowe do świętej walki! – oświadczyła Regula silnym głosem, idealnie pasującym do funkcji arcykapłanki Jedynej Prawdziwej Bogini. W Koth czy Zingarze po jej słowach rozległy się szmer podniecenia i zadowolenia, lecz Qjaranie w przerywanym stłumionymi kaszlnięciami milczeniu wpatrywali się w królową. Na kolejną walkę mistrza oczekiwali z głębokim skupieniem. Po chwili ciszy królowa kontynuowała: – Wyzwanie rzucono pierwszemu wojownikowi świątyni Sadyty, szermierzowi ósmego stopnia, Arcymistrzowi Świątyni i Obrońcy Bogini, rodzonemu mieszkańcowi naszego miasta, dzielnemu i umiłowanemu przez wszystkich Zajusowi we własnej osobie!

Zajusie, wystap!

Wyprostowany sztywno jak zawsze szermierz wyszedł spod baldachimu dla dworskiej świty. Powitało go nie wiwatowanie, niestosowane podczas religijnej ceremonii, lecz szmer uznania i ulgi, jednoznaczny wyraz miłości mieszkańców Qjary do ich najwspanialszego obrońcy. Królowa Regula uścisnęła Zajusa serdecznie jak matka, po czym wysunęła szermierza przed siebie, by zaprezentować go widzowi.

– Zajusie, czy chciałbyś szczególnie poświęcić dzisiejszą walkę i krew dzielnych mężów, która stanie się ofiarą dla wiecznie panującej Sady? – spytała, nie zdejmując mistrzowi fechtunku dłoni z ramienia.

Zajus obejrzał się na dworską świtę z niezmaconym spokojem i skłonił się nieznacznie wpatrującym się w niego królowi i księżniczce. Powiódł wyniosłym wzrokiem po tłumie, nie zatrzymując spojrzenia na stojącym dokładnie naprzeciwko niego Conanie.

– Istotnie, pragnę zadedykować czekające mnie zmagania – przemówił twardym, nawykłym do modłów i komend głosem. – Dzisiejszy pojedynek będzie wspomniany najdłużej spośród wszystkich walk przed boginią w historii naszego miasta. Chcę zaprezentować wam, wierni mieszkańcy Qjary, najdoskonalszy z możliwych pokaz szermierczej sprawności. – Zawiesił głos. Widzowie przyjęli jego słowa szeptami i pełnymi podniecenia spojrzeniami. – Poświęciłem temu wiele ćwiczeń. Pościłem i medytowałem według najściślejszej reguły, spędziłem niezliczone godziny na kornych modłach do Jedynej Prawdziwej Bogini. – Rozejrzał się po tłumie ze świadczącym o skromności i cnotcie wyrazem twarzy. – Dzisiejsza walka jest ofiarą dla Sady, lecz poświęcam ją również innej szlachetnej osobie: księżniczce Afriandrze, przyszłej królowej Qjary!

Po przemowie Zajusa znów rozległ się nie zgiełk aplauzu, lecz szmerek nabożnego skupienia – dowód nie ukrywanego podziwu i ekscytacji. Conan pilnie nasłuchiwał, czy widzowie nie odbiorą dedykacji Zajusa jako czegoś niestosownego, jednak najwyraźniej nikomu nie przyszło to do głowy. Cymmerianin naturalnie nie zwierzył się nikomu z zażyłości z księżniczką; był pewny, że identyczną dyskrecję zachowały pozostałe dwie strony uczuciowego trójkąta. Widzowie walki nie mogli więc wyczuć ukrytych w przechwałkach szermierczego mistrza zazdrości i szyderstwa. W słowach Zajusa słyszeli jedynie głębię religijnego oddania i przekonania o własnej słuszności.

Conan zareagował na przemowę Zajusa jeszcze gwałtowniejszą ochotą do walki. Przez dni jakie minęły od prośby Afriandry, Cymmerianin przemyślał coraz niezwyklejsze zakończenia pojedynku: jakie na przykład rany mógłby odnieść, by zachować honor, a jednocześnie spełnić wolę księżniczki, czy też na odwrót, jak poważne obrażenia mógłby zadać Zajusowi, nie zabijając go ani nie uniemożliwiając mu raz na zawsze odgrywania roli hołubionego przez Qjaran bohatera.

Z rozmowy z młodym Ezrelem dowiedział się, iż Jedyne Prawdziwe Bogini nie była na tyle krwiożercza, by domagać się śmierci jednego czy obydwóch szermierzy. W myśl tradycji do przerywania rytualnej walki wystarczała poważna rana. Ze względu na Afriandrę i przyszłość dynastii barbarzyńca musiał pozostawić pewne części ciała Zajusa nietknięte, co istotnie ograniczało wybór strategii przez Cymmerianina. Ostatnio Conan skłaniał się do koncepcji, iż obydwaj powinni odnieść niezbyt upokarzające rany – naturalnie Zajus poważniejszą. Upust krwi obydwóch walczących, aczkolwiek niespecjalnie dotkliwy, powinien zadowolić wszystkie zainteresowane strony – ziemskie i nieśmiertelne.

Conan zdawał sobie sprawę, iż rozumując w ten sposób, może przejawiać nadmierną pewność siebie. Ponieważ widział Zajusa w walce, orientował się, iż może mieć do wyboru jedynie zabić go lub samemu zginąć. Osobiście skłaniał się ku temu pierwszemu rozwiązaniu. Wątpił, czy ma dość odwagi, by umrzeć, aby spełnić władcą zachciankę Afriandry.

– Natchnione, dostojne słowa! – oświadczyła pełna monarszego majestatu Regula. – Przez Zajusa przemówiła czystość i szlachetność ducha, będąca wynikiem służby naszej bogini. Mieszkańcy Qjary, poświęćcie chwilę cichej modlitwy, by pomedytować nad dzielnością naszego mistrza i jego godnymi podziwu aspiracjami! – Po chwili skupionego milczenia, królowa kontynuowała: – Wyzwanie Zajusowi rzucił z powodu osobistej obrazy niejaki... – spojrzała na trzymaną w dłoni woskową tabliczkę – Conan, człowiek pospolitego stanu, nie wierzący w Sady i nie urodzony w Qjarze. Conanie, wystap!

Cymmerianin minął grupkę swoich przyjaciół i przeszedł między dwoma jaskrawo

pomalowanymi drewnianymi kołkami na wyłożoną brukiem część Agory. Przez tłum przeszedł szmerek, słabszy i nie tak jednoznaczny, jak przy pojawieniu się Zajusa. Conan nie orientował się, czy wywołał go podziw dla jego wspaniałej budowy, czy też pogarda dla skąpego, nędznego stroju. Nie wiedział też, czy zostanie poproszony o wygłoszenie mowy przed gapiami, lecz królowa nakazała mu gestem zatrzymać się kilka kroków przed sobą i Zajusem. Świątynny wojownik zaczął protestować, wskazując zwisający przy pasie Conana wytarty ilbarsyjski nóż:

– Nie godzi się, by tak nędzną bronią toczyć święty pojedynek! To nie miecz, lecz zwyczajny nóż, na dodatek zbrukany nieczystą krwią! – Szermierz odwrócił się do jednego z towarzyszących mu wojowników. – Zaklinam cię na Saditę, podaruj mu godny oręż!

Conan oddał towarzyszowi Zajusa nóż, wziął od niego miecz ze złotą rękojeścią i zważył go w dłoni. Ściągnął pochwę i rzucił ją za odchodzącym ofiarodawcą.

– Ostrzegam cię, Zajusie, wymachiwałem większym pałaszem, kiedy byłem jeszcze w pieluchach. Nie sądz nawet przez chwilę, że trudniej mi będzie rozpruć ci trzewia tym mieczem niż bronią, do której się przyzwyczailem.

– Mylisz się, jeżeli sądzisz, że wynik tego pojedynku zależy od używanego przez ciebie oręża. – Zajus nie wysilił się nawet na szyderczy uśmiech; ledwie raczył spojrzeć na Cymmerianina. – Pilnuję jedynie, by stało się zadość rytualnym wymogom. Ty i twoja broń są niczym dla naszego miasta i świątyni. Nie wiesz, co to honor i dyscyplina. Nie masz szans w tym pojedynku. :

– Obelgi z twoich ust to marna broń – zrewanżował się Conan. – Nie myśl, że mnie nimi upokorzysz czy ocalisz swoją nędzną skórę.

Świątynny mistrz zdawkowo wzruszył ramionami, nie racząc spojrzeć przeciwnikowi w oczy.

– Nie przejmuję się twoim ujadaniem, barbarzyńco. Czy nie widzisz, że już przegrałeś? Nim pojedynek dobiegnie końca, oczyszczający potok krwi zmyje z naszej pamięci ciebie i wszystko, co sobą reprezentujesz. Dość już próżnych słów, czas na walkę!

Podczas wymiany pogroźek królowa Regula zawróciła w stronę trybuny. Świątynni wojownicy podążyli jej śladem. Na placu boju pozostali wyłącznie walczący.

Widok wycofujących się towarzyszy Zajusa sprawił, iż Conan zastanowił się głęboko nad przechwałkami swojego rywala. Wojownicy widzieli Conana w walce; czyżby Zajus był szaleńcem, iż wykazywał tyle pewności siebie? A może był czarownikiem lub też istotnie stała za nim boska moc? Czyżby jego opiekunka Sadita należała do rzadkiego rodzaju bogiń, lubujących się w bezpośrednich ingerencjach w zmagania śmiertelników? Cymmerianin obejrzał się nerwowo na płaskorzeźbę na portyku świątyni, przedstawiającą nieprzeniknione, przypominające maskę oblicze Sadity.

Arogancki mistrz szermierczy wyciągnął lśniący miecz przed siebie na odległość ramienia i zasalutował. Barbarzyńca odpowiedział podobnym gestem, pojmując, iż jest to część rytuału. Odległość między walczącymi była groteskowo duża, wynosiła co najmniej sześć kroków.

Conan opuścił miecz i zaczął zbliżać się na szeroko rozstawionych stopach do przeciwnika. Zajus również gotował się do walki. Wzniósł wysoko miecz i zręcznie zgiał obydwie nadgarstki tak, iż ostrze zakreśliło nad jego głową skomplikowaną krzywą. Następnie opuścił broń i pochylił szerokie barki.

Wziąwszy potężny zamach, świątynny wojownik odrąbał sobie głowę.

Cios został zadany sztywno, z doskonałą kontrolą nad mięśniami. Conan widział coś podobnego po raz pierwszy w życiu. Cios wąskiego ostrza jakiś cudem okazał się na tyle potężny, iż gładko przeciął tworzącą kark wojownika kolumnę kości, więzadeł i mięśni. Z przeciętych tętnic buchnęły potoki miedzianoczerwonej krwi, głowa Zajusa poszybowała wysoko. Gdy odbiła się od ziemi i potoczyła w bok, martwe ciało wojownika osunęło się obok niej i znieruchomiało po paru agonalnych skurczach. Upiorna rana przeciętej szyi nadal broczyła szkarłatnymi strugami. Miecz szermierza upadł ze szczękiem na kamienie Agory.

Reakcją na zdumiewającą scenę była absolutna cisza ze strony widowni. Nie rozległ się choćby jeden krzyk grozy; zaledwie paru Qjaran zdobyło się na jęk zaskoczenia. Po chwili grobową ciszę przerwał urywany śmiech nie wierzącego własnym oczom Conana.

– Na Croma, co to ma znaczyć? – odwrócił się w stronę najbliższych stojących widzów, jak gdyby spodziewał się od nich wyjaśnienia. – Co to za błazenada...

– Cisza! – przerwał mu ostry głos Reguli. Królowa wyszła na krok przed

królewską trybunę i zawołała: – Cudzoziemcze, nie śmiej zbezcześcić tej świętej chwili. Dość twoich bluźnierstw i przyzywania pogańskich bogów! – Urwała na chwilę, po czym oznajmiła: – Moi wierni, nie przewidziałam czegoś podobnego. Nasza bogini, choć jest wszechwiedząca, nie wszystkie swe sekrety objawia zwykłym śmiertelnikom. Bądźcie jednak pewni, iż obecność tutaj dzisiejszego dnia jest dla was wielkim przywilejem. Staliście się świadkami aktu boskiej woli i dowodu bezgranicznej wiary! Mieszkańcy Qjary, przed waszymi oczyma miał miejsce cud! – Po wyrzeczonych z głębokim przekonaniem słowach królowej – arcykapłanki rozległ się szmer potwierdzenia oszołomionego tłumu. Conan przyglądał się niepewnie ludzkiej ciżbie, w milczeniu ściskając rękojeść miecza. Niektórzy z otaczających go, mamroczących ludzi kiwali głowami, komentując los tego, który bez głowy leżał w kałuży czerwonej krwi. – Trzy stulecia minęły od czasu, gdy po raz ostatni podobny czyn miał miejsce podczas świątynnych obrzędów – podjęła przemowę Regula. – Lecz jeszcze nigdy w historii naszego miasta ofiara nie została złożona z takim mistrzostwem. Nikt prócz Zajusa nie mógłby tego dokonać; tylko jego stać było na takie opanowanie, siłę woli i bezgraniczną wierność zasadom naszej wiary. Sadita знаła wartość naszego mistrza i odpowiednio go za to nagrodziła, pozwalając mu złożyć ofiarę z własnego życia. Swoim czynem, Zajus zasłużył na miejsce wśród nieśmiertelnych! – Szemranie wypełniającego Agorę pospólstwa nie ustawało, dlatego arcykapłanka rozwinęła swą myśl: – Zaręczam, wierni Qjaranie, iż ta ofiara jest w swej istocie dowodem łaski bogini! Sami widzieliście, co się stało; byliście świadkami bezmiaru oddania obrońcy Sadyty. Jak inaczej nasz potężny mistrz zdołałby jednym ciosem rozciąć swe ciało na dwie części? Jak inaczej zdolny byłby do tak straszliwej ofiary? Powiadam wam, wyłącznie dzięki cudownej sile woli, jakiej zdolna jest udzielić człowiekowi tylko Jedyna Prawdziwa Bogini! Tylko ona pozwala zatriumfować nad samą śmiercią! Oto lekcja, której zapomnieć nie wolno: wiara zwycięża wszystko! To wiara sprawiła, że dzisiejszy dzień będzie miał epokowe znaczenie! Nie urońcie z niego niczego, byście wy i wasze dzieci przez wieki mogli czcić pamięć o Zajusie. Nasze miasto straciło następcę tronu, lecz zyskało nieśmiertelnego bohatera! Królowa podeszła do ciała Zajusa tak blisko, jak tylko mogła, nie kalając wykwinnych sandałów w ciemniejącej kałuży krwi. Kończąc przemowę, przywołała wdzięcznym gestem czwórkę sług. Mężczyźni przystąpili do zawijania zboczonych szczątków w śnieżnobiałe lniane prześcieradła – osobno głowę, osobno resztę ciała. Musieli zużyć ich wiele, nim krew przestała przesączać się przez tkaninę. Nim skończyli, Conan skorzystał ze sposobności i zadał królowej pytanie:

– Co ze mną, pani? Zajus podstępnie pozbawił mnie możliwości wyrównania rachunków.

– Podstępnie?! – wybuchnęła Regula. – Cudzoziemcze, w istocie zostałeś pokonany! Twoja porażka jest gorsza, niż gdyby to twa głowa potoczyła się po kamieniach. – Wyprostowała się, przybierając godną posagu pozę. – Dokonała się rytualna ofiara. Pamięć o jego zwycięstwie przetrwa przez wieki! – Królowa stanęła po przeciwnej niż Cymmerianin stronie szybko krzepnącej plamy krwi. Świątynni wojownicy utworzyli po jej bokach ochronny szpaler. Regula wymierzyła oskarżająco palec w barbarzyńcę i oświadczyła z całej mocy: – W tym, co się stało, nie znaczyłeś nic – nie, nawet mniej niż nic. Właśnie ty, cudzoziemcze, nie mający żadnego pojęcia o naszych obyczajach, byłeś świadkiem śmierci naszego bohatera. Właśnie ty szydziłeś z niego, zbezcześciłeś najświętszą chwilę jego życia ordynarnym rechetem i ohydnyimi pogańskimi klątwami! – Wiedziona nieomylnym kapłańskim instynktem Regula wyraźnie zdawała sobie sprawę, że uświęcenie Zajusa wymagało potępienia kogoś innego. Posługując się górnolotną retoryką, konsekwentnie podsycala niechęć tłumu do Cymmerianina. Conan wyczuwał nieprzyjazne nastawienie gapiów w ich ponurych spojrzeniach i głuchych pomrukach. Zacisnął silniej dłoń na rękojeści miecza, dochodząc do wniosku, iż w religijnym szale motłoch może rozerwać go na strzępy. – Kara za takie grubiaństwo jest taka sama, jak za okrycie się hańbą podczas rytualnego pojedynku – kontynuowała królowa. – Od tej pory jesteś dla nas nikim, Conanie z dzikich krajów. Nie ma dla ciebie miejsca w Qjarze ani przed obliczem Jedynej Prawdziwej Bogini.

– Zaczekaj, pani! – zaprotestował Conan. – Cokolwiek to znaczy, to niesprawiedliwość! Niczym na nią nie zasłużyłem, nikomu nie wyrządziłem krzywdy bez należytej racji... Przecież pomogłem obronić wasze miasto! – Odwrócił się od surowego tłumu i Reguli w stronę brodatego króla i zawołał: – Panie! W nagrodzie

za moje zasługi dla Qjary ogłosiłeś, że mogę liczyć na ochronę ze strony świątyni!

– Z której zostajesz wypędzony tak samo, jak zostałyby każdy Qjaranin, łamiący nasze prawa! – odparł posępnie król, nie patrząc w stronę Cymmerianina.

Afriandra siedziała obok ojca ze spuszczoną głową. Jej oblicze miało martwy wyraz, lecz po jej policzkach spływały łzy.

– Dajcie spokój, to szaleństwo. Nie widzicie, że Zajus był głupcem? Sam sobie odebrał życie... – zawołał Conan.

Odwrócił się ze zniecierpliwieniem w stronę przyjaciół, którzy przybyli z nim na pojedynek, lecz ani z ust szynkarza Anaksa lub Babeth, ani pozostałych nie usłyszał słowa poparcia. Jego znajomi pochodzili z najniższej warstwy qjarańskiego społeczeństwa, i w tej chwili odwracali od Cymmerianina twarze, na których malowało się przesadne, świętoszkowate oburzenie.

– Na Croma, obłudnicy z was wszystkich! Jak to możliwe... – Conan dostrzegł wreszcie czwórkę małych obszarpańców, którzy siedzieli na świątynnym murze ze spuszczonej głowami. Oni również odwracali wzrok, lecz Conan złowił przelotne, żałosne spojrzenie drobniutkiego Inosa. – Doskonale! – burknął wreszcie barbarzyńca. – Mam w nosie Qjarę! I tak zamierzałem niedługo ruszyć dalej. Jeżeli za ten miecz... – uniósł doskonałą broń, sprezentowaną mu przez świątynnego wojownika – ...zdołam kupić wielbłąda, bukłaki i zapasy, wyjadę stąd i przestane was drażnić swoim widokiem!

– Niech tak się stanie – oświadczyła królowa Regula, utkwivszy wyniosłe spojrzenie nad głową Cymmerianina. – Nakazuję ci, cudzoziemcze, zakończyć jeszcze dziś swoje sprawy w Qjarze i opuścić ją do zachodu słońca. Inaczej spotka cię śmierć. Ogłaszam, iż na mocy świętego prawa Sadyty od tej chwili jesteś wyrzutkiem!

11.

WYRZUTEK

Z boku pustynnej niecki piętrzyły się Góry Rozpaczy. Po przeciwnej stronie, bliżej samotnego jeźdźca, wznosiły się karmazynowe zbocza pasma nazywanego Krwią Attalosa, zaś dalej na zachodzie blade jak kość Kły Zafura wznosiły się w rozpalone błękitne niebo. Zębate turnie miały ostre, skomplikowane zarysy. Obyci z pustynią Szemici opisywali je niegdyś Conanowi w zawiewanych pyłem obozowiskach. Nazwy górskich pasm i otaczające je straszliwe legendy zapewne były odmienne w różnych plemionach pustynnych koczowników, lecz niemal na pewno nie istniała rzetelna mapa tych pustkowi, prócz tej w pamięci zahartowanych rozbójników i poganiaczy przemierzających rok po roku wypaloną ziemię karawan.

Między szczytami o fantastycznych kształtach rozpościerała się czerwona pustynia, przypominająca dno olbrzymiego miedzianego sagana. Przed przemierzającymi te tereny wędrowcami obok wszystkich niebezpieczeństw i wyrzeczeń stała konieczność podjęcia jeszcze jednej decyzji: trzymać się mniej wystawionych na palące słońce obrzeży pustynnej niecki, często w złudnej nadziei znalezienia wody, czy też dla oszczędzenia czasu przemierzać ją na wskroś. Dosiadający dwugarbnego turańskiego wielbłąda Conan wybrał prostą drogę.

Nie zamierzał zapuszczać się tak daleko na zachód, gdyż dobrze znał wrogię wszelkiemu życiu pustynie wschodniego Szemu i pełny bezmyślnego okrucieństwa charakter zamieszkujących ją ludów. Cymmerianin chciał ruszyć na północ w stronę Szadizaru niższymi przełęczami Gór Rozpaczy, przez wschodnie pogranicze królestwa Koth. Los spłatał mu jednak przykrego figla: ciesząca się doskonałą opinią wśród poganiaczy wielbłądów, zwłaszcza za sprawą bliskości do obfitującej w wodę Qjary, oaza okazała się wyschnięta na kość. Pod wyrudziały, zeschniętymi palmami roztaczało się obrzeżone nalotem soli zagłębienie, podziurawione szybami wybitymi w daremnym poszukiwaniu życiodajnego płynu.

Conanowi nie groził na razie brak wody, w odróżnieniu od innych wędrowców, którzy zdołali dotrzeć do oazy. Zabite dla ostatnich kropel gęstej cieczy w kurczących się garbach wielbłądy oraz trupy z poderżniętymi gardłami – ofiary walki o niemal próżne bukłaki – stanowiły świadectwo okrutnych wydarzeń. Zmumifikowane zwłoki były do połowy pożarte przez głodujące szakale.

Dotychczas Conanowi sprzyjało szczęście: nie spotkał nikogo. Dzięki temu barbarzyńcy został oszczędzony wybór między dzieleniem się szczupłym zapasem wody a zabójstwem oszalałego z pragnienia nieszczęśnika. Cymmerianin lękał się takich spotkań, gdyż mogły prowadzić do okrutnej, niegodnej mężczyzny rzezi. Był

to jeszcze jednej z powodów, dla których zamierzał zaczekać w Qjarze na bogatą, zmierzającą na północ karawanę. Marzył o orszaku z nadmiarem zapasów i wozami pełnymi wina, a może nawet zapłacie lub udziale w towarach po dotarciu do celu.

Los pokrzyżował jego plany. Wciąż nachodziły Conana myśli o wydarzeniach, które doprowadziły do jego haniebnego wygnania z Qjary. Nie mógł pozbyć się z pamięci obrazu Zajusa, dokonującego koszmarnego aktu samounicestwienia. Nawet zważywszy na osobliwe przekonania religijnych fanatyków w odizolowanych pustynnych państewkach, czyn świątynnego wojownika był dziwny, a do tego klócił się z jego aroganckim, oportunistycznym charakterem. Po drugich rozmyślaniach Conan doszedł do wniosku, iż kluczem do czynu Zajusa był jego stosunek do Afriandry.

Nie chodziło tu bynajmniej o miłość; spętany narzuconymi sobie regułami mistrz szermierczy był niezdolny do odczuwania tego uczucia. Za sprawą obietnic królewskiej pary dotyczących oddania mu ręki Afriandry i panowania nad Qjarą, Zajus uważał księżniczkę za swoją wyłączną własność. Niezwykle ambitny szermierz był całkowicie przekonany o rychłym przejęciu władzy; praktycznie zachowywał się, jak gdyby to już się stało. Gdy zrozumiał, iż Afriandra za nic nie ulegnie jego woli, zaczął bać się planowanego związku. Znalazłszy ją w ramionach Conana, uświadomił sobie, że księżniczka będzie dążyć do zachowania wpływów i wykorzystywać przywileje, odziedziczone po królewskich przodkach i niezależnie myślących arcykapłankach. Przewidział, iż rozejście się plotek o jej uczuciowej i politycznej samowoli oznaczałoby dla niego publiczne upokorzenie.

Conan domyślał się, iż mimo wyznawania od najwcześniejszych lat żeńskiego bóstwa – a może właśnie dlatego – Zajus nie zdobyłby się na uznanie kobiety nawet za równą mu w codziennym życiu. Jego upór i duma nie pozwoliłyby mu również na odrzucenie wybranej dla niego roli. Sługa świątyni znalazł się w potrzasku własnych przekonań.

Na szczęście – z punktu widzenia zdesperowanego Zajusa – zawiłe reguły kasty wojowników Sadyty i zajmowana pozycja ukazały mu sposób rozwiązania dylematu. Rytualne samobójstwo było najwidoczniej uznanym, a nawet szanowanym czynem wśród szermierzy bogini. Wybierając dumną, męczeńską śmierć i nawet bardziej nobilitującą od królowania uznanie za wybrańca bogini, zmuszając ciało i umysł do poddania się żelaznej woli w akcie skrajnego samozaparcia, świątynny wojownik ocalił swą dumę – ważniejszą dla niego niż życie.

Conan niejasno wyczuwał, iż tak właśnie rozumował Zajus; nic innego nie pozwalało wytłumaczyć jego czynu. Największą goryczą napawało barbarzyńcę fatalistyczne, bierne zachowanie mieszkańców Qjary. Pokochał to miasto – przynajmniej na tyle, by zatrzymać się poza jego murami. W końcu przelał za nie własną krew w walce z koczownikami. Wiele ryzykował dla dobra królewskiego rodu; nawet igrał przelotnie z myślą o zamieszkaniu w Qjarze, gdy spoczywał w objęciach pięknej, młodej księżniczki. To była najboleśniej rana; Conan uznał sposób, w jaki zachowała się Afriandra, za wyjątkowo niesprawiedliwy.

Zajus od wielu lat zwodził lud Qjary – przy wydatnej pomocy królowej-arcykapłanki. Nic dziwnego, iż udało się przedstawić akt jego ostatecznego tchórzostwa jako bohaterstwo; wykorzystanie sytuacji jako godne spełnienie rytuału. Nic dziwnego, iż Qjaranina wnoszono pod niebiosą kosztem cudzoziemca. Conan godził się z tym, gdyż zdołał doskonale poznać wybiórcze widzenie świata cywilizowanych narodów. Afriandra jednak znała prawdziwą naturę Zajusa, a przynajmniej tak twierdziła. Patrzyła krytycznie nawet na zachowanie swojej matki. Księżniczka wpięrowała Conana w pałacowe intrygi, gdy zaś przyszło jej stanąć w obliczu krwawych konsekwencji swych machinacji, przyłączyła się do chóru potępiających Cymmerianina głosów. Conan uważał, iż jest to w najlepszym razie oznaka bezmyślności, a w najgorszym – cynizmu. Jedno słowo, jeden znak z jej strony, nawet potajemny, wystarczyłby mu, by zostać w mieście i bronić swego honoru. Afriandra powinna przynajmniej odprawić go w bardziej godny sposób.

Oczywiście nie było to dla niego nowością. Niezliczone razy musiał przez kobiety ruszać w wyczerpującą, niebezpieczną wędrówkę. Czy zdołał, by się z nimi połączyć lub dokonać dla nich bohaterskiego czynu, czy też uciekał przed ich gniewem i zazdrością, zawsze płacił za to srogą cenę.

Brak wody w wyschniętej oazie sprawił, iż wielbłąd Conana nie miał dosyć sił, by nadawał się do drogi po stromych zboczach Gór Rozpaczy. Cymmerianin wiedział, iż zwierzę musi przedtem wypocząć i wypełnić swe garby w obfitującym w wodę obozowisku.

Barbarzyńca nie zawrócił jednak do Qjary, gdzie był wyjęty spod prawa, lecz

skierował się na zachód. Słyszał od koczowników, iż znajduje się tam oaza, zwana Tal'ib, lub inaczej Grodem Na Pustkowiu. Chociaż poganiacze wielbłądów, z którymi grał w kości w dzielnicy karawan, twierdzili, iż prawie na pewno można tam znaleźć wodę, unikali dłuższej rozmowy na ten temat. Albo istotnie bali się miasta, albo rozpuszczali o nim złe pogłoski, by zniechęcić intruzów do szukania go.

Pierwszy motyw wydawał się bardziej prawdopodobny. Gdyby koczownicy nie chcieli, by o Tal'ib wiedzieli obcy, wystarczyło o nim nie wspominać – chociaż na pustyni trudno tłumić pogłoski o oazach. Z drugiej strony, trudno było wyobrazić sobie niebezpieczeństwo, mogące zniechęcić człowieka poszukującego niezbędnego do przeżycia płynu. Dzikie zwierzęta, wrogie plemiona czy niedostępna okolica nie stanowiły przeszkód dla zahartowanych pustynnych jeźdźców; koczownicy zawieszali waśnie i jednoczyli się, by zapewnić swobodny dostęp do oaz.

Dumni Beduini bali się tylko jednego: sił nadprzyrodzonych. Po namyśle Conan doszedł do wniosku, iż nic innego nie tłumaczyło ich uników przy wypytywaniu o Gród Na Pustkowiu.

Mimo to Cymmerianin skierował wielbłąda na zachód przez wyprażoną dolinę, wiedział bowiem z doświadczenia, iż złe duchy często strzegły skarbów lub magicznych talizmanów. Wiezione przez barbarzyńcę daktyle i figi nadawały się jeszcze do jedzenia. Z bukłaków przy siodle, chociaż już lżejszych, wciąż dobiegało kojące chlupotanie. Pociągająca perspektywa znalezienia w Tal'ib niewyobrażalnych bogactw przeważała nad obawą przed mogącym się tam czaić niebezpieczeństwem.

Późnym popołudniem zerwał się silny wiatr, dmący w stronę górskich zboczy na północy. Conan wypatrzył wcześniej majaczący w oddali wylot wąwozu, lecz wichura wzbijała tumany drobnego piasku i palącego gipsowego pyłu, uniemożliwiając dalszą wędrówkę. Cymmerianin nastawił się już na spędzenie nocy na otwartym terenie, lecz po zachodzie wiatr nagle ustał. Zrobiło się chłodno; nad martwym pustkowiem na czarnym aksamicie nieba rozblęły niezliczone gwiazdy.

Takie noce idealnie nadawały się do wędrówki, lecz za dnia było zbyt gorąco, by wypoczywać, a słońce i tak dałoby się we znaki podczas postoju. Conan ułożył się do snu na piasku, napawając się wieczornym chłodem.

Przed świtem wiatr zerwał się znowu. Gdy Conan wysunął się spomiędzy ciasno zwiniętych kocy, unoszący się w powietrzu pył i ciemności uniemożliwiały zobaczenie czegokolwiek. Tym razem rzeński, lodowaty powiew niósł się znad górskich wąwozów na południe. Wśród zawodzenia wiatru Cymmerianin dosłyszał dziwny odgłos, a może było to tylko odbicie pełnego majaczeń snu? Wydało mu się, iż w oddali rozlega się skrzypienie i szczękanie ciężkich kół, jak gdyby niedaleko wędrowała cała armia.

Chociaż znaczące wylot doliny niskie skalne kopce zdawały się być blisko, dotarcie do nich zabrało Conanowi resztę dnia. Nie było to nic niezwykłego na pustyni, gdzie znienacka pojawiały się miraże odległych miast i rozmigotanych jezior, powodujące zgubę większej liczby wędrowców niż syreni śpiew na morskich mieliznach.

Gdy wielbłąd wspiął się na stok ostatniego wzgórza Krwi Attalosa, przed Conanem roztoczył się widok okolicy jeszcze bardziej odludnej i nieprzystępnej niż ta, którą miał za sobą. Przemierzona dolina stanowiła zapewne dno dawno wyschniętego morza. W świetle zachodzącego słońca wdać było hulającą po niej taką samą burzę piaskową jak poprzedniego wieczora, lecz po drugiej stronie wzgórz, pod zmieniającym z purpurowego na kobaltową barwę niebem, widniała jedynie gładka, martwa równina, oświetlona blaskiem jak gdyby szyderczo wykrzywionego, cienkiego sierpa księżyca.

Płaska, jałowa połać rozciągała się od niemal pionowych podnóży gór na północy po bliznowate nierówności Kłów Zafura. Na równinie rozrzucone były z rzadka skalne bloki, przypominające ciśnięte dłonią giganta odłamki zmiążdżonych posągów. Bliżej, wzdłuż podnóży Gór Rozpaczy, znajdowało się nieregularne skupisko kamieni, wyglądające na pozostałości dawno temu opuszczonego, zrujnowanego miasta. Jeszcze bliżej, u podstawy górskich stoków ciągnął się wąski pas roślinności. Właśnie tu, między stertą tarasujących wylot wąwozu głązów, mogła znajdować się woda.

Przypominając sobie zasłyszane skąpe opisy, Conan doszedł do wniosku, iż jest to oaza Tal'ib, Gród Na Pustkowiu. Skierował wielbłąda w stronę ruin. Jak gdyby

zadowolone z jego wyboru zwierzę ruszyło spieszny kłusem. Mimo to noc zapadła, zanim samotny jeździec zjechał do podnóża górskiego masywu. Na szczęście było tu bezwietrznie. Na spodniej stronie wiszących wysoko na niebie obłoczków kładły się niesamowicie wyglądające odblaski resztek dziennego światła.

Conan popędził wielbłąda prosto ku wylotowi wąwozu. Wkrótce znalazł liczne ślady obfitości wody, jak chociażby wystające spośród stert głazów zielonoczarne liście palm. Niedługo potem dotarł do płynącego po otwartym terenie kamienistego strumyczka. Cymmerianin wyszukał płaskie miejsce u wylotu wąwozu, gdzie nie groziły mu osuwające się ze zboczy skały i było dość trawy dla wielbłąda. Barbarzyńca spętał wierzchowca, nazbierał chrustu i rozpałił ognisko.

Ruiny miasta – tak zniszczonego, iż istotnie trudno było się tam dopatrzeć kamienia leżącego na kamieniu – znajdowały się nieco dalej na równinie, w dolnym biegu strumienia. Conan stwierdził, iż z ich zbadaniem wstrzyma się do ranka. W przeszłości spływający wyrzytym wśród skał korytem strumień zasilał niewątpliwie miasto w wodę. Obecnie w kilku miejscach przegradzały go skalne osuwiska. Na równinie nie było widać oznak życia – choćby śladów, pozostawionych przez pasterzy czy karawany. Tryskającej ze skalnej rozpadliny wody było jednak pod dostatkiem. Conan doszedł do wniosku, iż takie marnotrawstwo tłumaczyła jedynie otaczająca prastare miasto aura przesadnego strachu. Liczył, że rozbijając obóz daleko w górnym biegu potoku uniknie tego, co mogło czaić się w ruinach.

Wrzucone do wrzątku jęczmieńskie kielki i uduszone figi smakowały lepiej – a przynajmniej inaczej – od tej samej strawy na sucho, zwłaszcza gdy obficie popiło się ją przyjemnie chłodną wodą. Zaspokoiwszy apetyt, Conan naciągnął na siebie podwójnie złożone koce dla ochrony przed niosącym się od strony wąwozu zimnym powiewem i ułożył do snu obok ogniska.

Dużo później, gdy ognisko dawno zgasło, a księżyc podążył śladem słońca na zachodzie, śpiącego barbarzyńcę przebudziły ukradkowe odgłosy. Drapanie, szuranie i niezwykle, ochrypły szept na chwilę przebiły się ponad szmer strumienia.

Conan obudził się natychmiast, lecz ani myślał wykonywać jakichś gwałtownych ruchów. Zacisnął dłoń na rękojeści noża przy boku i powoli obrócił szyję, a potem całe ciało, by dojrzeć intruzów.

Po zapachu osądził, iż nieproszonymi gośćmi były owce. Przyjrząwszy się dokładnie, dostrzegł posuwające się w jego stronę niskie, garbate kształty, ledwie majaczące w poświacie gwiazd. Spodziewał się, że dobiegnie go beczenie lub skrobanie małych, rozszczepionych kopyt po kamieniach, lecz panowała zupełna cisza, zaś zagadkowe sylwetki zbliżały się do obozowiska Cymmerianina w ukradkowy, osobliwie celowy sposób.

Obecność intruzów obudziła również śpiącego z podgiętymi nogami wielbłąda. Zwierzę zaczęło dźwigać się z ziemi z gniewnym parsknięciem. Dwie czy trzy skulone istoty ucpiły się wielbłąda w wyjątkowo nie przypominający owczego zachowania sposób. Wyprostowały się, próbując obalić wierzchowca z powrotem na ziemię. Widać było, że zwykle poruszają się na dwóch nogach.

Conan wyturlał się z posłania, zamachnął zza głowy ciężkim nożem i przeciął pętający wielbłąda sznur, by zwierzę mogło wyrwać się prześladowcom. Cymmerianin zerwał się i stanął naprzeciw otaczających go nocnych napastników.

Były to przygarbione, przypominające mały stworzenia, noszące obwiązane w pasie, pozszywane ze skór stroje. Wydawały zawodzące, hałaśliwe dźwięki i roztaczały piżmowy odór, tym trudniejszy do zniesienia, iż mieszał się ze smrodem strachu. Sądząc po ich współdziałaniu i na poły artykułowanym jazgocie, częściowo przynajmniej przypominały ludzi. Wydawało się, że noszą skóry zabitych zwierząt, gdyż same są nieowłosione. Półludzie uzbrojeni byli w kije i kamienie, a niektórzy – w połączenie obydwóch, tworzące prymitywne toporki.

Widoczne pod poszarpanymi kapturami niewyraźne rysy istot sprawiały z grubsza małąpłe wrażenie, lecz w słabym blasku księżyca w ich wysuniętych do przodu szczękach połyskiwały niezliczone zęby. Długie kły sterczały z paszcz pod dziwacznymi kątami, widać je było nawet przez nie zagojone rany na policzkach.

Wielbłąd zdołał wyrwać się napastnikom tylko dzięki oszalałym kopnięciom i ugryzieniom. Utykając pierzchnął w ciemność. Półludzie ruszyli do ataku na Conana. Cymmerianin owinał koc wokół ramienia, by służył mu do obrony jako zaimprovizowana tarcza. Gdy napastnicy dobiegli do niego, zasłonił się owiniętą ręką przed ciosem kija pierwszego z nich, kopnął drugiego z napastników w brzuch, a trzeciemu wbił nóż w bok. Gdy małopłud runął na ziemię, barbarzyńca

pryskoczył do jego towarzysza i pozbawił go przytomności potężnym ciosem w głowę płazem swej broni.

Nie zważając na los trzech pobratymców, pozostali półludzie otoczyli Conana rozwrzeszczaną, wymachującą rękami tłuszcza. Niektórzy z dziką bezmyślnością miotali kamienie, trafiając częściej swoich towarzyszy niż wymykającego się im Cymmerianina. Inni drapali Conana nierównymi paznokciami i starali się chwycić go ciężkimi łapami za włosy. W blasku księżyca migwały koszarne, wyszczerzone paszcze, zięjące ohydny smrodem padliny.

Jeden z półludzi zamierzył się toporkiem w głowę Conana. Cymmerianin dostrzegł w ciemności, iż dzierzająca broń ręka liczy o wiele więcej palców niż normalna dłoń. Cięciem noża przepołowił i ją, i rękojeść trzymanej przez nią broni. Małpolud z wyciem odskoczył w tył, a barbarzyńca zdążył ujrzeć jeszcze, że jego ręka nadal ma więcej niż pięć palców.

Rozpaczliwe ciosy, cięcia i kopniaki sprawiły, że przez chwilę wokół Conana zrobiło się luźniej, lecz dziesiątki pokracznych stworów otaczały go nadal. Samice – czy też kobiety – walczyły równie zażarcie, jak mężczyźni – lub samce.

Cymmerianin uświadomił sobie, że nie zdoła długo się bronić; poza tym nie miał ochoty na rzeź. Zanurkował naprzód, chwycił złożone przy wygasłym ognisku juki i bukłaki i rzucił się biegiem wzdłuż strumienia w kierunku, w którym pogalopował jego wielbłąd. Dwaj półludzie po kolei próbowali mu zagrozić drogę; obydwoh powalił ciosem noża na odlew. Obijające się o nogi torby utrudniały mu bieg, lecz szybko poczuł, że prześladowcy zostają w tyle.

Gdy wreszcie przystanął, nie dosłyszał już za sobą odgłosów pościgu. Od strony ogniska dobiegały gniewne pomruki i przenikliwe jazgotanie, lecz na porośniętym krzakami podnózu stromych zboczy panował spokój; w blasku księżyca nie widać było żadnego ruchu.

Conan doszedł do wniosku, iż przygarbione, zdeformowane stwory i tak miałyby małe szanse go dogonić. Najprawdopodobniej żyły wśród stert skał w górze wąwozu i unikały otwartej pustyni. Mimo to pobrnął dalej strumieniem, licząc, iż zmyli je w przypadku, jeżeli polegały na węchu.

W miarę, jak oddalał się od stromych zboczy, poświata gwiazd stawała się coraz jaśniejsza. Dzięki niej z łatwością odnalazł wielbłąda szczypiącego nad strumieniem bujną trawę. Zdołał chwycić spłoszone zwierzę za kantar i ruszył z nim dalej, by zostawić niebezpieczeństwo daleko za sobą.

Cymmerianin zmuszony był podczas ucieczki porzucić większość zapasów jedzenia, lecz nie uśmiechał się mu widok zabicia jeszcze kilkunastu półludzi, by je odzyskać. Ponieważ stwory zaatakowały w poszukiwaniu pożywienia, być może właśnie znalezienie juków powstrzymało je przed pościgiem. Conan wierzył, iż chociaż przypominały ludzi, były gotowe pożreć i jego, lecz czuł pewność, iż obecnie zadowolą się ucztą w postaci rannych i zabitych pobratymców. Zapewne właśnie to oraz bójki o podział zawartości zdobytych juków sprawiały, iż z głębi wąwozu wciąż dobiegały słabe echa wrzasków i bełkotliwych zawodzeń.

Cymmerianin widział tego rodzaju małpoludy po raz pierwszy w życiu. Jeżeli istotnie ich przodkami byli ludzie, zaiste wielki był ich upadek. Być może wywodziły się one od mieszkańców Tal'ib sprzed wieków lub dzikiej rasy, która zburzyła gród, lecz Conan gotów byłby przysiąc, iż tak prymitywne istoty nigdy nie byłyby w stanie zniszczyć miasta, nie mówiąc już o jego wybudowaniu. Cymmerianin zastanawiał się, co mogło doprowadzić do tak głębokiego upodlenia: zaniku ludzkiej mądrości i godności, przybrania godnego pawianów niezgrabnego chodu, ohydneho zniekształcenia twarzy, rąk i Cromowi jednemu wiadomo, jakich jeszcze części ciała. Czyżby były to złe czary? Moc, za której sprawą zginął Gród Na Pustkowiu?

Niedaleko w przodzie rozpościerały się blado majaczące na tle czarnej kopuły rozgwieżdżonego nieba ruiny. Nie chcąc zbliżyć się do nich zanadto, by przypadkiem nie przebudzić jeszcze jakiegoś nocnego straszysła, Conan zatrzymał wielbłąda na otwartym kawałku terenu przy strumieniu. Cymmerianin naciął ilbarsyjskim nożem gałęzi uschniętych krzewów i wsadził je w ziemię dookoła swego obozowiska tak, by ostrzegły go o zbliżaniu się niepożądanych gości. Rozciągnął się na piasku obok wielbłąda, wsparł głowę na skromnych jukach i zapadł w niespokojny, czujny sen.

Conan ruszył w drogę przed świtem. Spenetrował pobliskie pustkowia, po czym zawrócił w stronę miejsca, gdzie zatrzymał się poprzedniego wieczoru. Czołgając się okrążył z dala obozowisko. Nie zastał ani żywych, ani martwych półludzi, lecz tylko parę skrwawionych, poznaczonych śladami zębów skrawków odzieży i uprzęży.

Światło wschodzącego słońca pozwoliło mu wypatrzyć ślady, świadczące o częstej obecności małpoludów: wydeptane ścieżki, wyschnięte odchody i rozrzucone tu i ówdzie, ogryzione do czysta kości wielbłądów. Cymmerianin stwierdził, iż siedziba stworów znajdowała się niemal na pewno pośród zwałów skał w górnej części wąwozu. Szczeliny między spiętrzonymi w sterty olbrzymimi głazami stanowiły doskonałą kryjówkę, choć dawały mizerne schronienie. Nie sposób było orzec, czy półludzie obserwują go z zarośniętych chwastami zakamarków, lecz sama myśl, że może tak być, sprawiła, iż Conan zrezygnował z zapuszczania się w głąb wąwozu.

Barbarzyńca wrócił do strumienia, napełnił bukłaki i zarzucił na grzbiet wielbłąda sakwy z uszczuplonymi już, lecz wystarczającymi zapasami. Poranne burze piaskowe skrywały wschodnią część doliny. Wznoszące się słońce rzucało przypominające płomień miedziano-różowy blask na jałową równinę i otaczające ją strome zbocza. Conan ruszył przez upiornie wyglądającą okolicę w stronę zrujnowanego miasta, chcąc dotrzeć do niego przed nastaniem żaru dnia.

Ze szczytów porośniętych rachityczną roślinnością pagórków ruiny prezentowały się inaczej niż inne zburzone grody widziane przez Cymmerianina. Na obrzeżach najczęściej lokowały się rzadko rozrzucone kopce gruzu, bliżej środka wznosiły się bardziej masywne i lepiej zachowane ruiny, zaś w centrum znajdowały fortece lub naturalne wyniosłości. Tal'ib wyglądało zupełnie inaczej. Pradawne mury miejskie zachowały się jako niski wał kamieni, obejmujący z dwóch stron szlak wiodący przez pustkowia. Znaczniejszych rozmiarów sterty gruzu zalegały wyłącznie wewnątrz nich. W środku miasta zamiast grubych murów pałaców, świątyni czy spichlerzy znajdowała się płaska połać tak gładka, iż sprawiała wrażenie przykrytej taflą lodu.

Conan przypomniał sobie, że w środku Qjary znajdował się wielki brukowany plac, a drugi, równie duży, stanowił miejsce postoju karawan. Być może mieszkańcy zburzonego miasta również skłonni byli odgradzać otwarte tereny, by mieszkać na nich w namiotach na modłę koczowników lub trzymać bydło w zagrodach pod gołym niebem. Było to możliwe w przypadku ludu tak dawno strąconego w otchłań zapomnienia, jak budowniczy Grodu na Pustkowiach – lecz mało prawdopodobne.

Sam fakt założenia miasta właśnie w tym miejscu sugerował, iż stanowiło ono ośrodek bogatego rolniczego regionu. Znajdowało się na skraju płaskiej, obszernej doliny, nawadnianej przez przepływający jej obrzeżami górski strumień. Bez wątplenia woda z rzeki była niegdyś odprowadzana licznymi podziemnymi kanałami do położonych poza murami sadów, na pastwiska i pola uprawne. Obecnie z oddali Conan dostrzegł jedynie parę na poły zasypanych rowów nawadniających, stanowiących pamiątkę po pradawnych uprawach. Skalne osuwisko sprawiło, iż strumień zmienił bieg i płynął teraz płytkim kamienistym rozlewiskiem z boku ruin, zaś dalej rozdzielał się na kilka odnóg, ginących w spieczonej, łapczywej pustyni.

Conan zmusił wielbłąda do żywszego kroku. Cały czas rozglądał się w obawie przed półludźmi lub jeszcze potworniejszymi istotami, mogącymi mieszkać wśród gruzów. Lecz porośnięta sztywną, rzadką trawą i sięgającymi kostek chwastami równina była całkowicie opustoszała. Zachowane resztki schodów i kopce gruzu były zbyt niskie, by ktoś mógł się za nimi ukryć.

Cymmerianin żywił niejasną nadzieję, iż w pierścieniu murów znajdzie łuk wjazdowy lub pozostałości bramy, pozwalające zorientować się, jak naprawdę nazywało się kiedyś zburzone miasto. Odkrycie płaskorzeźb lub fresków być może pozwoliłoby mu poznać historię miasta – choćby dowiedzieć się, czy zamieszkiwali je przedstawiciele rasy ludzkiej.

Nadzieja Conana okazała się płonna. Szczątki murów w najwyższym miejscu sięgały do wysokości głowy siedzącego na grzbiecie wielbłąda jeźdźca. Nie wiedzieć czemu, wokół całego obwodu miejskich szanców gruz osypał się tylko na zewnątrz. Niskie, ciągnące się przez wiele kroków sterty głazów pokrywał naniesiony przez stulecia piasek i kurz. Cymmerianin nie znalazł nigdzie odkrytego fragmentu, pozwalającego na przyjrzenie się detalom kamieniarskiej roboty, jednak sama masywność murów świadczyła o doświadczeniu budowniczych.

Conan domyślał się, jak prawdopodobnie nazywało się zburzone miasto. Koczownicy dali mu miano Tal'ib. Wiedział, iż we wschodnim Szemie słowo tal lub tel oznaczało kurhan lub ruinę. Tal'ib należało więc tłumaczyć jako ruiny Ib – czy miasta o podobnej nazwie. Po namyśle przypomniał sobie, iż w zasłyszanych przy ogniskach opowieściach przewijały się niejasne wzmianki o pradawnym mieście Ib – czy raczej Yb; pierwotna nazwa została zniekształcona przez językową południową wymowę. Według legend, był to przeklęty gród, zniszczony dłońią rozgniewanego boga za grzeszne, pogańskie występki. Jeżeli jakieś ruiny odpowiadały opisom Yb, to właśnie te rozpościerające się przed nim.

Conan wypatrzył zwał kamieni, sięgający szczytu resztek murów. Zsiadł z wielbłąda i poprowadził go za sobą.

Z zaskoczeniem stwierdził, iż wewnętrzna strona murów znajduje się w nieco lepszym stanie. Odsłonięte, pionowe resztki sięgały wysokości człowieka. Znajdowały się tu także nienaruszone dekoracje, w niczym jednak nie przypominające płaskorzeźb czy fresków, których się spodziewał.

Na murach zachowały się mianowicie wyryte sylwetki ludzi, przedstawionych we wdzięczny, naturalny sposób. Figury te tak ludzaco przypominały cienie żywych osób, iż Cymmerianin poczuł dreszcz zaskoczenia. Były to niewątpliwie postacie zwykłych mieszkańców Yb, tańczących lub odprawiających ceremonialne obrzędy. Na zachowanym fragmencie muru widać było sylwetkę młodej kobiety w luźnym chitonie, ze wzniesionymi w geście czci lub zabawy ramionami. Obok w jej stronę pochyłał się mężczyzna w długiej szacie, jak gdyby chciał ją objąć w tańcu. U stóp kobiety stał na dwóch łapach mały pies. Kilka kroków dalej widać było postać siedzącego na ziemi dziecka, podpierającego dłońmi brodę, jak gdyby na chwilę oderwało się od zabawy.

Mimo upływu wieków wyryte na pobrużdżonych, kwadratowych kamieniach sylwetki wyglądały zdumiewająco naturalnie. Najwidoczniej były dziełem wyjątkowo zręcznego artysty. Co dziwne, rzemieślnik zadowolili się wyłącznie przedstawieniem konturów postaci, nie fatygując się dodaniem szczegółów kostiumów, rysów czy nawet dopracowaniem kształtów kończyn tam, gdzie zachodziły na siebie. Conan pomyślał, iż zapewne sylwetki żywych modeli odrysowano na murze kredą, a następnie uwieczniono przy pomocy pobijaka i dłuta. Szybko jednak stwierdził, że to nieprawda: nikt nie zdołałby uchwycić w ten sposób postaci płynnie przechylającego się mężczyzny czy proszącego na dwóch łapach psa.

Najprawdopodobniej było to dzieło mistrza, który odtwarzał zarysy osób z pamięci, a następnie perfekcyjnie wykuwał w kamieniu wyrysowane szkice. Detale w rodzaju rysów twarzy zapewne wymalowano lub wyryto wewnątrz rzeźbionych konturów na tynku, który nie ostał się próbie czasu.

Kolejną osobliwością był fakt, iż postacie nie były wklęsłe, lecz wypukłe; rzeźbiarz pozostawił ich gładkie kształty, lecz skuł resztę powierzchni, stanowiącą tło. Conan nie mógł się temu nadziwić, gdyż oznaczało to o wiele więcej pracy; między wyrytymi sylwetkami znajdowały się duże, zmarnowane przestrzenie. We wszystkich widzianych wcześniej przez Cymmerianina płaskorzeźbach wypełniono je je słońcami, księżycami, wizerunkami smoków i napisami, by oszczędzić mięśni oraz dłut rzemieślników oraz by rezultat prezentował się okazalej.

Conan nie widział wcześniej podobnej techniki rzeźbiarskiej. Podobnie jak każde wielkie dzieło sztuki, sylwetki na murach Yb niepokojąco traciły magią. Cymmerianin odwrócił się i, pociągając wielbłąda za sobą, ruszył wzdłuż muru. Wbrew sobie barbarzyńca nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, iż postacie na ścianach to uwięzione magicznymi zaklęciami duchy śmiertelników, cienie żywych ludzi, wypalone po wsze czasy w martwym kamieniu.

Wędrując dalej, łatwo było uwierzyć w nadnaturalną klątwę. Zdawało się, iż miasto zostało wypalone do cna. Wewnątrz nierównych murów nie było roślinności. Najwyższe zwały gruzów sięgały nieco ponad kolana, jak gdyby jakaś tytaniczna siła spopieliała budynki lub zdmuchnęła je z powierzchni ziemi. Zagładzie miasta musiała towarzyszyć potworna pożoga: szczątki fundamentów w pobliżu środka miasta były stopione. Z ocalałych kamieni zwisały zastygłe jezory ciemno – popielatego żużlu. Pokrywały je kruche, zeszlone pęcherzyki, przypominające szlakę z garncarskiego pieca. Powierzchnia zachowanych progów i narożników łuszczyła się przy najsłabszym trąceniu stopą.

Blżej środka miasta zniknęły nawet te nędzne resztki. Rozpościerało się tu twarde, kamienne zagłębienie, zlewające się z monotonnym pustynnym krajobrazem. Jedynie blisko miejsca, zdającego się środkiem zniszczeń, z powierzchni gładkiej

niecki wystawał samotny, nierówny monolit. Conan ruszył w jego stronę wraz z wielbłądem po nieco śliskim, czarnym kamieniu. Przed nim kładły się drugie, upiornie wyglądające w różowawym świetle cienie. Pochylona na zachód kolumna przypominała wskazówkę słonecznego zegara. Dotarłszy do jej podnóża, Conan zauważył, że stoi ona na płytach łupku. Stwierdził, iż musiano wyciosać ją w kamieniołomach i przetransportować do Yb już po zburzeniu miasta, bowiem nie zdołałaby oprzeć się potwornej sile, która zrównała z ziemią wszystkie budynki.

Na obelisku znajdował się symbol bez żadnego napisu – wizerunek drzewa lub czegoś, co je przypominało, o grubym, prostym pniu i pokręconych odnogach. Powyginane gałęzie pozbawione były listowia, lecz wisiało na nich kilka okrągłych, bulwiastych owoców. Pobrużdżone, węzlaste kształty mogły równie dobrze przedstawiać ludzkie twarze lub zwierzęce paszcze. Głęboko wyryty obraz został zamalowany na biało, by odróżniał się od czerni obelisku.

Conan zastanawiał się, czy monolit może być dziełem na poły małych łap o zbyt dużej liczbie palców. Wydawało się to raczej niemożliwe ze względu na precyzję wykonania obelisku, nie mówiąc już o wysiłku związanym z jego wycięciem, przewiezieniem i wzniesieniem.

Wyryte w kamieniu drzewo stanowiło zapewne religijny symbol – być może wyznawanego w Yb bóstwa. Ta myśl wprawiła Conana w niepokój. Odwrócił się spiesznie od obelisku, zmusił wielbłąda do ukłęknięcia, wspiał się na jego grzbiet i ruszył na zachód w poszukiwaniu wolnej od śniegów przełęczy w Górach Rozpaczy.

Ruiny Yb – o ile były nimi w istocie – znajdowały się już daleko za Conanem. Zagadka zagłady miasta zbladła w jego umyśle, gdy słońce poczęło palić kark Cymmerianina, przed nim zaś roztoczyły się tajemnicze, ciemne zbocza gór. Stwierdził, że pierwszy wąwóz jest zbyt wąski, by sięgać na drugą stronę szczytów. Drugi, widoczny w przodzie, zapowiadał się bardziej obiecująco. Już niebawem powinien ujrzeć go w całej okazałości...

Nim jednak barbarzyńca zdołał znaleźć szlak odpowiedni dla niego i jego niezdarnego wierzchowca, natknął się na nową przeszkodę.

Daleko w głębi pustyni majaczył pojawiający się i znikający za sprawą rozpalonego powietrza orszak ludzi. Skupiali się wokół posuwającego się wolno pojazdu, lecz zdawało się jednak, że wędrują pieszo. Conan w pierwszej chwili miał nadzieję, iż jest to zmierzająca na północ karawana, ale wkrótce okazało się, że procesja wędruje przez dolinę na wschód, w przeciwnym niż on kierunku. Powolne tempo marszu i rozmiary ich zagadkowego ładunku czyniły wątpliwym pokonanie przez nich gór na północy.

Kimkolwiek byli wędrowcy, nie wyglądali niebezpiecznie. Cymmerianin podjechał do nich nie kryjąc się, z instynktowną, mimowolną radością samotnego podróżnika, trafiającego przypadkiem wśród pustyni na inne istoty ludzkie. Powiedział sobie, iż w najgorszym razie wykorzysta skromną resztkę pieniędzy do uzupełnienia zapasów żywności i ekwipunku, lecz gdy znalazł się bliżej orszaku, okazało się, iż jego członkowie znajdują się w jeszcze bardziej żałosnym niż on stanie.

Wędrowcy byli zagłodzeni i przygarbieni. Tam, gdzie poszarpane, brudne łachmany nie zdołały zapewnić ich ciałom odpowiedniej ochrony przed palącym słońcem, widniały czerwone i szerniałe od zakrzepłej krwi wrzody. Niektórzy brnęli przez wyprażoną gipsową równinę boso. Na odkrytych, okrutnie poparzonych głowach innych ostało się zaledwie po parę pasm przerzedzonych włosów. Większość nieszczęśników – co najmniej czterdziestu – harowało przy linach i belkach, ciągnąc ciężki, sześciokołowy wóz.

Koła wozu wykonano z grubych okrągłaków. Do wozu przywiązano wielki, niezgrabny, okryty płótnami ładunek. Obok wozu maszerowało coś ze dwunastu żołnierzy. Ich los nie był o wiele lepszy; dźwigali ciężkie worki z zapasami jedzenia i suche, sztywne bukłaki. W orszaku nie było ani jednego pociagowego czy jucznego zwierzęcia. Wielbłądy nie nadawały się zresztą do zaprzęgu, a konie nie przeżyłyby drogi przez pustynię. Do przetransportowania przez pustkowie wielkiego wozu i jego ładunku konieczna była siła ludzkich mięśni.

Gdy Conan podjechał bliżej, dobiegły go żałosne okrzyki umęczonych ludzi. Mimo wyschniętych gardeł, spieczonych języków i popękanych ust wołali: „Wody, miłościwy panie!”, „W imię Wszechmocnego, łyk wody, dostojny panie, albo chociaż skórkę owocu!”, „Umieramy z pragnienia, ginimy!”, „Błagamy, okaż zmiłowanie!” Cymmerianin zatrzymał wielbłąda kilka kroków przed czołem orszaku. Pielgrzymi przestali ciągnąć skrzypiący wóz i padając na kolana, wznosili ku niemu ręce w

pokornym błaganii.

Stało się to, czego obawiał się Conan. Miał wszakże dzięki łasce Croma wystarczająco dużo wody, by ulżyć przynajmniej na jakiś czas pragnieniu wszystkich nieszczęśników. Zostawił sobie tylko jeden w połowie pustą bukłak, a resztę opuścił na piasek obok wielbłąda.

Na spotkanie Cymmerianina wyszedł wysoki, chudy mężczyzna o czarnej skórze. Wędrowiec nie korzył się przed Conanem, lecz podszedł do niego z dumą godną przywódcy. Barbarzyńca doszedł do wniosku, że jest to kapłan. Dwaj zbrojni strażnicy zajęli miejsca po jego bokach tak szybko, na ile pozwalało im wyraźne zmęczenie.

– Witajcie, wędrowcy! – zawołał Conan. – Dzielcie się moją wodą, skoro jej tak srodze potrzebujecie! – Nie doczekał się jakichkolwiek podziękowań, mimo to dodał: – Dzień marszu stąd jest dużo wody. Przy odrobinie szczęścia zdołacie tam wszyscy dotrzeć.

Kapłan przeniósł wzrok z bukłaków z życiodajnym płynem na Cymmerianina.

– Przyda się nam woda – powiedział narzeczem pustynnych kupców z południowym akcentem, osobiwie pozbawionym wyrazu głosem. – Mówisz, że po drodze do Qjary są źródła?

Ton pytania rozbudził czujność Conana. Mężczyzna nie wiedział, jak daleko jest do Qjary ani ile oaz znajduje się po drodze. Co więcej, wyraźnie go to nie obchodziło. Musiał to być kapłan, bo tylko członek tego stanu potrafił powierzyć życie swoje i nieszczęsnych wiernych w ręce kapryśnych bogów. Bose stopy, odkryta głowa oraz strój równie obdarty i skąpy jak u pozostałych świadczyły o fanatyzmie jego wiary. Był to pierwszy widziany przez Conana czarny z łuszczącą się od słońca skórą. Jedyną oznaką kapłańskiej godności była stara, skorodowana rękojeść miecza, zawieszona na rzemieniu pod szyją. Doszczętnie przerdzewiałe, utracone tuż za jelcem ostrze czyniło broń bezużyteczną, dlatego też Cymmerianin był pewny, że jest to relikwia.

Kapłan z godnym podziwu spokojem ducha wstrzymał się od sięgnięcia po wodę. Skinął głową strażnikom, którzy zanieśli bukłaki cierpiącej trzódce wiernych.

– Nie, cudzoziemcze, po drodze do Qjary jest za mało źródeł. Rzeka Bociania wyschła doszczętnie; jej koryto pełne jest kości głupców, którzy na nią liczyli. W wymarłym mieście blisko stąd... – skinieniem głowy wskazał na wschód – ...jest pod dostatkiem wody, lecz grasują w niej pożerające wędrowców małpoludy. Muszę tam zawrócić, by uzupełnić moje zapasy. Powinniście też się tam skierować, odpocząć, napić się do syta. Potem będziecie mogli ruszyć w swoją stronę.

– Ruszamy prosto do Qjary.

Przy tych słowach czarnoskóry kapłan nawet nie mrugnął. Conan wzruszył ze zniecierpliwieniem ramionami.

– Bardzo dobrze – jeżeli sądzisz, że twoi ludzie wytrzymają trudy podróży. Przede wszystkim odpocznijcie. Wędrujcie wieczorem i wczesnym rankiem, a w największy skwar rozpinajcie płótna na kołkach. Oczywiście, musicie zostawić ten... cokolwiek to jest. – Machnął dłonią, wskazując olbrzymi, przykryty materiałem kształt. – Najlepiej zróbcie to już tutaj.

– To święty posąg; zabierzemy go ze sobą – oświadczył matowym głosem kapłan. – Zdaje się, że znasz pustynię i drogę na wschód. Jak się nazywasz, cudzoziemcze?

– Conan Cymmerianin. A ty?

– Jestem Khumanos, arcykapłan świątyni Wotanty w Sarku, mieście leżącym na południe stąd. Okazuje się, że potrzebuję przewodnika. Znasz Qjarę?

– Owszem, właśnie stamtąd jadę. – Conan wyprostował się czujnie na grzbiecie wielbłąda. – Znam miasto i wiem co nieco o twojej misji, lecz teraz jadę do Szadizaru. – Potrząsnął głową z głębokim powątpiewaniem. – Chociaż zdajesz się nie grzeszyć dostatkami, byłbyś chyba skłonny godnie odwdziaczyć się za prowadzenie w długiej, wyczerpującej, lecz znanej mi drodze?

– Dlaczego opuściłeś Qjarę, Conanie z Cymmerii?

– Powiedziałem ci, jadę na północ. – Nie dopuszczając do zadania oczywistego pytania, dlaczego wobec tego zapaścił się tak daleko na zachód, kontynuował: – Nie zdołałem doczekać się na karawanę, bo wynikło pewne zamieszanie z powodu kapłanki tamtejszej świątyni. Daję słowo, skończona bzdura! Znalazł się jednak haczyk w prawie pozwalający na wypędzenie mnie. I tak duma nie pozwalała mi tam pozostać...

– Wystarczy. Astrak! – Nie odrywając spojrzenia od Cymmerianina, Khumanos przywołał prztyknięciem palcami jednego ze strażników – krzepkiego mężczyznę w

hełmie z przewieszonymi przez ramiona płóciennymi torbami. Żołnierz oderwał się od stłoczonej wokół bukłaków ciżby i podbiegł do kapłana.

– Klejnoty – rzekł Khumanos.

Żołnierz wydostał z jednej z toreb drewnianą szkatułkę, odciągnął rygiel i otworzył ją. W wybitym srebrną blachą wnętrzu zabłysł kopczyk zielonych, niezbyt foremnych drogocennych kamieni.

– Mm – Conan nie chciał sprawiać wrażenia nadmiernie zainteresowanego klejnotami. – Nigdy wcześniej nie widziałem takich kamieni. Pewnie chcesz powiedzieć, że są dużo warte?

– Otrzymasz tyle klejnotów, ile zdołasz nabrać w dłoń, gdy tylko dotrzemy z posągiem do Qjary – przerwał mu Khumanos.

Skinienie jego głowy wystarczyło, by żołnierz zatrzasnął szkatułkę i wrzucił ją do sakwy.

– No dobrze, jeśli mnie wynajmiesz, pachołkowie Jedynej Prawdziwej Bogini nie będą mogli wyrzucić mnie z miasta – zastanowił się na głos Cymmerianin.

– Będiesz członkiem misji króla Anaksymandra na usługach świątyni Wotanty – stwierdził kapłan, mierząc Conana baczным spojrzeniem. – Twoje bezpieczeństwo gwarantuje pakt, zawarty przez władców Sarku i Qjary.

– Rozumiem.

Czujący się pewnie na grzbiecie wielbłąda Conan nie spieszył się z przyjęciem propozycji. Nie uważał za pociągającą propozycji pomocy jeszcze jednemu aroganckiemu kapłanowi i jego orszakowi obszarpańców przetransportowania świętego posagu przez piekielne pustkowia w zamian za obietnicę zapłaty w klejnotach nieznanej wartości. Z drugiej strony nie uśmiechała mu się perspektywa samotnej drogi przez odludne góry bez wystarczającej ilości prowiantu, ze zniszczoną odzieżą i nadwreżonymi zapasami. Był pewny, iż tę zbieraninę niewolników czekałby znośniejszy los przy jego pomocy niż pod bezwzględny komendami Khumanosa. Z ich punktu widzenia przyłączenie się Conana byłoby aktem miłosierdzia. Cymmerianin doszedł do wniosku, iż u kresu podróży powinien być w stanie odpowiednio się zaopatrzyć, znaleźć porządną karawanę i wjechać z klasą do Szadizaru.

Zdawał sobie sprawę, iż na jego decyzję wpłynęła również osobliwa tęsknota za Qjarą. Coś mu mówiło, iż nie może z czystym sumieniem na zawsze pożegnać się z dumnym miastem.

– Bardzo dobrze. Jedziemy na wschód – odrzekł w końcu Khumanosowi.

13.

KAMIENNY OKRĘT

Chociaż otępiali od długotrwałego wysiłku nieszczęśnicy harowali z uporem i cierpliwe jak bezmyślne zwierzęta, orszak ze świętym posągiem posuwał się bardzo powoli. Cymmeria – nin nie orientował się, czy są to niewolnicy, czy pielgrzymi. Nie był pewny, czy chciałby się tego dowiedzieć. Wielu z nich zginęło w trakcie wędrówki. Ich miejsca przy ciągniętym wozie zajmowali sarkańscy żołnierze. Tak oto dokonywała się zamiana panów w sługi: ci, którzy wpierw zmuszali do wysiłku innych, obecnie sami zalewali się potem przy katorżniczej pracy.

Żołnierze, niewątpliwie najbardziej zahartowani członkowie orszaku, narzucali trudne do wytrzymania tempo. Conan spodziewał się, że pielgrzymi będą pchać wóz, śpiewając hymny lub religijne pieśni, lecz wyczerpani ludzie szli w ciszy. Milczeli nawet podczas odpoczynku, jak gdyby ból i zmęczenie uśmierciły ich dusze.

Wszystkich członków orszaku – nawet strażników w lekkich zbrojach dźwigających jedynie zapasy – pokrywały odrażające pęcherze i wrzody. Conan zaczynał wątpić, czy tylko słońce było przyczyną tych ran. Nigdy nie widział tak rozległych zeszpeczeń; jego samego nie dotykały one nawet wówczas, gdy przychodziło mu znosić największy skwar. Cymmerianin dochodził do wniosku, iż wysypki, pęcherze i inne nękające pielgrzymów plagi – jak chociażby powszechne wypadanie zębów i włosów – biorą się z innej przyczyny. Mogły być spowodowane wycieńczeniem, zakażoną wodą w którejś z południowych oaz lub skażoną ziemią w okolicach, przez które przewieziono posąg. W najgorszym razie były wynikiem złowrogich czarów, być może związanych z surowym bóstwem Wotanta lub jego niebiańskimi wrogami.

Wędrówka okazała się bardziej wyczerpująca, niż można było przypuszczać. Pierwszego dnia orszak nie zdołał dotrzeć nawet do Tal'ib. Procesja zatrzymała

się pod gołym niebem na wypalanej słońcem pustyni. Pielgrzymi poukładali się na piasku pod kołami gigantycznego wozu, ledwie się poruszając. By ulżyć ich cierpieniom, Conan podjechał naprzód na wielbłądzie i napełnił bukłaki w strumieniu, zapewniając w ten sposób zapas wody na następny dzień.

Gdy orszak dotarł wreszcie do Grodu Na Pustkowiu, obozowisko rozbili w dolnym biegu strumienia, blisko miejsca, w którym przepływał przez resztki miejskich murów. Conan zdołał przekonać Khumanosa do wystawienia wart, chociaż skończyło się to tym, iż przez większość nocy Cymmerianin czuwał sam. Raz czy dwa wydało się mu, że słyszy dziwne odgłosy lub widzi poruszenia w zaroślach, liczył jednak, iż półludzie nie dowiedzieli się o obozie, a przynajmniej nie odważą się zaatakować go z dala od swoich siedzib.

Cymmerianina głęboko poruszała niesamowitość scenerii. Przypominający tonący koral kruchy księżyc nad zachodnim widnokregiem, rzucał srebrzystą poświatę na monotonne, podobne do zamarłego morza pustkowie. Z jednej strony piętrzyły się bezkształtne, olbrzymie bryły gór, z drugiej majaczyły ostre jak zęby piły turnie. Rozrzuceni po całym obozie nieruchomi ludzie mogli równie dobrze spać, jak nie żyć. Górujący nad nimi w niesamowitym półmroku okryty całunem posąg przypominał pokurczone, niedbale znumifikowane szczątki giganta na pogrzebowej lawecie. W słabym świetle gwiazd i księżyca statua zdawała się promieniować zielonkawym światłem, jak rozkładający się pod całunem trup. Po przeciwnej stronie toczącego niemrawo swe wody strumienia i zrujnowanego muru znajdowała się płytka niecka, gdzie stało niegdyś dumne Yb – gładki, szklisty tygiel, w którym dokonała się ognista zagłada miasta.

Conan dosłyszał szelest – tym razem wyraźnie tuż obok. Cymmerianin błyskawicznie odwrócił się, wystawiając przed siebie broń – i o mało co nie przebił Khumanosa. Wysoka postać milczącego kapłana majaczyła tuż przed nim na tle głębokiej ciemności. Zmęłszy w ustach przekleństwo, Conan schował broń za pas i z powrotem usiadł w kucki.

– Na Croma, kapłanie, zachciało ci się sprawdzić moją czujność? Omal nie wypróbowałeś również ostrości tego noża! Czy ty w ogóle nie sypiasz?

Khumanos przysiadł naprzeciw Cymmerianina.

– Nie brak ci czujności i szybkości ruchów.

– Oczywiście! Jakże inaczej, skoro dwie noce temu niedaleko od miejsca, w którym siedzimy, napadła na mnie banda wściekłych ludożerców? – Po chwili Conan wzruszył ramionami, starając się rozluźnić. – Sądzę jednak, że nie grozi nam napaść tych bestii. Powinieneś razem ze swoimi wiernymi zatrzymać się tutaj dzień lub dwa, by wypocząć, zmyć brud i odzyskać siły.

– Ruszamy jutro o świcie – oznajmił Khumanos tonem świadczącym, iż jest to rzecz nie podlegająca dyskusji.

– To zbędne okrucieństwo, kapłanie – sprzeciwił się Conan. – Jeżeli pozwolisz ludziom wypocząć, będą szybciej maszerować i będą mieli większą szansę utrzymania się przy życiu do końca podróży.

– Z pomocą wielkiego Wotanty wytrzymamy – odparł tak samo pewnym siebie tonem Khumanos. – Na południe stąd zgubiliśmy się podczas burzy piaskowej i znacznie zboczyliśmy z drogi. Później napadli na nas koczownicy. Zabili wielu, nim zdołaliśmy ich odpędzić. Część nadzorców musiała zająć miejsca zmarłych i zabitych. Mimo to zdołaliśmy dotrzeć aż tutaj.

– Piekielna wędrówka – zauważył Conan. – Wygląda na to, że wasz wszechmocny bóg sprawdza, jak wiele możecie znieść.

Khumanos przytaknął z powagą.

– Niektórzy nie wytrzymują trudów wędrówki. Są dla nich zbyt wielkie. – Uniósł z piersi zardzewiały ułomek sztyletu, przyjrzał mu się w blasku księżyca, po czym zdjął go z szyi i wyciągnął przed siebie, jak gdyby była to czarodziejska różdżka. – Wolą umrzeć od środka, nie czuć już nic, niż godzić się z umartwieniem ciała i kresem nadziei – u siebie i u innych. – Uniósł pytająco wzrok na barbarzyńcę.

– Nigdy nie szukałbym śmierci. Nie rozumiem ludzi, którzy nie chcą żyć – odparł Conan i w tym momencie przypomniał sobie o losie Zajusa. Zaciśnął usta i zmrużył oczy. – Dla mnie, póki mam krew w żyłach i dech w piersi, zawsze jest nadzieja – westchnął, ogarnięty chwilową melancholią. – Co to za zardzewiała relikwia, kapłanie? – zapytał. – Bawisz się resztką ostrza, którym zabito dziadka twojego boga?

– To? To Miecz Onotymantosa – odparł Khumanos, podnosząc amulet w górę. – Ten potężny talizman odziedziczyłem po pewnym świętym starcu. Całkowicie odmienił

moje życie.

– Nie wątpię, że to symbol waszej wiary. Uważam jednak, że wasza wyprawa, na pewno podjęta dla większej chwały waszego boga... – Conan urwał, mierzając kapłana baczny spojrzeniem – ... jest głupotą. Powoduje zbędne cierpienia ufających ci prostaczków. Nawet nie staraj się nawrócić mnie na swoją wiarę. Nie przyłożyłbym ręki do podobnych bzdur...

– ...Gdyby nie obiecana zapłata – dokończył za niego Khumanos.

– Nie. Nie zgodziłbym się, gdybym nie miał osobistych powodów przyłączyć się do was – poprawił go Conan.

– Twoja silna, niezależna dusza sprawia, że nie poddajesz się perswazjom i rozkazom. – Kapłan nadal ważył w dłoni złamany miecz – relikwię.

– Owszem. Dlatego właśnie znalazłeś mnie samego w środku tego piekielnego pustkowia.

– Istotnie. – Khumanos pokiwał głową z zadumą. – Uparty, niezależny duch czyni z ciebie twardego wojownika, potrafiącego dać sobie radę na pustyni.

– Właśnie dlatego jestem ci przydatny. – Cymmerianin spojrzał na Khumanosa z zaciekawieniem i maskowaną groźbą. – Wolałbyś mieć do czynienia z tchórzliwym, płaczkliwym mięczakiem? Do czego zmierzasz?

– Nieważne. Widocznie taka była wola Wotanty.

Arcykapłan zawiesił z powrotem amulet na szyi i wsunął go pod burnus. Wstał i ruszył w stronę swego legowiska.

– No cóż... w takim razie dobranoc! – rzucił Conan do oddalającego się Khumanosa, zastanawiając się, o co mu chodziło.

Nad ranem zdarzyła się jeszcze jedna dziwna rzecz. Conan dostrzegł sylwetkę człowieka, wędrującego po drugiej stronie strumienia wśród zrównanych z ziemią ruin miasta. Wysokim, chudym mężczyzną w kontrastującej z kredowobiałym pustkowiem ciemnej szacie był bez wątpienia Khumanos. Gdy Cymmerianin podszedł do wystrzępionych koców, stwierdził bez zdziwienia, że posłanie kapłana było puste.

Dlaczego przywódca karawany wypuścił się samotnie tak daleko mimo grożącego niebezpieczeństwa? Conan ruszył za Khumanosem, lecz po chwili zatrzymał się. Nabrał powietrza w piersi, by go zawołać, lecz z tego również zrezygnował.

Kapłan wędrował rażnym, miarowym krokiem w stronę obelisku w środku gładkiej niecki. Dochodząc do kolumny, zwolnił kroku. Okrzyknął ją powoli i zatrzymał się od tej strony, gdzie było wyryte drzewo z przypominającymi głowy owocami. Zapewne widać je było wyraźnie w odbijającym się od twardego, szklistego gruntu blasku księżyca. Kapłan pochylił się, jak gdyby chciał przyjrzeć się symbolowi. Po chwili – Conan byłby gotów na to przysiąc – Khumanos klęknął przed obeliskiem i skłonił się do ziemi w pozie kornej czci.

Widok ten sprawił, iż Cymmerianinowi przeszedł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Zachowanie kapłana wydawało się złowróżbne, lecz co w istocie oznaczało? Czyżby obelisk był jakimś świętym symbolem pielgrzymów? Być może zdołałby dowiedzieć się od Khumanosa czegoś więcej o losie pradawnego miasta. Przysiągł sobie, że przy pierwszej okazji – lecz jeszcze nie tej nocy – spróbuje wycisnąć więcej informacji z kapłana.

O świcie następnego dnia zgodnie z zapowiedzią Khumanosa orszak ruszył w dalszą drogę, naprzeciw niskim, jak gdyby pokrytym zakrzepłą krwią wzgórzom, oddzielającym jałową dolinę od dna wyschniętego morza. Pielgrzymi pokonywali wyniosłości podczas największego skwaru dnia. Gdy słońce prażyło najsilniej, Conan zsiadł z wielbłąda i niechętnie przyłożył się do żmudnego pchania wozu pod górę i powstrzymywania trój osiowej platformy przed zbyt szybkim zjeżdżaniem po stromych zboczach.

Posąg był cięższy i bardziej niezgrabny, niż się spodziewał. Spowity zakurzonym całunem ładunek zdawał się odbijać cały padający nań słoneczny żar. Na dodatek wóz ledwie dawał się kierować. Mimo to zjazd na pustynną równinę odbył się dość pomyślnie: zginął tylko jeden człowiek, zmiażdżony skrzypiącymi kołami. Po osiągnięciu twardej, gipsowej płaszczyzny droga stała się łatwiejsza. Posuwano się w linii prostej, bowiem nie było potrzebne – ani możliwe – skręcenie do źródła wody. Kierowano się w stronę szczyby między cynobrowym i czarnym łańcuchem gór.

Wędrowano aż do zachodu słońca, gdy zerwał się wiatr, podnosząc oślepiający gipsowy pył. Pielgrzymi wczołgali się pod wóz, by zjeść skapy, suchy posiłek,

popijając go szczupłymi racjami wody. Jeszcze bardziej małowówny niż zwykle Conan krył się przed wiatrem za leżącym wielbłądem. Ukrywszy twarz przed ruchoma kurtyną żądających ziarenek piasku, zapadł w niespokojną drzemkę. Przyśniły mu się toczące się koła jakiegoś gigantycznego pojazdu.

Podczas nocy Cymmerianin kilkakrotnie wstawał, by rozejrzeć się po pustyni. Wiatr ustał; pustkowie ciągnęło się we wszystkie strony pod aksamitną kopułą nieba, naszpikowaną zimnymi, jaskrawymi gwiazdami. Panował grobowy spokój, lecz przed świtem, jak należało się spodziewać, wiatr zerwał się ponownie. Świat skrył się znowu za opończę wirujących kłębow gipsowego pyłu. Mimo zawodzenia wiatru, barbarzyńca ponownie dosłyszał niesamowite skrzypienie drewnianych kół.

Tym razem hałas dochodził z mniejszej odległości. Conan podskoczył z zaskoczenia, gdy tuż obok przetoczył się olbrzymi, niewyraźny kształt. Wielbłąd Cymmerianina zaczął parskać z przestachu. Barbarzyńca pomyślał zrazu, że urwała się jedna z osi platformy posągu, lecz uznał, że to niemożliwe. Poza tym koło, które się niemal o niego otarło, było o wiele solidniejsze: miało grube szprychy i metalową taśmę wzdłuż obwodu.

Conanowi wpadło do głowy, iż orszak nieszczęśników, któremu towarzyszył, mógł zostać napadnięty pod osłoną piaskowej burzy. Natychmiast jednak odrzucił tę myśl, bowiem żadna armia nie mogła zaatakować w takich warunkach – przynajmniej żadna ludzka armia. Zmrużywszy łzawiące oczy, wypatrzył kolejny niewyraźny kształt za zasłoną wirującego pyłu.

Wiedziony nawykami, Cymmerianin schwycił nóż i bukłak. Sprężył się i w chwili, gdy rydwan przetaczał się obok, przeskoczył przez jego poręcz. Zamierzał poznać tajemnicę niesamowitego pojazdu lub zginać.

Conan nie musiał zabijać woźnicy rydwanu. Splątane resztki upręży utrzymywały przy poręczy pozbawionego zaprzęgu pojazdu wyschniętą jak rzemień, wyszczerzoną w uśmiechu mumię w porysowanej niesionym wiatrem żwirem zbroi. Nad rydwanem wydymała się wisząca w strzępach plandeka z owczych skór; działała jak żagiel, pchając pojazd naprzód. Na dnie rydwanu w grubej warstwie pyłu obijały się kości koni i jednego lub dwóch pasażerów. Na pogiętej osadzie dyszla wisiała tylko płatanina upręży, postrzępionych skór i starych, startych kości.

Długa, okuta spiżem belka, służąca niegdyś za dyszel, zginała się gładko pod bojową platformą rydwanu i sterczała z tyłu, działając jak dryfkotwa i uniemożliwiając wywrócenie się wozu w tył. Gnana wiatrem platforma kołysała się, opierając się na przemian na przedniej części dyszla i sterczącej z tyłu płozie. Przy braku zaprzęgu wyłącznie wiatr pchał rydwan po wymarłej pustyni.

Niesamowity rydwan pojawiał się w miejscowych legendach. Conan przypominał sobie krążące o nim opowieści. Kiedyś był przekonany, że to wymysły obliczone na wystraszenie niedoświadczonych członków karawan, relacjonowane przy dogasających ogniskach przygnębiające mity, mające przyspieszyć bicie serca i wywołać koszmarne sny...

W tym momencie pozdzierane przez pył deski załamały się pod ciężarem Conana. Na szczęście jego nogi zaplatały się w zaścielających dno platformy rzemieniach. Przez parę chwil walczył, by odzyskać równowagę; groziło mu, że będzie wleczony wraz z wyschniętymi szczątkami wierzchowców pod pędzącym pojazdem.

Opowieść o niesamowitym rydwanie krążyła w różnych wersjach; Cymmerianin przypominał sobie tę, którą przedstawił mu młody Javed pod murami Qjary. Podniecony chłopiec twierdził, że około czterdziestu lat temu, za panowania ojca Semiarchosa, Demiarchosa, młodszy brat ówczesnego króla, Pronatos, zorganizował wyprawę, mającą wzbogacić jego ród i przynieść chwałę rodzinnemu miastu. Dzielny Pronatos ruszył z setką zbrojnych, końmi, wielbłądami, rydwanami oraz kolumną taborów na poszukiwanie legendarnego Kamiennego Okrętu. Ów niewyobrażalnie stary statek miał jakoby spoczywać w piaskach odległego zakątka pustyni, wypełniony po burty złotymi monetami, bronią i zbrojami.

Legenda o Kamiennym Okręcie zdecydowanie sprawiała wrażenie apokryfu, jeszcze mniej wiarygodnego niż opowieść o niesamowitym rydwanie. Wykształceni mieszkańcy Qjary otwarcie w nią wątpili, lecz w osamotnionych wioskach na skraju pustyni, gdzie nie docierały wojenne zawieruchy, zapalczywi młodzieńcy dawali wiarę historiom o bohaterskich wyprawach, podobnie jak ulegali pokusie zostania świątynnymi wojownikami.

Pronatos i jego setka towarzyszy trafili do legendy. Dwa tygodnie po ich wyruszeniu zerwała się gwałtowna burza piaskowa. Przez wiele dni szalała nad wschodnią pustynią, doszczętnie zacierając ślady wędrowców. Nikt nie ujrzał już wyprawy. Rozesłane przez pogrążonego w żalu króla ekipy poszukiwawcze nie

zdołały nawet ustalić, jaki los ją spotkał.

Po latach wśród Beduinów rozeszły się jednak niejasne pogłoski, iż dusze szukających skarbów śmiazków zostały uwięzione przez dzinny piaskowej burzy i próbują obecnie ściągnąć zagładę również na innych łowców przygód. Opowiadano, iż podczas często grasujących o świcie i zmierzchu gwałtownych wiatrów w niektórych pustynnych dolinach słychać było ciche skrzypienie kół rydwanów. Powiadano, iż są to pojazdy zaginionej wyprawy Pronatosa. Wyklęci przez bogów pustkowiec za poządliwość złota potępieńcy wciąż nadaremnie błądzili po pustyni w poszukiwaniu Kamiennego Okrętu.

Jak się okazało, u źródeł tych opowieści leżała prawda. Rozpaczliwie wczepiający się w popękane deski między toczącymi się z piekielnym łoskotem kołami Conan mógłby o tym zaświadczyć. Rydwany i wozy wyprawy Pronatosa nadal gnały z doczesnymi szczątkami swych woźniców przez pustynię jak miecione jesiennym powiewem liście. Osobliwy kaprys bogów sprawił, że pojazdy co rano i co wieczór regularnie toczyły się w tę i z powrotem po gładkim pustkowiu niesione powtarzającymi się ze stałością pór roku wiatrami, przez lata wypełniając niepojętą dla ludzkiego umysłu, niesamowitą misję.

Kurczowo wczepiający się w resztki poręczy rydwanu Conan obejmował jego martwego woźnicę; mogłoby się wydawać, że nieboszczyk jest jego odnalezionym po latach ukochanym bratem. Cymmerianin zastanawiał się, czy przypadkiem skurczony szkielet na starym, lecz pięknej roboty rydwanie, nie należy do samego Pronatosa. Sugerowały to resztki srebrnych łusek na spękanej, porysowanej zbroi. Ta myśl sprawiła, iż barbarzyńca wymamrotał pełne szacunku pozdrowienie i spróbował przesunąć się wzdłuż poręczy, by dać przywódcy wyprawy więcej miejsca.

Niezależnie od prawdziwej natury niesamowitego pojazdu, wczepiony w poręcz gwałtownie podskakującego rydwanu Conan musiał podjąć decyzję, czy próbować się na nim utrzymać, czy zeskoczyć i starać się odnaleźć drogę do obozu Khumanosa mimo uniemożliwiającej orientację burzy. Cymmerianin stwierdził, iż mógłby zeskoczyć w bok bez wielkiego uszczerbku dla zdrowia – pod warunkiem, że nie zostałyby zmiażdżony kołami kolejnego pojazdu upiornej karawany. Zapewne po ustaniu wiatru bez trudu odnalazłby drogę do miejsca, w którym zatrzymała się procesja z posągami. Bukłak, kołyszący się przed nim na rękojeści wbitego w szczelinę między deskami ilbarsyjskiego noża, zawierał dość wody, by przeżyć dzień lub dwa.

Mimo niełatwego położenia, Cymmerianin czuł jednak ogarniające go upojenie pędem rydwanu i radość z niezwyklej przygody. Natrafił wszak na klucz do zagadki trapiącej mieszkańców pustyni od pokoleń. Czuł, że musi dotrzeć do źródła tajemnicy. Jeżeli jej wyjaśnienie łączyło się z nagrodą króla Semiarchosa – czy, jak wspomniano w opowieściach, znalezieniem legendarnego skarbu – tym lepiej. Szansa na szaleńczą przygodę sprawiła, że postanowił nie zeskakiwać z rydwanu.

Podczas swych morskich wędrówek Cymmerianin zdążył nauczyć się, że poddanie się wiatrowi jest łatwiejsze, niż opieranie się jego sile w jednym miejscu. Na pędzącym rydwanie piaskowa burza wydawała się słabsza i mniej wysuszająca, wiatr z mniejszą mocą szarpał szatami Conana. Poszarpana plandeka rydwanu wydymała się i trzepotała, lecz nie wpadała w łopot. Dający się srodze we znaki pustynnym wędrowcom mieciony pył wyglądał z toczącego się pomostu jak statecznie sunące naprzód rozmigotane zasłony, przedzielone pasmami słonecznego blasku. Opończe piasku z rzadka rozstępowały się na tyle, by Cymmerianin mógł dostrzec niewyraźne kształty innych pojazdów – na przykład jadący w przedzie kołyszący się wóz, który pierwszy przetoczył się obok niego. Wyteżając słuch w rzadkich chwilach względnej ciszy, barbarzyńca łowił jednak poskrzypywanie kół w rozmaitych tonacjach świadczące, że rydwan należy do dużej kawalkady.

Opętańcza jazda trwała prawie godzinę, nim wiatr zaczął cichnąć. O ile Conan mógł się zorientować, rydwan pędził na południe. Burza ucichła zupełnie niespodziewanie. Rydwan zwolnił ze skrzypieniem i stanął w miejscu. Obłoki kurzu opadły jak znikające duchy.

Cymmerianin znalazł się w niesamowicie wyglądającej okolicy – odludnym wąwozie w paśmie Krwi Attalosa, do którego nie zapuszczali się wędrowcy. Ze wszystkich stron piętrzyły się czerwone zbocza, przypominające spływające na białe jak kość dno wyschniętego morza potoki krwi. Za nim wzgórze zlewały się w jedną masę; ich stoki zasłaniały wylot górskiej matni. W przodzie pięły się ku niebu najwyższe, karmazynowe szczyty górskiego masywu. Dookoła stał orszak nieruchomych, wypłowiałych od słońca wozów i rydwanów bez woźniców. Nieco dalej, w niewielkiej zatoczce między krwawoczerwonymi wzgórzami wznosiła się poszarpana

skała, przypominająca z grubsza dziób statku. Upiorną karawanę Pronatosa tworzyła dziesiątka solidnych pojazdów. Były w złym stanie: pustyne wiatry zdarły z nich farbę i metalowe okucia, a pełne dziur proporce i plandeki wisiały w szarych strzępach, lecz mimo to nadal toczyły się przez pustynię na skrzydłach wichury, tchnąc trwogę w serca poganiaczy wielbłądów.

Rydwan z Conanem zatrzymał się sto kroków za pozostałymi – prawdopodobnie wskutek ciężaru barbarzyńcy. Cymmerianin zszedł na ziemię, zabrał nóż oraz bukłak i zaczął po kolei zaglądać do pozostałych pojazdów.

W paru z nich zachowały się doczesne szczątki podróżników – szkielety w zbrojach. Członkowie wyprawy Pronatosa zostali tam, gdzie dopadła ich śmierć – prawdopodobnie przy próbie wyrwania się niespodziewanej piaskowej burzy. Nie zostało się prawie nic więcej, bowiem z upływem czasu w dnach pojazdów powstały liczne dziury. Uprężę wlokły się za i pod nimi pospołu z kośćmi wołów i osłów. Pustyne wiatry zamieniły ciężkie niegdyś wozy w klekoczące szkielety – jak gdyby nadnaturalna wola zdecydowała, iż po wieczne czasy mają toczyć się po pustyni, pchane przez demony wiatrów.

Nieszczęśni podróżnicy znaleźli jednak cel swojej wyprawy – chociaż po śmierci. Sądząc po niezwykle kształcie, stercząca ku niebu skała nie mogła być bowiem niczym innym, jak legendarnym Kamiennym Okrętem. Na wprost Cymmerianina sterczał wysoko dziób statku – wąski klin z zachodzących na siebie warstw gąbczastej, porowatej skały. Opadające w tył burty przypominały kształtem turańską triemę; rufa zaś była zanurzona pod powierzchnią pokrytej białym nalotem ziemi. Widać było nawet utraconą część masztu, a układające się w jodełkę występy po bokach mogły być niegdyś osadami wiosel. Jeżeli nie był to istotnie okręt, podobieństwo naturalnej skały do statku o osobliwej, archaicznej budowie trzeba by uznać za uderzające.

Conan doszedł do wniosku, iż nie mogła to być wykonana z rozmysłem ludzką ręką rzeźba. Ozdoby statku, kamienne granie i wieżycy były zbyt fantazyjne, zbyt nierówne, by mogły stanowić naśladownictwo rzeczywistości. Można było odnieść wrażenie, że jakiś kapryśny tytan wpierw wyciosał z grubsza zarysy statku, po czym dodał kapryśnie dekoracje z zastygającego kamienia. Bajecznie zdobny pomnik ostał się bez większych zmian mimo chłосzczących go przez niezliczone lata pustynnych wiatrów.

Podchodząc do Kamiennego Okrętu, Conan z zadumą przyglądał się sterczącym z ziemi szczątkom: kościom, ułomkom broni, kołu i deskom roztrzaskanego rydwanu. Domyślił się, że wyprawa Pronatosa zdażyła jednak dotrzeć do celu, nim spotkała ją zagłada. Jeżeli jej uczestnicy zdołali przed śmiercią dostać się na okręt, może nawet odnaleźć rzekomo ukryty w nim skarb, było to dowodem iście nieludzkiej ironii bogów... Wywołana tą myślą ekscytacja sprawiła, że Cymmerianin przyspieszył kroku. Wspiął się po łagodnym zboczach do kamiennego pomnika, wskoczył na nadburcie i rozejrzał po pokładzie.

Znalazł się na rufie prawdziwego okrętu. Chociaż pradawny wrak pokryty był fantazyjnych kształtów gipsowymi nalotami i skamieniałościami, plan pokładu nie zostawiał żadnych wątpliwości. Wręgi, wioślarskie ławy, kabestan i rumpel znajdowały się na swoich miejscach. Wyposażenie pokładu było bez zarzutu; tak wyekwipowany okręt mógł przy pierwszym przyplywie ruszać w morze. Mieszkańcy pustyni zapewne by się tego nie domyślili, lecz Conanowi było już dane pływać po oceanie. Gdy Cymmerianin wspinał się po nieznacznie przekrzywionym pokładzie, przyszło mu do głowy niezwykle, lecz prawdopodobne wytłumaczenie obecności statku w środku ładu.

Pustynna niecka niemal na pewno była dnem wyschniętego morza. Z miejsca, w którym stał, nad rozpadającym się nadburciem widać było na czerwonych zboczach wzgórz niewyraźne poziome linie i skalne półki. Był przekonany, że są to ślady linii przyplywów i plaż z niewyobrażalnej przeszłości. Skoro zaś dolina była niegdyś zatoką, należało sądzić, iż pływały po niej statki – nieważne, czy zbudowane przez ludzi, czy przez starszą od nich rasę. Wymogi konstrukcji okrętów zawsze są podobne. Sądząc po wyglądzie statku, jego budowniczy musieli być ludzkiego wzrostu i nieźle znać się na okrętowym rzemiośle.

Wszakże nawet najbardziej doświadczeni żeglarze tracą czasami statki. Conan stał właśnie na pokładzie okrętu, który zatonał podczas prehistorycznej nawałnicy lub został zatopiony w czasie pradawnej bitwy. Sądząc z wyglądu, był to statek wiosłowy, prawdopodobnie okręt wojenny, o załodze liczącej około dwustu ludzi – czy też przedludzi. Przyglądając się z bliska ławom wioślarskim, Conan dojrzał wypukłości, mogące być sterczącymi z żółtawego kamienia

wielowiekowymi kośćmi. Miał wrażenie, że rozpoznaje dłoń ze zgiętymi jak szpony palcami oraz zbrązowiałą i pomarszczoną jak stara skórka od chleba pokrywą czaszki. Jeżeli były to w istocie szczątki szkieletów, ich kształty stopniowo zamazywał bezwzględny kamienny nalot...

Kluczem do zrozumienia istoty przedwiecznej pozostałości był właśnie kamień. Rozejrzawszy się, Conan zrozumiał, iż zębate, porowate narośle to koralowce. W ciepłych płycznach Morza Vilayet widział już podobne. Obrośnięte kamienne kotwice, amfory i stępki zatopionych okrętów nie dawały oderwać się od podłoża za sprawą stale rozrastających się, nienasyconych koralowców.

Tak najpewniej było i tutaj. Tonąc, pradawny okręt ukoronował narastającą wokół niego koralową rafę. Wraz z upływem czasu żywa skamielina wypełniła puste przestrzenie między drewnem, aż powstał naturalny pomnik – wierne odwzorowanie okrętu. Twarde, wytrzymałe koralowce przetrwały wyschnięcie morza i zachowały się w niemal nie zmienionym stanie do obecnych czasów. Zaiste, figiel bogów – przemknęło przez głowę Cymmerianinowi. W porównaniu z nim karawana upiornych rydwanów wydawała się nie być niczym niezwykłym.

Przeszedłszy na śródkręcie, Conan doszedł do kolejnego wniosku: jakikolwiek ładunek znajdował się na statku, został znaleziony i zabrany przez ludzi Pronatosa. W najszerszej części pokładu widniał stosunkowo niedawno wybity otwór. Koralowce odcięto piłami i toporami, przez co powstała podłużna jama. Za mało leżało wokół niej drobnych kamieni, by mogła być dziełem natury. Pod ziejącą w pokładzie dziurą widać było daleko w dole zwalone okrągłe głązy; Cymmerianin bez trudu poznał, iż są to kamienie balastowe.

Wygląd wraku nie dawał odpowiedzi na pytanie, co stało się ze skarbem. Być może dla bezpieczeństwa zakopano go gdzie indziej, lecz równie dobrze uczestnicy nieszczęsnej wyprawy mogli go wywieźć daleko na pustynię. Cztery potężne, kryte wozy zachowały się w dobrym stanie; ich podarte plandeki z owczych skór zwisały luźno w nieruchomym, rozpalonym powietrzu. Dziury w deskach platform mogły świadczyć o tym, że ich ładunek wysypał się gdzieś na pustynnym szlaku. Jeżeli istotnie było nim ciężkie złoto, pewnie nadal czekało na odnalezienie przez na poły oszalałego z pragnienia pustynnego jeźdźcę... który na pewno uznałby je za miraż lub z podniecenia postradałby do reszty zmysły.

Szyderstwo po szyderstwie, ironia na domiar ironii – jeden po drugim sypały się dowody, iż bogowie są okrutnymi kpiarzami. Conan ruszył dalej do przodu, by wyjrzeć przez wznoszący się wysoko dziób okrętu, zakończony pokrytym koralowcami, utraconym fragmentem kliwra.

Wchodząc na szeroki przedni pokład, Conan doznał wrażenia, że pod nierównymi, pokrytymi skamieniałym pyłem deskami jest pusto. Z dołu zdawało się nieść echo. Wciągnawszy z podnieceniem w piersi wysuszone powietrze, rozejrzał się po opustoszałym wozie, czy gdzieś nie rzuci mu się w oczy błysk złotego metalu. Nagle rozległ się ostry trzask. Wiekowe deski ustąpiły pod ciężarem Cymmerianina. Samotny wędrowiec zapadł się pod pokład.

Późnym popołudniem następnego dnia do pielgrzymki arcykapłana Khumanosa – która przez ten czas zdołała pokonać zaledwie niewielki odcinek drogi – dołączył wędrowiec w drugim płaszczu z kapturem. Był to przewodnik Conan, wracający z niespodziewanego wypadu w głąb pustyni. Ponieważ szedł całą noc i następny dzień – z tego ponad dwanaście godzin bez wody – zataczał się i był wyraźnie bliski omdlenia.

Khumanos nie wypytywał Conana, co się z nim działo. Sam Cymmerianin nie kwapił się z opowieścią. Łapczywie wypił mnóstwo wody i był wyraźnie zadowolony z odzyskania wielbłąda, koców i zapasów jedzenia. Jedna noc wystarczyła, by wróciły mu siły. Wczesnym rankiem następnego dnia jeszcze raz ruszył do oazy Tal'ib, by nabrać zapasów wody dla wędrującego do Qjary orszaku.

14.

KONWOKACJA

Zza falującej zasłony rozpalonego od pustynnego żaru powietrza wyłonił się zmierzający ku murom Qjary samotny jeździec. Jego wierzchowiec był w dobrym stanie, chociaż musiał dźwigać wysokiego, masywnego mężczyznę. Mięśnie szerokich barków mężczyzny napięły się pod ogorzałą, pokrytą warstewką potu skórą, gdy zatrzymał posuwającego się gładkim, chyżym biegiem wielbłąda przed furta do dzielnicy karawan.

– To wypędzony heretyk Conan! – zawołał natychmiast strażnik przed bramą do towarzyszy na szczycie muru, co wywołało szydercze śmiechy i okrzyki. – No, czego tu szukasz, przybłądo? Wschodnia pustynia okazała się dla ciebie za surowa? – zawołał wartownik; jego odwadze najwyraźniej pomagały sterczące nad zwieńczeniem muru groty strzał i włócznie innych strażników. – Jeśli jesteś spragniony, w rzece jest dość wody! A jeżeli szukasz miejsca na odpoczynek, możesz jak poprzednio uwić sobie legowisko w chaszczach nad brzegiem! Wiedz, że raz wypędzony ze świątyni Jedynej Prawdziwej Bogini już nigdy nie możesz wjechać w te mury!

W trakcie swej zjadliwej przemowy wartownik zastawił furtę skośnie wystawionym przed siebie drzewcem piki.

– Oszczędź sobie tchu, pokurczu! – wycodził Conan, wsparłszy stopę na garbie wielbłąda. – Gdybym chciał wjechać przez tę bramę, już byłbym po drugiej stronie, a z twojej rozwalonej makówki jadłyby wrony! – Położył dłoń na zakurzonej rękojeści ilbarsyjskiego noża u boku. – Taki czyn nie byłby jednak godny emisariusza króla Anaksymandra z Sarku i wysokiego posła Świętego Kościoła Wotanty, dlatego proszę cię uprzejmie o wpuszczenie do miasta.

– Dlaczego twierdzisz, że reprezentujesz sprzymierzeńca naszego króla? – rozległ się nieprzyjazny głos ze szczytu murów. – Chcesz nam wmówić, że przybyłeś tu z religijną misją?

– Jeżeli mi nie wierzycie, spytajcie strażników tego posągu.

Odwróciwszy się do połowy w siodle, Conan wskazał wielki pojazd z okrytym całunem ładunkiem, ciągnięty przez powłóczących nogami ludzi obok sadu daktylowego po drugiej stronie rzeki. Orszak dotarł do Qjary nie głównym szlakiem karawan, lecz od strony odludnej doliny, łączącej się z bezmiernym pustkowiem na zachodzie.

– Na Saditę! – wykrzyknął mężczyzna na szczycie murów. – Toż to święta pielgrzymka z południa! Zawiadomcie świątynię i wezwijcie szwadron konnicy, by wskazał jej drogę do pałacu!

Po paru minutach grania sygnałówek, werbli i krzyków podoficerów, przez bramę dzielnicy karawan wyjechał oddział jazdy. Conan dołączył do nich na swym wielbłądzie. Tymczasem orszak z segmentem posągu dotarł niemal do brzegu rzeki, więc wyjazd na jego powitanie był właściwie czczym dowodem przestrzegania protokołu. Żołnierze posiadali z wierzchowców i pomogli przepchać wielce obciążony wóz przez wilgotny piasek brodu.

Khumanos mimo to sprzeciwił się propozycjom, by zaprząć konie do platformy i wjechać z posągiem do miasta. Nie dopuścił również, by Qjaranie wzięli na siebie pchanie wozu. Pielgrzymi u kresu wędrówki znajdowali się w równie złym stanie, jak przez większą jej część: byli brudni, obszarpani i bosy. Wpierając obolałe, pokryte pęcherzami ramiona w obręcze wielkich kół i dźwignie, krok za krokiem pchali do przodu swe brzemie.

Wkrótce orszak wędrowców w asyście nie odstępujących ich żołnierzy przekroczył bramę dzielnicy karawan. Conan przeprowadził wielbłąda obok spokorniałych strażników, którzy odmawiali wpuszczenia go do Qjary. Po wjeździe do miasta na powitanie przybyszów wyszli kapłani i pośledniejszej rangi urzędnicy.

Wskutek nalegań arcykapłana zrezygnowano z wtoczenia wozu z odlewem w głąb miasta. Posąg pozostawiono bez zdejmowania całunu na dziedzińcu karawan. Sarkańscy strażnicy i qjarańscy żołnierze mieli ochraniać go przed zbezczeszczeniem. Khumanos zarządził, iż pielgrzymi mają trzymać się blisko posągu aż do czasu dokończenia pewnych kluczowych elementów obrzędu poświęcenia rzeźby. Zezwolono im na wyszukanie kwater w przyległych do dziedzińca zajazdach.

Qjaranie nie protestowali przeciwko takim rozporządzeniom – być może dlatego, iż słabi i schorowani pielgrzymi wyglądali odrażająco. Mimo starań Conana, ich stan nie uległ poprawie w czasie ostatniego etapu wędrówki. Wręcz przeciwnie: pokryta owrzodzeniami, zaczerwieniona od słońca skóra, plackowato wyłysiała głowa i krwawiące, szczerbate usta wędrowców sprawiały wrażenie, że Qjarze grozi jakaś niebezpieczna zaraza.

Nikt jednak publicznie nie wspominał o podobnych obawach. Przed zebraniem u bram miasta tłumem ogłoszono powitalne przemowy, w których żałosny stan pielgrzymów oceniono jako skutek nabożnego umartwienia ciała i dowód niezłomnej wiary.

Conan, jako zwykły przewodnik, nie zasłużył na należne bohaterom czy świętym pochwały, lecz pogodzono się z jego obecnością. Urzędnicy bez wątpienia

pamiętali jego niedawne wypędzenie z miasta, lecz zmuszeni byli potraktować go jako członka religijnej misji z Sarku. Mieszkańcy Qjary generalnie podzielali ich postawę. Tak czy inaczej, zwałista sylwetka barbarzyńcy i jego niewątpliwa sprawność w walce odbierały miejskim prostaczkom ochotę na przeklinanie na jego widok czy spluwanie mu pod stopy. Tylko jeden ze świątynnych wojowników chwycił za miecz, wyraźnie gotów do walki z Cymmerianinem, lecz towarzysze od razu pospieszyli powstrzymać młodego zapaleńca. Conan został ponownie przyjęty do wspólnoty Qjary – zwłaszcza przez starych przyjaciół z dzielnicy karawan.

Ze swej strony Conan czuł zadowolenie, mogąc ponownie stąpać po ulicach miasta, z którego został niegdyś wypędzony. Cieszył się odmówionymi mu przedtem wygodami: porządnym jadłem, kwaterą i oporządzaniem wielbłąda w miejskich murach. Miał nadzieję, że w przyszłości zdoła zwrócić na siebie uwagę władz miasta, lecz na razie do tego nie dążył. Postanowił na razie milczeć o swoich odkryciach na pustyni – przynajmniej do czasu, gdy zakończy się sarkańska misja, a do jego rąk trafi obiecana przez Khumanosa zapłata.

Po otrzymaniu wieści o przybyciu delegacji sąsiedniego państwa, król Semiarchos zarządził następnego dnia uroczystość powitalną. Z racji narzuconych przez Khumanosa ograniczeń i wyczerpania wędrowców, miało się ono odbyć nie w pałacu, lecz w dzielnicy karawan. Przez noc na wielkim piaszczystym dziedzińcu wzniesiono elegancki pawilon – dla wywarcia wrażenia na przybyszach, oraz by oszczędzić królewskiej rodzinie konieczności przebywania w pospolitych zajazdach dla podróżników.

Przed świtem na zaprzęgniętych w osły wozach przywieziono jadło, rozpalono ogniska i dokonano rytualnego uboju jagniąt. Nieco później, gdy po okolicznych zaułkach rozeszła się smakowita woń pieczonego mięsa, zaczęli tłumnie przybywać kapłani, muzycy, świątynne tancerki i słudzy.

Późnym rankiem na dziedzińcu wjechał król Semiarchos w złotym rydwanie. Na szerokiej platformie pojazdu towarzyszyły mu jego żona, dumna arcykapłanka Regula oraz chmurna córka Afriandra. Czwórka drobiących kopytami jabłkowi – tych koni zatrzymała się przed pawilonem. Pasażerowie wysiedli, by powitać Khumanosa. Conan przyglądał się temu, stojąc w tłumie.

– Arcykapłanie, twój król kazał mi spodziewać się twojego przybycia! – Semiarchos podszedł do Khumanosa. Najwidoczniej chciał go uściskać, lecz ujrawszy wychudzenie czarnoskórego kapłana i jego poważną, czujną minę, śniady władca rozmyślił się i zadowolił poklepaniem mieszkańca Południa po kościstym ramieniu. – W miarę mijania dni i tygodni zaczęliśmy wątpić, czy cię w ogóle ujrzymy! Ślaliśmy gońców, lecz nie wiedzieliśmy, jaką drogę obrałeś. Więc nie zdołali nas uprzedzić o twoim przybyciu!

– Nasza podróż była ciężka i powolna – przyznał Khumanos z uprzejmym ukłonem, nie racząc użyć wobec władcy Qjary jakiegokolwiek tytułu. – Prawa naszej świątyni stanowią, że święty posąg nie mógł po drodze znaleźć się w żadnym mieście ani osadzie ludzkiej z wyjątkiem miasta, w którym zostanie poświęcony. Sprawilo to, iż wędrowaliśmy przez położone na uboczu znanych traktów pustkowie.

– Ach, to wszystko tłumaczy. – Semiarchos spojrział na grupę przybyszów za Khumanosem, siedzących wokół kręgu ognisk na środku dziedzińca. – Sądząc po wyglądzie twoich wiernych, przypłacili tę wyprawę wielkim wyczerpaniem. Trudno nie zauważyć ich pokrytych odciskami kończyn i spalonej, pokrytej pęcherzami skóry...

– Istotnie – przyznał ponownie Khumanos. – Wiele dni spędzili przemierzając niemal na oślep wyprążoną pustynię. Za dnia nękały ich burze piaskowe, a nocami niemalże marli z pragnienia. Na początku pielgrzymki byli to zaledwie szartumscy chłopcy i sarkańscy żołnierze, a nie lud boży. Podczas wędrówki nauczyli się jednak trudzić bez myśli o własnej wygodzie. Po drodze każdy z tych, którzy przeżyli, przysiągł dożgonną służbę wielkiemu Wotancie.

– To cud! – zawołała Regula. – Cóż za ofiarność, jakaż dzielność – i próba wiary! Qjaranie, możemy wiele nauczyć się dzięki temu przykładowi: potęga oddania sprawia, że słabi śmiertelnicy mogą dokonywać niemal niemożliwych czynów! – Matrona uścisnęła z zapalem dłoń Khumanosa i złożyła z oddaniem pocałunek na grzbiecie jego wychudzonej dłoni. – Widzę, że bliskie już święte zaślubiny bogów naszych dwóch miast i błogosławiona unia kościołów wleje moc w nasze dusze. Witaj, Khumanosie! Wraz ze swoimi wiernymi i waszym szlachetnym bogiem jesteście miłymi Qjarze gośćmi! – Królowa wskazała wciąż leżącym wozie odlew; wybrudzone płótna przykryto dopiero co bardziej eleganckim lnianym całunem z chwaścikami. – Ja, Regula, królowa Qjary i arcykapłanka Jedynej

Prawdziwej Bogini ogłaszam, że nasze serca, świątynia i miasto są na twoje rozkazy!

Podczas ceremonii powitania Conan przesuwiał się przez tłum, by złowić spojrzenie Afriandry. Zdołał się przecisnąć blisko niej przez świętujący tłum, co przyniosło spodziewany rezultat.

Księżniczka stała nieco z tyłu za swoimi rodzicami. Była ubrana w śmiałą szatę szafranowej barwy, odsłaniającą opalone ramię i całe udo. Sandały na grubych, rytowanych podeszwach i wysoko upięta fryzura sprawiały, że nie sposób było oderwać od niej wzrok. Wygląd i zachowanie Afriandry tchnęły zdrowiem, lecz krył się pod tym cień zdenerwowania, a jej twarz była nieco pobladła. Księżniczka pilnie przyglądała się Khumanosowi, chociaż wymieniający nabożne uprzejmości z monarszą parą kapłan nie zwracał na nią uwagi. Jak gdyby nagle znudzona, Afriandra rozejrzała się po tłumie i wreszcie dostrzegła górującego nad mieszkańcami Qjary Cymmerianina.

Natychmiast dyskretnie porzuciła swoją rodzinę i utorowała sobie drogę między zaskoczonymi wojownikami świątyni Sadyty i gapiami w cień pawilonu.

– Proszę, Conan! – zawołała, udając afektowaną, gardłową dykcję kurtyzany. – Pogłoska, że twój obcy, nieokrzesany bóg znów kierował twoje kroki w naszą stronę, okazała się prawdziwa. To dowód, że nie jest najgorszym panem!

Księżniczka zatrzymała się przed barbarzyńcą, przybierając prowokacyjną pozę, niewątpliwie nie tylko jego przyprawiającą o szybsze bicie serca. Namiętnie zarzuciła mu smukłe ramiona na szyję i wspinając się na palce, wycisnęła pełny oddania, długi pocałunek na jego wargach.

Mimo wspierającego się na nim ciężaru ciała dziewczyny i wywołującej zawrót głowy jaśminowej woni pachnideł, Conan zachował jednak szczątkową świadomość wydarzeń wokół. Otaczający ich gąszcz ludzi, bez wątpienia pod wrażeniem kontrastu arystokratycznego piękna Afriandry i pierwotnej urody nagiego do pasa barbarzyńcy, cofnął się raptownie, tworząc krąg wolnego miejsca wokół całującej się pary. Zaniepokojeni świątynni wojownicy, rozstawieni wokół królewskiego pawilonu, mieli wyraźnie ochotę ruszyć za krnąbrną księżniczką. Widząc to, Conan kilkoma zdecydowanymi pocałunkami w wymalowane usta skłonił kobietę do chwilowego opamiętania.

– Afriandra, dziewczyno, miło znów widzieć ciebie i wodopój dla wielbłądów, który nazywacie miastem – powiedział, z trudem odzyskując dech. – Zaczekaj, przyjrzyjmy się uroczystościom.

Przeprowadził ją dalej, gdzie Qjaranie nie mogli ich zobaczyć, a jemu nie groził pościg świątynnych szermierzy. Tymczasem dziesiątki Qjaran przyglądało się z zapartym tchem spontanicznemu tańcowi sześciu kapłanek.

Conan z rozbawieniem spostrzegł, że tancerkom przewodziła Szarla. Cymmerianin nie mógł jednak podziwiać jej wprawiającej w zachwyt gracji, bowiem przytulona do niego Afriandra bez przerwy szeptała mu do ucha pytania oraz żarty i domagała się częstych pocałunków.

Po jakimś czasie poprosiła Conana, by kupił jej solone drożdżowe gniazdko. Zatknięte na kij ciastka sprzedawał krążący wśród tłumu handlarz. Conan postanowił nie komentować tkwiącej w tym ironii, mimo że przyszło mu się pożegnać z dwoma monetami z szybko malejącego zapasu pieniędzy. Pragnienie po słonym cieście poprowadziło ich do znajomego karawanseraju. Zasiadli przy tym samym stoliku, przy którym się spotkali po raz pierwszy, tym razem jednak zajęli wspólnie wąską ławę w kącie. Afriandra przytuliła się do Cymmerianina, pieszcząc go nad i pod stołem.

– Dziwnie się czuję na wspomnienie, że kiedy cię poznałem, nie wiedziałem, kim jesteś ani nawet jaka piękna jesteś naprawdę – powiedział.

– Mam wrażenie, że to było lata temu! – Oparła się o jego ramię i potrząsnęła głową, ryzykując rozsypanie kunsztownej fryzury. – Wtedy żył Zajus. Szukał mnie tutaj.

– Tak, omal nie nadział się tej nocy na mój nóż – wspomniał Conan. – Brakuje ci go?

– Trudno powiedzieć. Zajusowi na swój sposób bardzo na mnie zależało. – Księżniczka przywarła do krzepkiego ramienia Cymmerianina. – Razem z nim czekałoby mnie puste życie, lecz bez niego moja przyszłość maluje się w jeszcze czarniejszych barwach.

– Twoi rodzice nie wyszukali dla ciebie nowego pana młodego i następcy tronu?

– Nie – westchnęła. – Są tak pochłonięci misją króla Anaksymandra... Przez pewien czas bałam się, że mnie za niego wydadzą. Ma taką ohydna naoliwioną

brodę! Dzięki bogini, rodzice przestali o tym mówić! Nie zwracają na mnie uwagi... jak gdyby chcieli mnie ukarać. Myślę, że matka w istocie wini mnie za śmierć Zajusa. Bardzo ją to zabolalo, chociaż robiła dzielna minę. – Afriandra potrząsnęła z przynębieniem głową. – Może ma rację...

– Daj spokój, dziewczyno! – odparł Conan, pocieszając ją braterskim uściskiem. – Nie warto przelewać tyłu łez z powodu samobójcy. Na pewno, gdy ktoś bliski ginie z własnej ręki, ma się poczucie winy, ale... Hej, szynkarzu! – Wołanie Conana skierowane było do Anaksa, który wreszcie wynurzył się z piwnicy. – Przyniesz nam dzban porządnego piwa! Jeżeli jednak musiałbyś posłać po nie do dalekiego Belverusu, to wystarczy i ciepły mocz wielbłąda, który tu nazywacie arakiem!

– Dla mnie lampka narcyntu, Anaks – dodała księżniczka. Znajomy głos sprawił, że karczmarz zatrzymał się w pół kroku i zmrużył oczy z zaskoczenia. Dopiero po chwili ruszył, by spełnić zamówienie.

– Pogodziłaś się ze świętą misją Anaksymandra, połączeniem kościołów Qjary i Sarku? – zapytał Conan.

– Nie. Mówiąc prawdę, coraz mniej mi się to podoba, chociaż rodzice nie liczą się zupełnie z moim zdaniem. – Westchnęła niecierpliwie; jej wonny oddech omiół bark Cymmerianina. – Prawdę mówiąc, Conanie, zważywszy na to, co mi opowiadałeś o tyrańskich obyczajach sąsiadujących z nami królów-kapłanów, dziwię się, że przyłączyłeś się do tej wyprawy.

Conan odczekał, aż Anaks postawi przed nimi trunki.

– Powiedz mi, dziewczyno, jak inaczej zdołałbym powrócić do waszego miasta? Do ciebie?

Pociągnął głęboki łyk z kubka z arakiem.

– To prawda... Cieszę się z twego powodu. – Pogładziła go po ramieniu. – Mimo to nie jest mi lżej. To hańba, że nieszczęsnych pielgrzymów, zapędzonych tu przez zbrojne straże i wyniszczonych przekraczającym wszelkie wyobrażenie wysiłkiem moja matka powitała jako zwiastunów przyszłości Qjary.

– Istotnie – przyznał Conan. – Gdyby okazali chociaż cień chęci, pomógłbym im zabić nadzorców i odzyskać wolność.

Potrząsnął ponuro głową. – Zaczynam podejrzewać, że Khumanos prowadził ich tak odludnymi, jałowymi okolicami, by nie rozpierzchli się przy pierwszej okazji. Teraz nie mają na to sił; są słabi jak ślepe kocięta.

– Nieszczęśnicy... z tego, co widziałam, są chorzy i wyczerpani przez udział w tym niegodnym dziele.

– Prawda. – Conan pokiwał głową nad arakiem. – Mogę to poświadczyć, gdyż sam jeździłem w tę i z powrotem po pustyni, by dowieźć im wody i ukraść dla nich owoców. Choroba zagnieżdżyła się głęboko w ich nędznych ciałach i duszyczkach... o ile w ogóle mają dusze! Na pewno zaś brak im woli walki.

Afriandra napiła się narcyntu, ogarnięta współczuciem dla pielgrzymów.

– Planowane zaślubiny między Saditą i sarkańskim bóstwem – jakkolwiek jest jego natura – zajęły w sercu matki miejsce mojego małżeństwa. Dla mnie trąci to herezją w stosunku do wiary w Saditę. Nie podobają mi się te plany; w Qjarze są też inni, którzy myślą podobnie.

– I bardzo dobrze... – Conan zniżył głos. – Uważaj jednak z szerszeniem buntowniczych idei wśród mieszkańców, bo możesz zostać wykryta. – Popatrzył uważnie na pijącą z czarki towarzyszkę. – Jako ukochanej księżniczce może ci to ujdź bezkarnie, lecz twoi sprzymierzeńcy zostaną najpewniej skróceni o głowę, jeżeli ruszą do działania w niewłaściwym czasie.

– Trudno, i tak mamy niewielkie szansę przeciwstawić się planom matki – odparła Afriandra. – Zmiana zdania w tej chwili byłaby afrontem, mogącym doprowadzić do wojny z Anaksymandrem. Nie mam na to ochoty, bowiem król Sarku wygląda na bezwzględnego przeciwnika. – Dopiła resztę narcyntu. – Chodź, moi rodzice będą się o mnie martwić – rzekła. – Przynajmniej na to liczę, bo mają po temu dość powodów! Wracamy do królewskiego pawilonu.

Księżniczka wyszła z karawanseraju, otoczona ramieniem Conana. W miarę narastania żaru dnia w zajeździe robiło się coraz ludniej, lecz na dziedzińcu karawan wciążyło było tłoczno. Zapanowała tu pogodniejsza atmosfera – przy akompaniamencie muzyki występowali tancerze i kuglarze, zabawiając tych, którym nie zależało na oglądaniu napuszonej ceremonii.

– Wyglądasz na oszołomioną – stwierdził Conan, gdy wraz z księżniczką oczekiwali, aż trupa akrobatów przestanie tarasować im drogę. – Czujesz już skutki narcyntu? Widzisz przyszłość świętujących?

– Niezupełnie... tym razem jest inaczej. Ludzie i rzeczy wyglądają jak cienie – wszystko jest niewyraźne, rozmyte. Chwilami mam wrażenie, że idę przez gołą pustynię.

– Może znów widzisz mnie nieprzystojnie rozebranego? – Afriandra pokręciła głową.

– Szkoda – stwierdził, chociaż odczuł ulgę.

Bez względu na skromność Cymmerianina, jeżeli księżniczka widziała mniej wizji, istniało mniejsze niebezpieczeństwo, iż jakiś majak wytrąci ją z równowagi.

Afriandra doprowadziła wreszcie Conana do kordonu świątynnych wojowników. Tu go zostawiła, nie chcąc drażnić swoich rodziców. Barbarzyńca przyjrzał się, jak zajmuje miejsce wśród królewskiej świty, po czym ruszył załatwiać własne sprawy.

Wróciwszy nieco później, Conan odszukał wynajmującego go kapłana i zwrócił się do niego:

– Co z moją zapłatą, Khumanosie? Zależy mi, by dostać ją jak najszybciej do ręki. – Pod wpływem obojętnego spojrzenia arcykapłana dodał: – Powiedziałeś, że wręczysz mi klejnoty, gdy tylko posąg wjedzie do Qjary. Nadszedł czas na wywiązanie się z danego słowa. – Conan obejrzał się na wypoczywających na słońcu przed pawilonem uczestników pielgrzymki. – Dopiero co rozmawiałem z twoim płatnikiem Astrakiem. Ostatnio nie wygląda najlepiej, ma pryszczę na twarzy i ramionach...

– Nie czas jeszcze na twoją zapłatę. – Khumanos zachował wyniosły spokój mimo rozdrażnionego spojrzenia Cymmerianina. – Powinieneś przecież wiedzieć, że święty posąg Wotanty składa się z trzech części. Do Qjary dotarła na razie pierwsza z nich. Twoja praca nie dobiegła końca.

– Co?! Mam wracać po dwie następne? – rzekł Conan z gniewem, zaciskając dłoń na szacie Khumanosa. – Toż to rozbój, kapłanie!

– Dwie pozostałe części posągu znajdują się już w drodze do Qjary – odparł niewzruszenie czarnoskóry mężczyzna, wodząc palcami po talizmanie na piersi. – Powinny tu dotrzeć w ciągu najbliższych dni, lepiej jednak będzie, jeżeli wyjedziemy po nie i będziemy je eskortować do bram miasta. Inaczej moi uczniowie mogą nie znaleźć drogi do Qjary, a warunki naszej umowy pozostaną niewypełnione.

– Łotrze! Gadzie! To znaczy, że na pustyni ginie jeszcze więcej biedaków? Każ Qjaranom ich odnaleźć – z radością wykonają za ciebie tę brudną robotę!

– Możemy przyjąć ich ograniczoną pomoc, lecz muszę zachować przywództwo naszej świętej misji. – Khumanos potrząsnął głową. – Potrzebuję cię jako przewodnika.

– Oczajduszo! Skąd mam wiedzieć, czy te klejnoty są cokolwiek warte? Już raz mnie oszukałeś...

– Dwie garści – przerwał mu Khumanos. – Jeżeli wywiązesz się ze swoich zobowiązań, możesz zabrać tyle klejnotów, ile zmieści ci się oddzielnie w dwóch garściach.

– Trzy części posągu – trzy garści! – oświadczył Conan. – Za mniej nie zgadzam się ciebie słuchać.

– W porządku, dobiliśmy targu. Zapłatę otrzymasz dopiero po ustawieniu posągu.

Conan burknął coś na znak zgody. Odruchowo uścisnął dłoń Khumanosa, by przypieczętować umowę. Po chwili wypuścił ją z dreszczem odrazy – nie dlatego, by ręka kapłana była zimna czy lepka od potu, lecz okazała się sztywna i sucha jak jego zachowanie. Gdy Conan odchodził, dobiegł go jeszcze głos Khumanosa:

– Wyruszamy jutro o świcie na południe, by rozpocząć przeszukiwanie pustyni. Przygotuj swojego wielbłąda.

Afriandra zniknęła. Conan dostrzegł, że Semiarchos i Regula bawią rozmową dygnitarzy w różnych częściach pawilonu, jednak nigdzie nie było widać księżniczki. Nie chcąc narażać się na konfrontację z monarszą parą, Cymmerianin z dworską delikatnością położył dłoń na ramieniu przechodzącego starszego mężczyzny, wyglądającego na głównego radnego miejskiego lub równie utytułowanego urzędnika.

– Racz powiedzieć mi, panie, dokąd udała się księżniczka Afriandra? – zapytał. – Doszły mnie pogłoski, że została odesłana?

– Nie widziałeś? – siwobrody starzec popatrzył na niego z mieszaniną lęku i irytacji. – Przed chwilą zemdląca, jak gdyby została rażona gromem. Zaniesiono

ją do pałacu. – Na widok niemego spojrzenia Conana dodał: – Wyszła powitać pielgrzymów, którzy przywieźli posąg z Sarku. Gdy znalazła się na dziedzińcu, nagle krzyknęła wniebogłosey i padła jak ścięta. – Staruszek pokiwał głową z nieudaną, ojcowską troską. – Być może spowodowało to słońce albo dziewczęce wapory. Od śmierci swojego narzeczonego była napięta, lecz któż mógłby spodziewać się czegoś podobnego? – Podczas gdy Conan odchodził, dobiegły go jeszcze ostatnie, stłumione słowa starca: – Miała szeroko otwarte oczy i nie przestawała krzyczeć...

Conan nie mógł doczekać się zachodu słońca, by spróbować zobaczyć się z Afriandrą. Przejmował się nie tyle narzuconym jej przez rodziców odosobnieniem, lecz podejrzeniem, iż nie raczyli uważnie wysłuchać relacji dziewczyny o nowej, okropnej wizji, której doznała dzięki darowi widzenia przyszłości. W najlepszym razie wątpliwy „dar”, pomyślał Cymmerianin.,. chociażby dlatego, iż ujawniał się pod wpływem uderzającego do głowy, zwodniczego trunku – narcyntu.

Powinien był ostrzec księżniczkę przez ponownym igraniem z czarami, bez względu na to, jak bardzo niewinne się wydawały – zwłaszcza w czas religijnego uniesienia w Qjarze, gdy para kapryśnych pustynnych bóstw gotowała się do zaślubin lub bezwzględного starcia. Na czas pomocy świętej pielgrzymce z Sarku barbarzyńca zawiesił swoją zwykłą niechęć do rzeczy nadnaturalnych; eskortowanie wędrowców na pustyni wydawało mu się okazją do dobrego zarobku. Zważył jednak w szczytną naturę wyprawy Khumanosa, a nawet w wartość proponowanych przez niego klejnotów. W kulcie Wotanty było coś zdecydowanie złowieszczonego. Cymmerianin nie czuł dumy z pomocy w sprowadzeniu nowego południowego bóstwa do Qjary, mimo nieprzyjemności, jakie go spotkały ze strony jej mieszkańców.

Gdy załomotał w pałacową bramę, prosząc o dopuszczenie przed oblicze księżniczki, spotkał się ze zdecydowaną odmową. Strażników było zbyt wielu, by Conanowi chciało się z nimi walczyć. Jego pytania o stan zdrowia Afriandry pozostały bez odpowiedzi; wyraźnie nikt nie zamierzał go tu traktować jako ambasadora obcego kraju. Rozdrażniony Cymmerianin wrócił do dzielnicy karawan, by zająć się swoim wielbłądem i uzupełnić zapasy.

Część popołudnia spędził na załatwianiu spraw, dotyczących najcenniejszych rzeczy z jego dobytku. Zwrócił się przy tym z prośbą o pomoc do szynkarza Anaksa, gdyż wiedział, że może mu do pewnego stopnia zaufać, oraz do innego znajomego szynkarza – rzemieślnika, o którym wiadomo było, iż dyskretnie zajmuje się dobrami, trafiającymi do miasta bez wiedzy urzędników akcyzy.

Przed zmierzchem Conan siedział w karawanseraju i popijał arak, odnawiając luźne znajomości. Przyglądał się, jak religijne uroczystości ustępują wraz z zapadającym zmrokiem bardziej swawolnej zabawie.

Wreszcie szarówka nad zachodnimi murami zamieniła się w mrok nocy. Cymmerianin opuścił karawanseraj i ruszył wraz ze znużonymi widzami ceremonii w stronę Bramy Świątynnej. Po jej pokonaniu zanurkował w odludny zaułek rezydencyjnej dzielnicy. W jej głębi rosła w pałacowych ogrodach drzewa zasłaniały widok z patrolowanych przez wartowników murów. Szpary w popękanych kamieniach, chociaż płytkie, wystarczyły doświadczonemu we wspinaczkach po urwiskach Północy barbarzyńcy jako punkty zaczepienia dla stóp i rąk. Po paru chwilach przetoczył się przez szczyt muru. Nawet gdyby ktoś spojrział w tę stronę, pomyślałby, że widoczna przez ułamek chwili sylwetka to złudzenie.

Cymmerianin bezszelestnie zeskoczył w dobrze zapamiętane miejsce pośród kępy drzew i podlewanych z ręcznie pompowanych studni kwiatów. Tej nocy pałacowe ogrody były puste, dworzanie bowiem bawili na uroczystościach w mieście.

Conan ruszył ukradkiem przez zalegające pod drzewami ciemności. Po drugiej stronie ogrodu znajdował się drugi mur, wypolerowany gładko jak lustro. Między spoiny nie można było wsadzić ani ostrza noża, ani nawet paznokcia. Róg pałacu zdobiły jednak smukłe, ozdobne kolumny. Wystawały przed mur na tyle, iż wklonawszy się między dwie z nich i przenosząc ciężar ciała z ramion na obnażone kolana, Cymmerianin zdołał wspiąć się pod szczyt fasady. Następnie zacisnął potężne dłonie na rzeźbionym karniszu nad głową i podciągnął się do jego skraju. Rozejrzawszy się, czy nigdzie nie widać strażników, wspiął się wyżej i ukrył w głębokim cieniu pod parapetem. Przeczekał tam w bezruchu, aż przejdzie patrol wartowników, po czym jak cień polującej sowy przekradł się do centralnego zwieńczenia pałacu. Wspinaczka była tu o wiele łatwiejsza dzięki ornamentalnej balustradzie i kratom dla pnączy. Po paru chwilach dotarł do balkonu komnaty sypialnej księżniczki.

Wewnątrz panował zupełny mrok, Conan dostrzegł jednak poruszenie zasłon – i

majający w ciemnościach owal twarzy. Po chwili z ulgą stwierdził, że to Afriandra. Dziewczyna w bladej jedwabnej koszuli nocnej nie mogła rozpoznać go w mroku, lecz gdy w końcu przyjrzała się przybyszowi, rozsunęła zasłony i z gracją wsunęła mu się w ramiona.

– Odpoczywałam – szepnęła. – Śniłeś mi się. Czułam, że przyjdiesz.

– Na Croma, rzeczywiście musisz być wróżbitką, bo zachowywałam się cicho – odpowiedział, wsunął jej dłoń pod brodę i zajrzał w twarz. – Teraz także widzisz przyszłość?

– Trudno powiedzieć... Co chwila nachodzi mnie dziwne uczucie, ale nie dostrzegam niczego niezwykłego.

– Wiem, że rano zemdlałaś. Czujesz się już lepiej? – Przesunął dłonią po jej czole, by sprawdzić, czy nie ma gorączki. – Pamiętasz, co cię tak wzburzyło?

– To samo, co przedtem, podczas wizyty Anaksymandra... chociaż nie, tym razem było jeszcze straszniejsze. Pielgrzymów z Sarku spotka jakieś potworne nieszczęście. Widziałam, jak pochłaniają ich płomienie. Ich skóra była szerniała i pokryta pęcherzami, a ciała zamieniły się w dymiące, pokręcone szczątki. – Głos dziewczyny zadrżał. Zadygotała w ramionach Cymmerianina. – Co gorsza, gdy rozejrzałam się wokół, zobaczyłam, że ta sama pożoga pochłania rodowitych Qjaran, ludzi, których dobrze znam! Tuż potem miałam wrażenie, że mury miasta oddalają się ode mnie w szalonym pędzie. Czułam, że znalazłam się zupełnie sama na wietrznym pustkowiu. Padał na mnie z góry wielki, ciągle rosnący cień. Bałam się rozejrzeć... potem chyba zemdlałam.

Zadrżała ponownie i przytuliła się impulsywnie do Conana. Cymmerianin objął ją silniej ramionami, zastanawiając się nad jej wizją.

– Istotnie, przykro się robi, gdy człowiek patrzy na owrzodzenia, pęcherze i rany biedaków z Sarku. Niczego więcej nie potrzeba, by niejedna szlachcianka się popłakała. Może tym razem po prostu zaszkodził ci trunek. Byłaś zmartwiona...

– Nie, Conanie! Jestem pewna, że to było ostrzeżenie od bogini! – Afriandra odsunęła się do Cymmerianina, przyglądając się, jak zareaguje na jej słowa. – W moich widzeniach pełno jest złowieszczych zwiastunów, jak nad zdychającym na pustyni osłem. Sark i wszystkich jego mieszkańców czeka straszliwe przeznaczenie... a może nie jego, lecz Qjarę?! Sama nie wiem!

– No już, wszystko będzie dobrze, dziewczyno – pocieszył ją Conan, chociaż sam poczuł przypływ nieokreślonego strachu – dreszcz obawy przed tą ognistą zagładą, której podmuch omiółł księżniczkę.

Tymczasem Afriandra wciągnęła go do wnętrza komnaty. Tuliła się do niego zrazu z rozpaczą, później coraz namiętniej... jak gdyby jutro miało nie nadejść.

Conan opuścił pałac inną drogą. Dostał się na niski fragment gładkiego muru, pozwalającego na bezpieczny skok na miękką murawę. Znalazł się dzięki temu obok zamkniętej, lecz nie strzeżonej furtki przy świątyni Sadyty. Wspiął się na nią i dostał na znajomy dziedziniec z sadzawką z liliami. W tym samym miejscu Afriandra wyznaczyła mu pierwsze spotkanie. Wówczas dziedziniec zalany był blaskiem księżycy, lecz obecnie panowały na nim zupełne ciemności.

Tu właśnie zaczęli się jego nieprzyjaciele.

– Hej, do mnie! – rozległ się z drugiej strony sadzawki odbijający się echem ostry głos. – To cudzoziemiec!

Chociaż Conan zerwał się do biegu, natychmiast zorientował się, że niewidoczny przeciwnik zagraża mu drogę. Był to wysoki, harmonijnie zbudowany mężczyzna bez zbroi, w sandałach i lekkiej tunice świątynnego wojownika.

– Zatrzymaj się i czekaj na słuszną karę!

Przeciwnik uniemożliwił Conanowi okrażenie sadzawki. W jego przenikliwym, młodzieńczym głosie brzmiała ta sama nuta żołdeckiej arogancji, którą Conan tak bezgranicznie pogardzał u Zajusa.

– Boisz się sprawiedliwości bogini? – zawołał przeciwnik, potrząsając drugim, doskonale wyostrzonym jak u wszystkich szermierzy Sadyty mieczem.

Cymmerianin błyskawicznie wyszarpnął zza pasa swój ilbarsyjski nóż.

– Boję się tylko umrzeć nie pomszczony! – rzucił gniewnie, wykonał unik i skoczył naprzód, by wyminąć nieprzyjaciela. – Jeżeli wasza sprawiedliwość oznacza walkę wielu z jednym człowiekiem, wolałbym, żebyście wstrzymali się z tym do rana.

Zdołał zrobić kilka kroków w stronę bramki w murze dziedzińca, nim jednak zdążył tam dotrzeć, wypadło z niej dwóch następnych wojowników z wyciągniętymi mieczami. Od strony drugiej furtki po prawej stronie również rozlegał się tupot

stóp oraz okrzyki: „Chwytać go!” i „Stać!”

Conan zawrócił z warknięciem i ruszył do ataku na pierwszego prześladowcę. Uderzył nisko nożem, chcąc wyłączyć go z walki, zanim nadbiegną jego towarzysze.

Świątynny wojownik udowodnił klasę swojego wykształcenia. Mimo iż był rozpedzony, zdążył zręcznie odbić podstępne cięcie Cymmerianina. Nastąpiło zderzenie. Wzrost i waga barbarzyńcy sprawiły, że drobniejszy przeciwnik zatoczył się nad fontannę, potknął o jej brzeg i z pluskiem wpadł w sięgająca pasa wodę.

Conan nie miał zamiaru skakać za szermierzem do zarośniętej liliami sadzawki. Zaśmiał się dziko, odwrócił się w stronę pozostałych prześladowców i zaczął cofać się powoli w stronę kąta, utworzonego przez mury pałacu i świątyni. Gdy się tam znalazł, sprężył się jak osaczona pantera. Otaczało go pięciu ludzi z obnażonymi mieczami, wszyscy w strojach świątynnych wojowników. Jeden z nich ociekał wodą i wyciskał skraj swojej tuniki.

– No, spróbujcie się do mnie dobrać! – warknął Conan. – Który pragnie pierwszy spotkać się z Jedyką Prawdziwą Boginią? Przecież jesteście jej sługami, czyż nie?!

– Owszem! – odpowiedział ociekający wodą szermierz. – Jestem Ismir, pierwszy wśród adeptów! Biada każdemu, który kala imię Sadyty!

– Proszę, królowa Regula wysłała garstkę nowicjuszy, by dokonała tego, z czym nie mógł lub nie chciał sobie poradzić świętej pamięci bufon Zajus! Chodźcie w takim razie, sprawdzimy, kto lepiej włada mieczem!

– Królowa? Przyszliśmy tutaj bez jej wiedzy – rzekł niski, zadzierzysty wojownik. – Jesteśmy uczniami Zajusa, jak wszyscy godni obrońcy Sadyty. Królowa zbłądziła, zwiedziona przez chytrych bluźnierców twojego pokroju, ale zrobimy wszystko, by temu zaradzić!

– Dosyć, Hassad! – powiedział przemoczony Ismir. – Nie musimy tłumaczyć się przed tym cudzoziemskim śmieciem! Wystarczy, że go zabijemy! Mnie należy się ten zaszczyt, wy nie dopuście tylko, by wymknął się z tego rogu...

– Zaczekaj! – powstrzymał go Conan. – Więc nie jesteście tu z rozkazu królowej? To znaczy, że działacie na własną rękę?

– Istotnie. Zawiazaliśmy przymierze... możesz je nawet nazwać spiskiem. – Przywódca wojowników niecierpliwie potrząsał moką głową. – Nie jesteśmy heretykami! Zachowaliśmy wierność Jedynej Prawdziwej Bogini! Przysięgliśmy, że ocalimy ją przed zhańbieniem przez obcych nieczystych bogów, takich jak ten, którego odrażającą podobiznę przywiozłeś do Qjary!

– Myślisz o Wotancie... – rzekł z zadumą Cymmerianin. Nie opuszczał noża, lecz miał mniejszą niż przed paroma chwilami ochotę na rozlew krwi. – Jesteście buntownikami, strzeżecie czystości swojej wiary, a mnie obciążacie winą, za to, co się stało. Przecież nie wierzę w Wotantę – byłem tylko przewodnikiem Khumanosa.

– To ty pokazałeś mu drogę do Qjary, czyż nie? – rzekł oskarżycielsko Hassad, potrząsając mieczem. – Ty wkradłeś się w łaski królowej i wyprosiłeś ponowne wpuszczenie do miasta, mimo grzechu herezji przeciw Sadicie i skalania śmierci Zajusa!

– Co gorsza, próbujesz zwieść naszą księżniczkę! – przyłączył się do niego ociekający wodą przywódca spisku. – Chcesz zbuntować ją przeciw rodzicom i za jej pomocą bez przeszkód szkodzić naszemu miastu! Zakradłeś się nawet nocą do pałacu, by uwieść ją, Sadicie jednej wiadomo jakimi kłamstwami czy truciznami! – Potrząsając wzniesionym mieczem, raczył swoich towarzyszy górnolotną retoryką, godną samego Zajusa. Pozostali wojownicy w pełni akceptowali słowa przywódcy. – Zdrada po zdradzie, zbrodnia po zbrodni! – perorował Ismir. – Wszystko to z ręki nieczystego cudzoziemca, odrażającego, godnego pogardy wyrzutka!

– Dość! – warknął Conan z gwałtownością wystarczającą, by uciszyć zapaleńca. – I mnie, i waszej księżniczce nie podoba się Sark ani jego bogowie. Nasze poglądy są bardziej podobne, niż wam się wydaje. Macie wystarczające powody, by chcieć wyrzucić z miasta Khumanosa razem z jego posągiem. Byłbym skłonny wam pomóc...

– Kłamstwa! Same kłamstwa! – zawołał histerycznie Hassad. – Stara się nas omamić, jak zwiódł z drogi oddania bogini następczynię królewskiego rodu! Powiadam, śmierć mu...

– Przestańcie, na wszystkie diabły i demony Ziemi i siedmiu piekielnych kręgów! – Głos i wygląd Conana ponownie okazały się dość przerażające, by przerwać potok gniewnych słów. – Jeżeli naprawdę chcecie mnie zabić, powtarzam,

spróbujcie tylko! Ty i Ismir, doskonale się do tego nadajesz! Licz się jednak z tym, że sam najpierw znajdziesz się przed swoją boginią! – Cymmerianin zaśmiał się drapieźnie; jego białe zęby zabłysły w półmroku nad poznaczonym rdzawymi plamami ostrzem noża. – Skoro nie zdołał mnie zabić, wasz mistrz, potraktujcie to jako znak ze strony Sady, że mówię do rzeczy! Porozmawiajcie ze mną, zanim znów się na mnie rzucicie! Niech wasza bogini sprawi, by ten pojedynek był sprawiedliwszy od poprzedniego!

– Cóż, brzmi to rozsądnie.

– Ismir, nie trać czasu na pogawędki z tym dzikusiem! Porachuj się z nim! Dwaj walczący starli się ze sobą. W ciemnościach rozległ się szcęk broni.

15.

KONSEKRACJA

Nim na wschodzie pojawił się zwiastujący świt topazowy blask, Conan był już na nogach w dzielnicy karawan. Był otępiały od braku snu, lecz w ponurym milczeniu uporządził swojego wielbłąda. W czasie walki poprzedniej nocy nie odniósł żadnych ran.

Czekał na niego arcykapłan Khumanos wraz z najmniej chorymi i wyczerpanymi niewolnikami. Wkrótce dołączył do nich mały oddział, składający się z członków qjarańskiej straży miejskiej i ochotników. Niektórzy żołnierze mieli konie, reszta szła pieszo.

Mieszana grupa przekroczyła bramy miasta, zatrzymała się na brzegu rzeki, by napoić wierzchowce i napełnić bukłaki, po czym ruszyła na południowy wschód w głąb pustyni. Posuwano się okolonym na poły przysypanymi białymi kośćmi pradawnym szlakiem karawan.

W ten sposób rozpoczęły się poszukiwania dwóch pozostałych orszaków transportujących segmenty posagu, wysłanych na północ przez Anaksymandra. Nie wiadomo dokładnie, gdzie znajdują się grupy pielgrzymów, a nawet czy w ogóle udało im się utrzymać przy życiu. Khumanos od wielu dni nie miał od nich żadnych wieści. Kapłan oświadczył Conanowi, iż liczy przynajmniej na odnalezienie odlewów. Bandyty czy okradający martwych wędrowców koczownicy mogli w najgorszym razie odłupać niewielką część cennego metalu.

Conan odnosił się do tego z większym powątpiewaniem. Wiedział, jak łatwo nawet tak okazałe obiekty jak Kamienny Okręt czy duże grupy ludzi w rodzaju wyprawy Pronatosa mogły zaginać na niezmiernym, jałowym pustkowiu. Mimo to sumiennie przystąpił do systematycznego przeszukiwania pustyni na czele grupy jeźdźców na koniach i wielbłądach. Rozciągnął ich w tyralierę, zaś dodatkowo rozsyłał szperaczy, by wyszukiwali źródła wody. Pilnował, by posuwający się pieszo pozostali członkowie orszaku nie oddalali się od jeźdźców na zbyt dużą odległość.

Za oś poszukiwań przyjął drogę pokonaną przez Khumanosa. Cymmerianin posługiwał się również wiekową, niezbyt wiarygodną mapą wyrysowaną na przetartym w wielu miejscach pergaminie. Była ona trudna do odcyfrowania ze względu na zniszczenie i częste wystawianie na promienie słońca. Conan samodzielnie zapuszczał się w najdziksze wąwozy i za najbardziej odludne wzgórza. Często całymi dniami wędrował po pustych odnogach dolin i pozostawiając wielbłąda, wspinał się na wyniosłości, z których można było rozejrzeć się po wielkich połaciach pustyni. Po pewnym czasie grzbiety jego dłoni poczerniały i pokryły się pęcherzami tak samo jak ręce Khumanosa. Nabrał z konieczności zwyczaju nieustannego mrużenia oczu i zaciskania ust przed miecionym przez gorący, wysuszający wiatr pyłem.

Ósmego dnia od wyruszenia z Qjary monotonnie pofalowana pustynia wciąż roztaczała się wokół wyprawy ratunkowej jak nadpalony, wyblakły, nie kończący się cmentarny całun.

Tego dnia natknęli się na grupę, transportującą drugi fragment posagu. Wypatrzył ją Conan, wdrapawszy się na wierzchołek nieustannie omiatanej palącym wiatrem skalnej wieży. Posuwający się wąwozem o czerwonych zboczach orszak wlokących ze sobą podłużny ładunek niewolników przypominał z oddali gasienicę. Nim grupa szperaczy dotarła do nich, zdołali przeciągnąć platformę z odlewem zaledwie o tysiąc kroków w głąb wyschniętej rzecznej doliny. Nawet obietnica rychłego przybycia pomocników z zapasami wody i żywności okazała się niewystarczająca, by pielgrzymi zaprzestali swego trudu. Po króciutkim odpoczynku podjęli na nowo w żalosnym tempie pchanie wozu przez sypki,

stawiający opór piach.

Conan uznał ich nieugięty wysiłek za dowód szaleństwa. Nie zamierzał tracić sił, by im pomóc. Stan zdrowia tej grupy niewolników był jeszcze gorszy niż ich towarzyszy z orszaku Khumanosa: cierpieli od takich samych wysypek, owrzodzeń, im również wypadały zęby i włosy. Pragnienie i wycieńczenie dopełniały miary ich nieszczęścia.

Cymmerianin doradził nieprzystępnemu, nieobecnemu duchem kapłanowi, który przewodził orszakowi, oraz przybyłemu później Khumanosowi, by porzucono masywny odlew. Conan dowodził, iż w imię miłosierdzia i zwykłej przyzwoitości należy wycieńczonych robotników dowieźć na noszach w ojczyste strony i pozwolić im wrócić do zdrowia. Argumentował, że są godni, by uznać ich za żywe pomniki potęgi i współczucia ich boga, Wotanty. Obydwaj świątobliwi mężowie pozostali jednak obojętni na słowa Cymmerianina. W ich szklistych, martwych oczach płonął bezrozumny fanatyzm. Co więcej, sami niewolnicy dawali się ochoczo zaprząć na nowo do wleczenia wozu z monstrualną rzeźbą.

Conan wzruszył ramionami, rezygnując z dalszego przekonywania. Z pomocą posiłków z Qjary podjęto transport odlewu. Wóz nadal ciągnęli tylko ludzie, bowiem konie i wielbłądy nie pozwalały zaprząć się do olbrzymiego pojazdu.

Orszak z drugim z segmentów posągu kontynuował wędrówkę na północ, zaś Cymmerianin i jego towarzysze podjęli swe poszukiwania na nowo.

Dwa dni później jeden ze szperaczy odnalazł grupę z trzecim fragmentem w szerokiej, wyschniętej dolinie, stanowiącej najniższą przełęcz w ciągnącym się na wschód paśmie gór. Trzy z sześciu kół wozu popękały; a jego ludzki zaprzęg znajdował się w opłakanym stanie. Niewolnicy z tej grupy byli najbardziej schorowani i wyniszczeni; byli w stanie jedynie bezradnie kryć się przed palącym słońcem w cieniu rzeźby. Kilku z nich skonało już z głodu i pragnienia. Mimo twardej szkoły życia, jaką przeszedł, Conan nie odważył się pytać, czy doszło już wśród nich do ludożerstwa.

Ich przywódca, młody, śniady adept świątyni Wotanty, stwierdził, że dwukrotnie wypuszczał się naprzód w poszukiwaniu wody. Gdy nie znajdował jej mimo całodzienną wędrówkę, wracał solidarnie do swoich cierpiących towarzyszy. W chwili przybycia pomocy, trzymał na kolanach głowę kobiety, dla której woda dotarła za późno. Wejrząwszy w wychudłą, pobrużdżoną od wielomilowej wędrówki twarz kapłana, Conan dojrzał w jego opustoszałych oczach nie tylko odbicie niewymownych trudów i cierpień, lecz również przygaszone przez pragnienie zwyczajne łyż współczucia.

Młody kapłan był pierwszym z wyznawców Wotanty, zdolnym do normalnych ludzkich uczuć. Mimo to i on nie oparł się spokojnej, niepowstrzymanej woli Khumanosa. Arcykapłan zabrał swego adepta na stronę, przyklęknął przed nim, szepcząc napomnienia lub modlitwę i wykonał kilka ruchów zawieszonym na rzemieniu na szyi mistycznym amuletem. Od tej chwili młody kapłan stał się milczący i obojętny. Bez protestu przyjął rozkaz Khumanosa, by ruszać z posągiem dalej.

Arcykapłan z iście szatańską domyślnością nakazał zabrać z Qjary wóz, na którym przywieziono pierwszy segment rzeźby, a który na początku poszukiwań wykorzystywano do wożenia zapasów. Obecnie odjęto zeń dwa koła, by wymienić je w unieruchomionym pojeździe, a trzecie naprawiono, używając okuć z pary zepsutych. Następnego dnia procesja ruszyła na nowo. Chociaż zdawałoby się to niemożliwe, wycieńczeni niewolnicy gorliwie pomagali w pchaniu wozu z gigantycznym odlewem. Conan miał wrażenie, że nieszczęśni nędzarze doznawali wręcz nieludzkiego przypływu sił życiowych, gdy wpierali kościste barki w dźwignie i koła.

W niecałe dwa tygodnie po wyruszeniu, Conan wraz z resztą wyprawy wrócił do Qjary. Cymmerianin nie był pewny, czy w istocie poszukiwania opóźnionych orszaków stanowiły akt miłosierdzia. Zastanawiał się, czy nie byłoby większą łaską pozwolić biednym, chorym wędrowcom umrzeć na pustyni, niż przedłużać ich męczarnię pod nadzorem diabolicznego Khumanosa. Kapłani i wyznawcy nie zdradzali jednak najmniejszego wahania, czy choćby śladu braku wiary, zaś ludność miasta powitała ich z zadowoleniem, ciesząc się z góry już w trakcie przygotowań na ceremonialny wjazd posągu do Qjary.

Według starannie zaplanowanego przez Khumanosa rytuału, części posągu miały zostać wwiezione do miasta równocześnie przez trzy różne bramy. Arcykapłan najwidoczniej nie uważał dzielnic karawan za część Qjary, lecz za podgrodzie czy też za zewnętrzne szańce. Odpowiadało to mieszkańcom; w mieście były bowiem tylko trzy bramy wystarczająco duże, by przepuścić masywne święte odlewy.

Odrębne procesje miały towarzyszyć im podczas transportu szerokimi alejami na położoną w środku miasta Agorę. Tam po raz pierwszy miano złożyć posąg w całości i poświęcić go wobec zebranego tłumu. Później, zgodnie z zarządzeniem królowej Reguli, miała się odbyć ceremonia zaślubin bogini Sadyty i nie znanego jeszcze w Qjarze Wotanty. Świątynni teolodzy dołożyli starań, by przedstawić cudzoziemskiego boga jako podobnego z wyglądu i charakteru do zmarłego bohatera Zajusa; sugerowano, iż jest to jego nowe, nieśmiertelne wcielenie. Edykt Reguli stwierdzał, iż od tej pory po wsze czasy para bogów będzie w Qjarze czczona jednakowo.

Było to zadziwiające ustępstwo na rzecz obcego władcy i kościoła obcego kraju, lecz Conan zakładał, że Semiarchos i Regula nie postąpiłoby tak, gdyby nie byli przekonani, iż dzięki temu umocnią pozycję swego rodu i zaskarbia sobie poczesne miejsce w historii swojego miasta – państwa. Byli zapewne przekonani, że Sark leży na tyle daleko na południu, iż mało prawdopodobne jest, by Anaksymander mógł odegrać znaczącą rolę w dziejach Qjary. Poza tym przyjęcie wiary w boga – mężczyznę Wotantę niemal gwarantowało w niedługim czasie zmianę dotychczasowego stosunku sił między tronem i świątynią – na korzyść wzmocnionej władzy świeckiej.

Conan podejrzewał, że może to oznaczać rychły kres potęgi Jedynej Prawdziwej Bogini – i tego, co pociągało cymmeriańskiego obieżyświata w obyczajach Qjary. Liczył jednak, że buntownicza frakcja, z której przywódczynią zawarł intymną znajomość, spróbuje przeciwstawić się tym zmianom. Nie był pewny, czy opozycjoniści zdołali odpowiednio rozpowszechnić podczas jego nieobecności prawdę o intencjach Anaksymandra; nie wiedział, ilu zręcznie posługujących się bronią i językiem sprzymierzeńców zdołali sobie zapewnić. On sam był po ich stronie, lecz dano mu niedwuznacznie do zrozumienia, by jako cudzoziemiec trzymał się z daleka od wewnętrznych sporów miasta.

Na razie nic nie wskazywało, by w Qjarze istniała jakaś opozycja. Mieszkańcy zdawali się być w radosnych, świątecznych nastrojach, odpowiednich do wesela, nie zaś zbrojnej walki. Trzy segmenty posągu w białych całunach ustawiono wkrótce pionowo na wzmocnionych rydwanach bojowych. Można było nimi sterować przy pomocy długich drewnianych dyszli. Oglądane z podziwem i czcią przez mieszkańców, części wyniosłego metalowego idola czekały przed trzema miejskimi bramami na wwieszenie do Qjary.

Conan zastanawiał się, co mają znaczyć tak wyszukane przygotowania. Jeżeli, podobnie jak w przypadku większości obrzędów, tkwił w tym jakiś praktyczny cel, nie był on bynajmniej oczywisty. Oczywiście posąg był zbyt duży, by przewieźć go w całości – lecz dlaczego przetransportowano go przez pustynię odmiennymi trasami i wwożono do miasta z trzech różnych stron? Poza tym, po co odlano tak wielką rzeźbę? W istocie, po co odlewano ją w ogóle? Conan wiedział z doświadczenia, że najszczerza wiara przejawia się nie w rzeźbionych idolach, lecz sercach i umysłach żywych ludzi.

Bez wątpienia w procedurze otaczającej wjazd posągu do Qjary i zachowywaniu do ostatniej chwili jego segmentów oddzielnie krył się jakiś istotny cel. Rola ceremonii była oczywista: otaczająca przykryte całunami odlewy tajemnica oraz wspaniała procesja przez wszystkie dzielnice miasta miały przyciągnąć tłumy na kulminacyjny rytuał odsłonięcia części posągu i ich połączenia. Khumanos dowiódł tym swej przebiegłości. Conan zastanawiał się, czy arcykapłan planował w sekrecie coś wyjątkowego na chwilę ustawienia rzeźby i jej poświęcenia. Do tej pory Cymmerianin słyszał jedynie niejasne wzmianki o potędze Wotanty. Czyżby tajemniczy bóg istotnie miał zamiar zstąpić między wiernych, a przynajmniej dać niezbity dowód swej mocy?

Po dotarciu utrudzonego orszaku z trzecim odlewem pod bramy Qjary Conan nie miał czasu na zbieranie plotek ani porozumienie się z przyjaciółmi. Ceremonię odsłonięcia posągu wyznaczono już na następny dzień. Ponieważ gońcy wyprzedzili grupę pozostałych przy życiu niewolników, przygotowania ruszyły pełną parą. Qjara w pośpiechu szlifowała ostatnie szczegóły.

Okazało się, że Conan nie może dostać się przed oblicze księżniczki Afriandry – a nawet potajemnie zakraść się nocą do jej komnat. Powiadano, iż skryła się w odosobnieniu z młodszymi kapłankami w sanktuarium świątyni Sadyty, by dokonać rytualnego oczyszczenia ciała i ducha przed odegraniem roli druhny Jedynej Prawdziwej Bogini.

Nim Conan skończył doglądać chorych i wycieńczonych niedobitków wędrowki przez pustynię, oporządził swego utrudzonego wielbłąda i wytrzepał piach z

ubrania i ekwipunku, zaczęło się zmierzchać. Ledwie zdążył uzgodnić pewne drobne naprawy ze zbrojmistrzem. Cały czas rozmyślał o niespodziance, którą planował na dzień święta. Nie nękał Khumanosa prośbą o zapłatę, ponieważ był pewny, iż kapłan uzna służbę Cymmerianina za zakończoną dopiero po wwiezieniu segmentów posągu przez bramy Qjary. Cymmerianin spożył sutą, hojnie zakrapianą wieczerzę w karawanseraju.

Jego snu tej nocy żadną miarą nie można było nazwać błogim.

Następnego dnia pod niemiłosiernie palącym porannym słońcem ciężko obładowane rydwany ruszyły z hałasem przez ulice Qjary. W asyście tłumów radosnych, rozśpiewanych mieszkańców jechały tempem wolnego marszu w stronę Agory i świątynnego kompleksu. Segmenty posągu na skrzypiących pod ich ciężarem wozach górowały znacznie nad głowami wiernych, a nawet starszymi, osiadającymi z wiekiem domami z pobielanych glinianych cegieł. Conan towarzyszył Khumanosowi w procesji przez Bramę Kwietną, dlatego też pospolite budowle zostały szybko za nimi. Przed nimi roztoczyły się koszary straży, sady i strojne gmachy dzielnicy świątyni i pałaców.

Jak zwykle na Południu, wzrost Conana sprawiał, iż górował nad tłumem. Odziany w luźny płaszcz Cymmerianin wyglądał imponująco u boku czarnoskórego, wyglądającego jak trup kapłana, nadzorującego transport odlewów.

Ponieważ części posągu nadal były przykryte starymi, wyplamionymi wskutek wędrówki przez pustkowia płótnami oraz nowymi, przybranymi lamowaniem całunami, można było się domyślać jedynie ich ogólnych zarysów. Conan stwierdził, iż całość rzeźby raczej nie przedstawia ludzkiej postaci, bowiem każdy z odlewów był na to zbyt szeroki u góry – chyba że Wotantę przedstawiono dzierżącego włócznie i tarczę, mocującego się z wężem lub trzymającego inny równie duży atrybut. Wyraźne podobieństwo odlewów kazało jednak domyślać się trójstronnej symetrii rzeźby, nie odpowiadającej podobnie człowieka – chyba że bóg był trójreęczny, na poły ludzkim monstrum o trzech obliczach.

Taka ewentualność najwyraźniej nie przeszkadzała wiernym. Jak dotąd, Conan nie dosłyszał bluźnierczego wyrzekania na domniemaną szpetność posągu. Qjaranie chętnie podbiegali do rydwanu i pomagali pchać go na niedługich odcinkach, tak jakby dotknięcie cedrowego dyszla czy okutego stałą koła przynosiło szczęście. Dzięki dobrowolnej pomocy rzeszy ludzi masywny pojazd toczył się jak gdyby z własnej woli, bez potrzeby wyznaczających tempo pracy okrzyków nadzorców.

Pchający rydwany pielgrzymi – ci, którzy byli jeszcze w stanie utrzymać się na nogach – obdarzani byli przez tłum nieustannymi dowodami szacunku. Nawet teraz z zapalem napierali na sięgające im do barków koła i zaciskali pokryte wrzodami dłonie na poręczach kołyszących się rydwanów, pragnąc dotrzeć do końca swej wyniszczającej wędrówki. Było jednak oczywiste, iż rydwany toczą się głównie dzięki sile zdrowych, mięśniarnych wartowników i rolników, wyznaczonych do tej pracy przez kapłanki Sadyty.

Conan zauważył, że członkowie pierwszego orszaku, który dotarł do Qjary, nie wrócili do zdrowia podczas jego nieobecności. Właściwie to wyglądali jeszcze gorzej, jak gdyby trawiła ich jakaś wyniszczająca choroba. Pielgrzymi otrzymali od kapłanek długie, lamowane szale z takiego samego płótna, co spowijające posąg całuny. Płótno miłosiernie zasłaniało pokryte odstręczającymi plamami, wyłysiałe głowy i najprzykrzejsze dla oka zeszpecenia twarzy i kończyn. Był to nie tylko dowód delikatności kobiet, lecz również sposób na upiększenie parady.

Mimo to podczas procesji Conana trapiły niepokojące myśli. W ciągu ostatnich tygodni miał do czynienia z trzema rozproszonymi po pustyni grupami niewolników. Podczas wysiłków i trudów, związanych z niesieniem im pomocy, nie zadawał sobie pytania, dlaczego wszystkich dotknęła ta sama choroba. Należałoby spodziewać się, że wskutek niejednakowej długości wędrówki różnymi szlakami przez okolice o odmiennym podłożu, różnice w dolegliwościach i stanie pielgrzymów powinny być wyraźniejsze.

Można było wykluczyć niezdrową wodę jako przyczynę zarazy. Pożywienie także, ponieważ wszystkie trzy grupy zaopatrywały się oddzielnie w napotkanych po drodze samotnych gospodarstwach i oazach. Co więcej, jeżeli plaga była dziedziczna, powinna dotknąć albo szartumskich niewolników, albo sarkańskich nadzorców, nie zaś obie grupy. Conan nie mógł pojąć, jakaż niesamowita choroba mogła dotknąć wyłącznie pielgrzymów w świętej wyprawie, i to wszystkich w tym samym stopniu – może z wyjątkiem Khumanosa i jego dwóch pomocników.

Gdy tak maszerował u boku Khumanosa dogląającego transportu segmentu posągu,

wyjaśnienie poraziło go z mocą lodowatej kąpieli. Jedynym, co trzy grupy miały wspólnego ze sobą, była sama rzeźba. Wszystkie części odlano z tego samego ciepłego w dotyku, niesamowicie świeżącego metalu. Kapłani trzymali się od niego z daleka, lecz niewolnicy w pocie czoła pchali wozy z segmentami posągu za dnia i spali tuż przy nich w nocy. Nieszczęśnicy nie oddalali się od swojego boga nawet w Qjarze, gdy powinni byli dochodzić do siebie po znoej wędrowce. Conan zdał sobie sprawę, że zabija ich właśnie święty wizerunek, któremu byli oddani całym sercem.

Myśli te poraziły Cymmerianina, gdy części posągu wtaczały się na Agorę. Natychmiast jednak rozproszyły się pod nawałą nowych wrażeń. Na placu zebrała się bodajże cała ludność miasta – było nawet bardziej tłoczno niż podczas pojedynku barbarzyńcy z Zajusem. Alabastrowy posąg Jedynej Prawdziwej Bogini wystawiono przed szeroki portyk świątyni. Rzeźba nieśmiertelnej bogini lśniła w południowym słońcu, dzierżąc wzniesioną ku niebiosom połyskującą włócznię. Oblicze Sadyty zwrócone było ku środkowi wielkiego dziedzińca, na którym lada moment miał zostać ustawiony posąg Wotanty.

Obok rzeźby bogini pod baldachimem w jaskrawych barwach stała królewska rodzina – oczekująca przybycia pana młodego grupa gości weselnych. Odziani w wielobarwne stroje król Semiarchos i królowa Regula roztaczali wokół siebie aureę dostojnej godności. U ich boku młoda Afriandra przewodziła orszakowi kapłanek w identycznych jak ona strojach – delikatnych, koronkowych sukniach druchen, przystrojonych girlandami bujnego kwiecia z pałacowych ogrodów. Po obydwóch stronach królewskiej świty ustawili się świątynni wojownicy w paradnych strojach. Jak zwykle, dumnie wyprostowani szermierze nie nosili pancerzy, lecz przy ich pasach znajdowały się wypolerowane miecze.

Afriandra nie wydała się Conanowi przerażona – ani nawet zaniepokojona czy zdenerwowana. Księżniczka wyglądała na w pełni pogodzoną z losem. Barbarzyńca rozpoznał w orszaku dwóch czy trzech wojowników, którzy zaatakowali go na pałacowym dziedzińcu, lecz sztywno wyprostowani szermierze najwyraźniej nie zamierzali protestować przeciwko rozpoczynającemu się obrzędowi. Na widok ich obojętności Conan zastanowił się przez moment, czy przypadkiem niezwykła moc przekonywania Khumanosa nie sięgnęła nawet na qjarański dwór.

Rydwan z odlewem wtoczył się na wyblakłe od słońca kamienie Agory szpalerem pomiędzy milczącym na znak szacunku tłumem. Pojazd przystanął – zapewne dlatego, iż na plac nie dotarły jeszcze dwa pozostałe. Po chwili nad głowami widzów pojawił się jednak kształt drugiego odlewu. Spowity w płótna, nieforemny kształt przypominał Conanowi wywleczoną na światło dnia źle zachowaną mumię. Wylewająca się z wylotu Traktu Kupieckiego ciżba świadczyła, że lada chwila należało spodziewać się pojawienia trzeciego odlewu ze strony Starej Bramy.

Khumanos wybrał tę chwilę na skierowanie się ku pomnikowi Sadyty, gdzie oczekiwała monarsza para. Conan wyprzedził kapłana, torując mu drogę przez rojny tłum. Cymmerianin przyjął, że za obiecaną zapłatę powinien strzec arcykapłana i jego własności wewnątrz murów Qjary – lecz jeśli Khumanos istotnie potrzebował ochrony, powinien wiedzieć, że Conan także potrafił przestrzegać litery zawartej umowy. Barbarzyńcy zależało tylko na tym, by jego pracodawca pozostał przy życiu wystarczająco długo, by mu zapłacić.

Obydwaj wkroczyli na opróżnioną przez strażę świątynne z gapiów część placu przed posągiem i królewskim pawilonem. Khumanos powitał panującą parę niedbałym skinieniem głowy. Gdy tylko się zatrzymał, królowa Regula rozpoczęła przemowę:

– Czcigodny, dostojny gościu, Khumanosie z Sarku! Radujemy się z błogosławieństw, których jesteś zwiastunem: udziału we wspaniałej wierze Południa, którego oznaką jest ten majestatyczny posąg, oraz zaślubin naszej samotnej do tej pory bogini! Oby małżonek wspomógł Sadytę w mądrych, sprawiedliwych rządach! Wiedz, arcykapłanie, że żaden dar nie pozostanie nie odwzajemniony! Przygotowujemy nowy posąg bogini. Zawieziemy go przez pustynię do Sarku, by stał się w waszym królestwie symbolem wiecznej unii naszych miast...

– Doskonale.

Khumanos wysłuchał nieuważnie początku oracji Reguli, lecz nie zamierzał czekać na jej zakończenie. Przeszedł przez pustą część placu i uniósł dłoń, by zwrócić uwagę otaczających części posągu Wotanty grup ludzi. Drugi segment rzeźby właśnie znalazł się przed kolumnadą świątyni Sadyty.

– Szybciej! – zawołał arcykapłan.

Conan zorientował się, że nigdzie nie widać dwóch adeptów, którzy pomagali w transporcie fragmentów posągu do Qjary. Pchania rydwanów pilnowało dwóch

sarkańskich oficerów. Żołnierze usłyszeli rozkaz Khumanosa i ponagłającymi gestami oraz komendami zmusili swych podwładnych do szybszego wtaczania części posągu na plac.

Arcykapłanka Regula była wyraźnie zdegustowana niedyplomatycznym zachowaniem Khumanosa. Zmuszona do przerwania przemowy w pół zdania, utkwiała wzrok w trzech kawałkach pomnika, zmierzających ku środkowi Agory.

– Nie zapomnijcie o całunach i sznurach – mruknął Conan do Khumanosa.

Cymmerianina zżerała ciekawość, jak wygląda posąg, lecz nawet on uznał aroganckie, władcze zachowanie arcykapłana za niezwykle.

Nie zwracając uwagi na barbarzyńcę, czarnoskóry kapłan ponaglił gestami ludzi ciągnących rydwan. Usłuchano go, chociaż niektórzy z qjarańskich ochotników zaczęli cofać się od wozu z olbrzymim ciężarem i ocierać czoła, jak gdyby znajdowali się na wprost buchającego żarem pieca. Wszystkie trzy rydwany z odlewami znalazły się na placu i powoli potoczyły się w stronę niewidzialnego punktu na przecięciu ich tras.

– Trzeba będzie odciąć podtrzymujące płótno sznury przed szepieniem odlewów – przypomniał raz jeszcze Khumanosowi Conan. Położył dłoń na rękojeści noża pod płaszczem, gotów osobiście podjąć się tego zadania. – Chcesz przecież najpierw je odsłonić, prawda?

– Nie ma potrzeby – odparł kapłan, nie fatygując się nawet spojrzeć na Cymmerianina. – Patrz!

Zaskoczony pełnym emocji tonem kapłana, Conan odwrócił się w stronę najbliższego rydwanu. Od paru chwil Cymmerianin czuł w nozdrzach ulotną woń spalenizny. Przyjrawszy się posągowi, zrozumiał, jaka jest tego przyczyna. Doskonałe białe płótno miejscami poczerniało, ze zwęglonej tkaniny unosiły się niknące w blasku dnia smużki dymu. Pod wpływem żaruchałun rozłaził się, ukazując zetlałe, zrudziałe płótno pod spodem.

Nagle z poszumem zasysanego powietrza tkanina stanęła w płomieniach. Górujący nad rydwanem odlew zamienił się w słup ognia. Łapczywy ogień i kłęby dymu pochłonęły całun i podtrzymujące go sznury. Po przeciwnych stronach Agory to samo stało się z dwoma pozostałymi segmentami posągu. Bezgłośnym eksplozjom towarzyszył szmer zdumienia zaskoczonego tłumu.

Cymmerianin sądził, że nagłe płomienie to rezultat zręcznego czaru lub alchemicznej sztuczki. Był przekonany, iż takim właśnie pokazem Khumanos chciał dowieść ciżbie potęgi swego boga. Ogień nie zaszkodził pchającym rydwany ludziom ani nawet podtrzymującym fragmenty rzeźby linom.

Conan poczuł niepokój na widok kształtu, wyłaniającego się spod pofałdowanych płatów zwęglonego płótna, odpadających od najbliższego odlewu. Wyrzeźbiona postać w ogóle nie przypominała sylwetki ludzkiej; jej kształty przywodziły na myśl raczej roślinę.

Segment posągu odłano wraz z szeroką, klinową podstawą o dwóch prostych bokach w miejscu połączenia z dwoma pozostałymi fragmentami. Bogata w detale, starannie dopracowana część rzeźby pozwalała się domyślać ogólnego kształtu całości. Nad okrągłą podstawą, przypominającą pień wiekowego dębu, pięła się pokryta płytkim rowkowaniem prosta, potężna łodyga. Korona płożyla się bez gracji właściwej zwykłym wyobrażeniom drzew; krótkie, masywne konary przypominały raczej przystrzyżony wiąz. Dwie grube, szczątkowe gałęzie wieńczyły kuliste owoce wielkości arbuza. Co dziwniejsze, chociaż na kulach nie wryto oczu ani innych fragmentów twarzy, zaopatrzone je w jednoznaczna podobiznę rozwartych szeroko paszcz. Budzące odrazę, okolone ostrymi kłami otwory zdawały się być gotowe by warczyć i kąsać.

Gdy opadły ostatnie zetlałe szczątki płótna, widok fragmentu rzeźby sprawił, że wśród wypełniającego Agorę tłumu zapanowała cisza. Posąg z pewnością nie był wizerunkiem bohaterskiego boga, jakiego spodziewali się Qjaranie. Świadczyły o tym dobitnie ich pełne powątpiewania szept. Pozostałe dwa segmenty posągu po przeciwnych stronach placu były podobne, jeśli nie identyczne.

Kształt obnażonych odlewów poruszył tkwiące głęboko w duszy Conana mroczne struny lęku i odrazy. Przez głowę przemykały mu nie dające się do końca zamknąć w słowach myśli i odczucia. Sylwetka posągu wydała mu się znajoma... Przypomniał sobie płaskorzeźbę, wrytą na samotnym skalnym obelisku w środku Yb, Grodu Na Pustkowie. Ona również przedstawiała niezwykle drzewo z wyszczerzonymi paszczami...

Cymmerianin doznał wrażenia, jak gdyby już kiedyś znalazł się w podobnej sytuacji. Szeroka połącz Agory przypominała nieco zrównane z ziemią ruiny Tal'ib

– oczywiście, z wyjątkiem wypełniającego plac tłumu i otaczających go, dumnie pnących się w górę gmachów. Przed oczyma stanął Conanowi fragment murów Yb z ludzkimi sylwetkami na wewnętrznej powierzchni. Postaciami mężczyzn, kobiet i dzieci, uwiecznionymi w kamieniu, jak gdyby były wypalonymi w skale cieniami...

Conan przypomniał sobie samotną wyprawę Khumanosa do zburzonego miasta. Kapłan padł wtedy na kolana przed monolitem, jak gdyby oddawał mu cześć. Nic dziwnego, skoro był to wizerunek wyznawanego przez niego boga! Conan pamiętał swe rozmyślenia, jaki związek mogła mieć płaskorzeźba z losem pradawnego miasta i losem nieszczęsnych, zezwierzęconych potomków jego mieszkańców, żyjących w skalnych zwaliskach rzeczno-głazowego wąwozu.

Nagle Cymmerianin zorientował się, że Khumanosa nie ma już obok niego. Kapłan ponaglał wiernych, by szybciej pchali rydwany z segmentami posagu. Jego pomocnicy zaprzestali pracy, gdy płótna stanęły w płomieniach.

Conan wspominał, że Khumanos znosił wielkie trudy i niebezpieczeństwa, by trzy części rzeźby dotarły do Qjary oddzielnie, różnymi drogami. Cymmerianin ponownie zadumał się, dlaczego kapłanowi tak zależało, by odlewy nie znalazły się zbyt szybko obok siebie. Czyżby mogło stać się wówczas coś okropnego?

Jeżeli tak, to co? Czyżby Yb również nawiedził wielki bóg Wotanta? Jeżeli tak, to czy jego zstąpienie na ziemię było w skutkach dobroczynne – czy niszczycielskie? Conan przypomniał sobie złą sławę, otaczającą królów – kapłanów Południa, ich zroszone krwią bóstwa oraz zimną, nieludzką pogardę Khumanosa dla cierpień i chorób swych wiernych. Wszystko układało się w jedną całość, dość było złowieszczych znaków... Cymmerianinowi przyszła w tym momencie do głowy moc Afriandry i posępna, ognista natura jej ostatnich wizji.

Podczas gdy Conan rozpaczliwie starał się zebrać razem prowadzące do rozwiązania myśli, rydwany poczęły toczyć się na nowo. Zawrócono je przy pomocy dyszli, by można z tyłu zdjąć ich ładunki. Brakowało zaledwie kilkudziesięciu kroków, by można było połączyć segmenty posagu.

Pod nadzorem kapłana manewrowanie rydwanami przebiegało sprawnie. Dziesiątki chętnych dłoni pchały skrzypiące, zgrzytające pojazdy. Bezokie, poczerniałe od dymu łąby obracały się powoli nad tłumem, jak gdyby śląc mu zapowiedź nieszczęścia. Odwrócone rydwany zaczęły pchać tak, by zetknąć ze sobą części posagu.

Gdy pojazdy zaczęły toczyć się ku sobie, kolejna myśl przemknęła Conanowi przez głowę. Środek placu opróżniono z ludzi, by nic nie stało na przeszkodzie zbliżającym się rydwanom. W miejscu, gdzie miało dojść do połączenia trzech segmentów posagu, zaczęły pojawiać się osobliwe błyski i niesamowita poświata. Wirujący pył wzbijał się w falujące pod wpływem żaru powietrze. Conan miał wrażenie, że dostrzega niewyraźne, świetliste linie, sięgające od fragmentów rzeźby do miejsca przecięcia się ich dróg. Zaczynała się tworzyć tam kula rozmiotanej, nieziemskiej energii.

Cymmerianin czuł, że odlewy wydzielają bardzo dużo ciepła. Chociaż miał na sobie ciężki, gruby strój, czuł na twarzy i dłoniach bijące jak od pieca fale żaru ze strony najbliższego segmentu. Niektórzy z pchających rydwany ludzi cofali się przed intensywnym gorącem; wkrótce pozostali jedynie ci, którzy napierali na drewniane koła i pchali długi dyszel.

– Zatrzymajcie się! – Samotny głos, którego echo przetoczyło się nad Agora, był głosem osoby młodej, lecz brzmiało w nim zdecydowanie i stanowczość. Księżniczka Afriandra wyszła przed orszak kapłanek, sprzeciwiając się dopełnieniu napawającej ją obawami ceremonii. – Dość! Nie można dopuścić do tej parodii zaślubin! Nasza bogini nie potrzebuje męża – jakiegoś cudzoziemskiego tyrana, który odebrałby jej panowanie w Qjarze! Widzicie ten posąg! – zaapelowała do tłumu. – To nie jest cywilizowany bóg! Nie mężczyzna, kobieta czy chociażby zwierzę, lecz odrażający potwór! My, kapłanki Sady, nakazujemy wszystkim miłującym boginię powstrzymać tę ceremonię i wypędzić odpowiedzialnych za nią cudzoziemców!

Przy tych słowach księżniczka zerwała ze skroni wieniec kwiecisty i cisnęła go na ziemię. Podczas gdy była zamknięta w świątyni musiała przekonać pozostałe kapłanki, bowiem większość z nich – łącznie z Szarlą – dołączyła do niej, zrzucając wielobarwne girlandy tanecznymi, lecz pełnymi odrazy gestami.

Rodzice Afriandry, stojący u boku spiżowego posagu Jedynej Prawdziwej Bogini, zrazu nie zareagowali; zapewne zaskoczyła ich gwałtowność zachowania córki. Widzowie również nie wiedzieli, co czynić – zwłaszcza dlatego, iż wielkość zebranego tłumu uniemożliwiła usłyszenie słów księżniczki dalej stojącym

ludziom. Uwagę znacznej części ciżby odwróciły również toczące się rydwany i niesamowite świetlne zjawiska, nabierające siły nad środkiem Agory.

Chociaż większość Qjarańskich pomocników porzuciła rydwany, wielkie pojazdy jechały nadal do przodu dzięki wysiłkom paru tuzinów niedobitków pielgrzymki z Sarku. Migotanie łączących fragmenty rzeźby strug zagadkowej energii nasilało się; widoczne zwłaszcza blisko metalowych odlewów. Niesamowita poświata przykuwała spojrzenia widzów, widzących, że na przecięciu strumieni światłości tworzy się złowieszczy, niewyraźny kształt.

Wszystko to sprawiło, że po stronie Afriandry stanęli wyłącznie ci, których poparcie zapewniła sobie wcześniej: świątynni wojownicy. Szermierze równocześnie położyli dłonie na głowniach mieczy i z dźwięcznym okrzykiem ruszyli w stronę odlewów. Conan w duchu pogratulował księżniczce zdobycia ich pomocy, chociaż nie był pewny, czy swojej gorliwości i niechęci do obcych nie dadzą odczuć nie tylko Sarkanom, lecz i jemu. Cymmerianin zacisnął dłoń na rękojeści noża i czekał, co zrobią świątynni szermierze.

Nagle uwaga tłumu przeniosła się na Khumanosa. Kapłan odszedł od rydwanu, zatrzymał się z dłońmi uniesionymi w rytualnym geście w stronę miejsca spotkania fragmentów posągu i rozpoczął inwokację:

– Wotanto, Władco Pustyni! – zawołał. – Wzywamy, przyjmij naszą ofiarę! Dopełniliśmy wymaganych obrzędów, odprawiliśmy święte zaklęcia! Uczta jest gotowa! Już nic nie wstrzymuje cię przed zstąpieniem na ziemię i objawieniem się w swej nieskończonej chwale! Racz zstąpić ku nam, o Nienasycony! Tchnij swego ducha w święty posąg! Niech nasze ofiary zadowolą twe wszechpochłaniające usta! W zamian, wszechmocny Wotanto, błagamy jedynie o błogosławieństwo dla wiernego ci Sarku. Ześlij na nasze miasto żyzne deszcze, by wierni, którzy dożyli tego epokowego dnia, mogli przez następnych sto lat cieszyć się dostatkiem i składać ci należny hołd. O to, byśmy mogli doczekać następnej ofiary, błagamy cię, wielki Wotanto pod postacią Nienasyconego Drzewa!

16.

SĄD BOGÓW

Skończywszy przemowę, arcykapłan Khumanos opuścił dłonie i stanął na skraju otaczającego go tłumu.

Conan poczuł posępną pewność, że ofiarą, o której wspominał kapłan, była Qjara wraz z całą swoją ludnością. Niepojęta siła miała zetrzeć miasto na proch i pograżyć je w požodze, tak samo jak zostało zrównane z ziemią Yb. Cymmerianin odczuwał przemożną pokusę wyciągnięcia ilbarsyjskiego noża i sprawdzenia, czy w piersi Khumanosa kryje się bijące serce – lecz wiedział, iż byłby to daremny gest. Obecność kapłana nie była już potrzebna do spełnienia czaru. Fragmenty posągu zdawały się zbliżać do siebie za sprawą jakiegoś niesamowitego magnetyzmu, wlokąc za sobą fanatycznych, lecz całkowicie pozbawionych sił niewolników.

Pełen najgorszych przeczuć Conan stwierdził, że linie mocy między trzema częściami posągu stają się coraz wyraźniejsze w miarę zbliżania się masywnych odlewów do siebie. Mimo jaskrawego światła słońca, niesamowite emanacje majaczyły nad brukiem Agory jak rozciągnięte języki ognia. Między segmentami rzeźby rozpinała się coraz gęstsza sieć nie gasnących błyskawic. Na oczach zdumionych Qjaran pulsująca pajęczyna niezwyklej mocy krzepła w pustym na razie miejscu, które miały wypełnić łączące się fragmenty rzeźby.

Powoli zaczął tworzyć się w tym miejscu obraz, stopniowo wyłaniająca się z niebytu wizja... ogólny zarys tego, jak wyglądałby kompletny posąg. Conan zorientował się jednak, iż obraz rzeźby szybko powiększa się i zmienia kształt. Oto na ziemię zstępował Wotanta, odwieczny bóg Sarku i niezliczonych zrujnowanych miast, otaczany czcią i lękiem surowy, potężny Pan i Władca. Wotanta, znany najbardziej oddanym adeptom Swej świątyni jako święte, wieczne Nienasycone Drzewo.

Obraz z rozpętanej, niepohamowanej energii rósł, stawał się coraz wyraźniejszy. Sycił się płynąca ku niemu trzema zbiegającymi się kanałami energią, jak drzewo wchłania żywotne siły przez swe korzenie. Jego podstawę stanowiła płatanina jęzorów ognia, splatających się ze sobą jak węzłaste konary prastarego dębu. Nad nią piał się w niebo olbrzymi pień, przewodnik dla tryskającej w górę mocy. Jej szczyt... wkrótce podzielił się na wiele gałęzi. Zwieńczenie Nienasyconego Drzewa rozkwitło rozdymającą się na wszystkie strony

masą obłych, nieforemnych wypustek. Było ich o wiele więcej niż te sześć, które przedstawiono na posagu. Bezokie, pozbawione twarzy głowy opatrzone były tylko szeroko wyszczerzonymi, głodnymi paszczami, pochylającymi się groźnie ku mieszkańcom Qjary.

Widząc, że potworne paszcze stają się coraz bardziej rzeczywiste, Conan wyobraził sobie, jak buchają z nich kłęby dymu i płomieni. Niemalże czuł na twarzy ich gorący oddech – niezależnie od bijącego od fragmentów posagu żaru. Równocześnie do jego uszu doszło upiorne, na połę nierzeczywiste, dobiegające z oddali warczenie lub wycie. Był to odgłos furii Iłow demonów Drzewa – wątła uwertura do pandemonium hałasu, które miało rozpętać się po osiągnięciu przez wielogłowego ducha pełnych, boskich rozmiarów.

Potworny widok sprawił, iż jeden ze zbuntowanych świątynnych wojowników ruszył do działania. Wydobył miecz, zatarasował drogę jednemu z pracujących do przodu segmentów posagu i nakazał pchającym go niewolnikom zatrzymać go. Nim jednak zdążył wykrzyknąć swój rozkaz do końca, jedna z zacieśniających się wokół gigantycznego odlewu na połę widzialnych strug energii trafiła w niego lub w jego broń.

W oślepiającym fajerwerku ciało wojownika wyprężyło się, obramowane pełzającymi językami ognia. Po chwili zamieniony w pokurczony węzełek osmalonych kości i zwęglonego ciała nieszczęśnik runął na ziemię. Moc boga Wotanty sprawiła, że młody bohater zginął jak ćma w płomieniu świecy.

Wśród wywołanych potworną śmiercią młodzieńca okrzyków zgrozy, jego miejsce zajęło dwóch innych świątynnych wojowników. Starannie omijając strugi ognia, posuwali się ku miejscu, w którym się zbiegały. Równocześnie krzyczeli do trzech grup niewolników, by przestały pchać segmenty posagu. Musieli jednak zbliżyć się za blisko do środka sieci niesamowitej mocy, bowiem nagle samo otaczające ich powietrze zajęło się ogniem. Na chwilę zakryła ich triumfująca, nienasycona zasłona płomieni, po czym obydwaj runęli na ziemię jak marionetki z odciętymi sznurkami. Dymiące, na połę stopione grudy metalu – jeszcze przed chwilą ich miecze i hełmy – pograżyły się w ich zwęglonych szczątkach na osmalonych kamieniach Agory.

Pozostali wojownicy świątyni Sadyty znieruchomieli z przerażenia. Jedyne Conan znalazł w sobie dość siły woli, by pójść śladem trzech dzielnych mężczyzn. Oiziany w ciemny płaszcz z kapturem Cymmerianin wyglądał imponująco, lecz mało kto spoglądał w jego stronę. Niemal wszyscy utkwili wzrok w pnącym się ku niebu koszarze.

Conan zerwał z siebie opończę i odrzucił ją zamaszystym ruchem na bok. To wreszcie zwróciło na niego spojrzenia Qjaran. Cymmerianin miał pod płaszczem błyszczącą zbroję; hełm, pancerz i nagolenniki z najczystszej złota – ryszunek zaginionego Pronatosa lub jakiegoś mitycznego bohatera z jeszcze dawniejszych czasów, znaleziony w ładowni Kamiennego Okrętu, spoczywającego na pustyni z dala od Qjary. Wśród okrzyków oszołomionych mieszkańców miasta, barbarzyńca minął dymiące, żałosne resztki świątynnych wojowników. Niezliczone oczy przyglądały się, jak Cymmerianin wyciąga ciężki sztylet i z dzikim przekleństwem na ustach zbliża się do ognistego widma Nienasyconego Drzewa.

Ilbarsyjski nóż, chociaż poczerniały i wyszczerbiony ze starości, nadal stanowił doskonałą broń o dobrze wyważonym, starannie wypolerowanym ostrzu. Zaciskając dłoń na jego rękojeści, Conan zdał sobie sprawę, iż ten oręż może jednak nie nadawać się do walki z bóstwami ognia. Miał wrażenie, że przez ostrze noża przepływa pulsująca wokół wyrastającego przed nim fantomu niesamowita moc. Wiedział, że jeszcze chwila, a będzie musiał odrzucić parzącą broń lub zginąć w ogniu. Uniósł więc swe ostrze i z desperacją cisnął go w piekielne drzewo.

Nóż nie dosięgnął celu; gdy tylko Conan wypuścił go z dłoni, ostrze stopiło się... i wyparowało, nim płynny metal zdążył spaść na ziemię! Twarda stal zniknęła z sykiem, jak spadające na kowalskie palenisko krople wody.

Jak każdy śmiertelnik, Cymmerianin wyobrażał sobie, że podobny żar może istnieć wyłącznie w ognistym wnętrzu słońca. Los ilbarsyjskiego noża pozwolił mu jednak zdać sobie sprawę z czegoś bardzo istotnego. Złota zbroja – ozdobna zabawka, którą w bitwie przedziurawiłby celnie ciśnięty oszczep – chroniła go przed żarem ognistego wcielenia bóstwa. Na okrytych nią częściach ciała – tułowiu od szyi po pas i nogach od kolan po kostki – czuł chłód, pozwalający mu lepiej znosić przenikający w głąb trzewi, buchający od zjawy żar. Opuściwszy złotą przyłbicę hełmu, natychmiast poczuł ulgę dla opalonych brwi i zaciskanych kurczowo powiek. Myślał wyłącznie o znalezieniu odpowiedniej broni...

Uwagę Conana zwrócił ruch za jego plecami. Tuż potem coś uderzyło z łoskotem w bruk obok niego. Cymmerianin odwrócił się błyskawicznie i stwierdził, że osobą, która chciał mu przeszkodzić, był Khumanos. Kapłan podkradł się do barbarzyńcy z długim mieczem, leżącym teraz na kamieniach. Doskonała, chociaż wiekowa broń Khumanosa została wykuta z brązu oraz żelaza i pokryta grubą warstwą lśniącego, ciężkiego złota. Nie wiadomo, skąd arcykapłan wziął miecz, ani dlaczego wypuścił go z rąk, nim spróbował podstępnie uśmiercić bezbronno Cymmerianina. Sarkanin stał nieruchomo z uniesioną do piersi dłonią. We wzroku Khumanosa malował się nietypowy dla niego strach i oszołomienie. Arcykapłan zaciskał dłoń na rzemieniu na szyi, chociaż zniknął amulet, który tam zwykle nosił.

Conan podniósł miecz i popatrzył wrogo na Khumanosa. Powinien wypróbować wyważenie broni, rozcinając kapłana na pół, mimo iż jego nieprzyjaciel był nie uzbrojony. Zrezygnował z tego jednak, gdyż czekało go starcie z o wiele groźniejszym przeciwnikiem. Barbarzyńca ruszył ponownie w stronę lśniącego wcielenia złowrogiego boga Wotanty.

Szybko zdał sobie sprawę, że zyskany miecz jest idealnym dopełnieniem złotej zbroi. Brązowe ostrze nie przyciągało wirującej wokół upiornego mirażu pulsującej energii. Pokryta złotem rękojeść nie rozgrzewała się. Nie wiedział jednak, czy przy pomocy miecza można w jakikolwiek sposób zaszkodzić półprzeźroczystej zjawie.

Conan skoczył do przodu, by jak najkrócej wystawić się na działanie piekielnego żaru, i zadał potężny cios w pień potwornego drzewa. Rezultat był umiarkowanie zachęcający. Chociaż ostrze przeszło na wylot przez Nienasycone Drzewo, Cymmerianin wyczuł jedynie słaby opór, jakby przegarniał miotłą gęste pajęczyny. Niezwykła materia, z której utworzył się boski wizerunek, zawirowała w miejscu przecięcia, rozbłysła świetlistymi pasmami i po chwili powróciła do pierwotnego stanu.

Nad głową Conana rozległo się głośnie wycie – wrzask zduszonego bólu i wściekłości jednego z piekielnych owoców. Gdy Cymmerianin odskakiwał od buchającego żarem Drzewa, parę monstrualnych łbów skłoniło się ku niemu z warczeniem i ohydny grymasami. Poczul na szyi i ramionach ich rozpalony oddech, lecz natychmiast wykorzystał okazję. Wymierzył kilka zamaszystych ciosów w potworne narośle. Drzewo jak gdyby skręciło się i zawyło przenikliwie z bólu; a żarłoczne paszcze rozpląnęły się w powietrzu na oczach Cymmerianina.

Conan parokrotnie odskakiwał i dopadał do materializującego się wcielenia żywego boga, rąbiąc i dżgając nienasycone paszcze. I chociaż miraż nie krwawił i najprawdopodobniej w ten sposób nie można było go uśmiercić, przynajmniej zdawało się, że ciosy miecza sprawiają mu ból i powstrzymują jego materializację.

Mimo to Nienasycone Drzewo rozrastało się coraz bardziej, zasilane energią ze zbliżających się segmentów posągu. Trzy odlewy znajdowały się już w odległości kilku kroków od siebie, nadal popychane przez wynędzniałych, pokrytych ohydny wrzodami niewolników Khumanosa.

Tymczasem do walki z żywym wcieleniem Wotanty włączyli się również Qjaranie, przede wszystkim świątynni wojownicy. Nie mając zbroi, pozwalających zbliżyć się do buchającej żarem zjawy, a bojąc się także podzielić los swoich towarzyszy, zwrócili się przeciwko popychającym odlewy nieszczęśnikom. Odciągali ich do wozów i powalali na bruk, starając się nie dopuścić do połączenia części monumentu. Do szarpaniny z niewolnikami włączyła się również księżniczka Afriandra, jej dworki i kilku postronnych widzów. Obejrzawszy się na moment przed zadaniem kolejnego ciosu, zlany potem Conan dostrzegł, że nawet grupka wyrostków pod wodzą Ezrela ciska kamienie w szartumskich niewolników.

Bijący od segmentów posągu obezwładniający żar utrudniał jednak walkę Qjaranom. Olbrzymie odlewy gorzały jaskrawym zielonym blaskiem, pulsującym w tym samym rytmie, co łączące je strugi niesamowitej energii. Deski wozów zaczęły dymić, pod wpływem nieziemskiego gorąca pomalowane drewno pokrywało się rosnącymi czarnymi plamami.

Pielgrzymi z Sarku i Szartumu w białych opończach znosili jednak żar z nadnaturalną wytrzymałością. Powaleni na bruk, podnosili się i wracali do znojnego trudu jak ożywione czarami, wysuszone szkielety. Mocujący się z nimi ludzie ledwie byli w stanie przyskoczyć do któregoś z wozów i odciągnąć jednego z podwładnych Khumanosa. Pozostawanie w pobliżu fragmentów posągu dłużej niż przez chwilę groziło oślepieniem od żaru i potwornie bolesnymi oparzeniami.

Conan czuł, że wysiłki Qjaran były skazane na niepowodzenie. Nawet gdyby nikt nie pchał wozów, nawet gdyby połamano ich koła, fragmenty posagu nadal sunęłyby przez Agorę, wiedzione potężną mocą zstępującego na ziemię Wotanty. Odcinanie paszcz Nienasyconego Drzewa wydawało się równie beznadziejne. Wielki pień stawał się coraz grubszy, a w koronie Drzewa coraz to nowe łby pojawiały się szybciej, niż Cymmerianin je ścinał.

Barbarzyńca czuł, że słabnie. Coraz trudniej było mu spoglądać w oślepiający miraż i wdychać rozpalone, dławiące powietrze. Dudniło mu w uszach od narastającego, ogłuszającego wycia. Piekielny żar bił przede wszystkim od podstawy okrągłego pnia; dolna część zjawy zamieniła się praktycznie w półkulę rozszalałego ognia. Conan czuł, że tu właśnie wschodzi ziarno zagłady Qjary, z tego właśnie nasienia miało się wylęgnąć żywe wcielenie boga na tym świecie, stąd właśnie miał po zlanu się ze sobą trzech segmentów posagu wyruszyć na przechadzkę po Ziemi odrodzony Wotanta. Cymmerianin nie mógł jednak sięgnąć mieczem ognistej kuli, tak jak nie byłby w stanie dotknąć dłonią rozpalonego słońca. Żar był zbyt silny. Conan nie mógł nawet odrzucić miecza, bowiem zastawiał się nim przed sięgającymi co chwila w stronę nie osłoniętych części jego ciała jęzorami płomieni. Mimo bitewnej furii, był zmuszony krok po kroku cofać się przed niepomowanym, zaborczym ogniem.

W pewnej chwili zdawało się, że jego los jest przesadzony. Sfora wyszczerzonych ognistych paszczy na błyskawicznie wydłużających się, piekielnie giętkich szyjach spadła ku niemu z góry tak szybko, iż zdołały go otoczyć. Cymmerianin niemal ogłuchł od ich potępieńczego wrzasku. Gdyby upadł pod wpływem ich niemilosiernie palących oddechów, w jednej chwili zostałyby z niego dymiący żużel.

Zaczął rozpaczliwie wymachiwać mieczem, starając się odepchnąć lub odciąć sięgające ku niemu koszarne głowy. Gorączkowo skakał na wszystkie strony, jak starający się wydostać z rozgrzanej płyty paleniska pajak. Ogniste jęzory potworów lizwały jego skórę i odbijały się od zbroi. Strawione płomieniami rzemienie i sprzączki z pospolitych metali przestały podtrzymywać części rynsztunku; nagolenniki i pancerz opadły na bruk. Ogień otoczył kończyny Cymmerianina, pnąc się ku jego nie osłoniętemu gardłu i korpusowi...

W tym momencie rozległ się ogłuszający huk. Wyszczерzone paszcze poderwały się w górę, buchając płomieniami i wydając okrutne, potępieńcze jęki. Atak Nienasyconego Drzewa ustał. Cofając się, Conan zrozumiał, co się stało.

Podstawę monstrialnego Drzewa, tam, gdzie tworzyła się rozdęta ognista kula, przeszywał długi metalowy pręt – gruby trzon wbitej skośnie w ziemię włóczni. Niesamowity ogień gasł, jak gdyby coś pożerało go od środka. W świetlistej masie upiornej rośliny pojawił się ziejący otwór – próżnia bardziej zachłanna od Nienasyconego Drzewa. Na oczach Conana i Qjaran szybko pochłaniała ona niesamowity, niszczycielski miraż.

Odrażające wycie głów Drzewa stało się cichsze; brzmiała w nim nie tyle groźba, co zawód i rozpacz. Upiorny obraz skurczył się, jak gdyby zabrakło podsycającej go ognistej energii. Żywe wcielenie Wotanty malało, ginęło...

Conan nie wiedział, skąd wzięła się wielka włócznia, która najwyraźniej uśmierciła Nienasycone Drzewo. Była wykonana z miękkiego metalu, najprawdopodobniej ołowiu, i jakimś cudem nie stopiła się mimo żaru. Na poły nieświadomione podejrzenie kazało mu obejrzeć się w stronę brązowego posagu Sadyty. Z dreszczem zauważył, że bogini jak gdyby w pozdrowieniu wzniosła dłoń... pustą, bez trzymanego w niej przedtem oszczepu.

Wcielenie boga niemal zniknęło. Ogniste drzewo skurczyło się do rozmiarów krzaka – rozmigotanej, niegroźnej pustynnej fatamorgany. Otaczające je wozy z fragmentami posagu nagle stanęły w płomieniach i znieruchomiały. Gdy ogień strawił drewnianą oś rydwanu, jeden z odlewów runął w bok, miażdżąc kamienie bruku. Dwa pozostałe segmenty osunęły się na ziemię z łoskotem; buchnęły spod nich kłęby gorejącego jeszcze popiołu. Ci z niewolników, którzy nie dali oderwać się od wozu, przypłacili to śmiercią w płomieniach. Wyszuszający żar pustyni sprawił, że ich wycieńczone ciała przypominały pergaminowe worki z kośćmi, teraz zaś ogień zamienił je błyskawicznie w kopczyki zwęglonych kości i roznoszonego w powietrzu luźnego popiołu. Nim to się stało, nienasycony bóg, któremu złożyli w ofierze życie, zniknął z powierzchni ziemi, nie zdoławszy na nią na dobre zstąpić.

Conan tymczasem zsunął z siebie resztki zbroi i zdarł tłącą się koszulę. Afriandra przyniosła z królewskiej trybuny wielobarwną szatę, by mógł okryć

swoją nagość.

– Twoja wizja okazała się prawdziwa – powiedział poważnie Cymmerianin. – Na szczęście ochroniła mnie złota zbroja... Po śmierci boga czarnoksiężskie płomienie musiały stracić moc. Prawie nie mam oparzeń...

Nagle zauważył cofającego się na czworakach ku skrajowi tłumu Khumanosa. Zniknęła władca, wyniosła poza kapłana;

Sarkanin zatrzymał się nad lśniącem ostrzem, za pomocą którego Conan zaatakował Nienasycone Drzewo.

– Miecz Onotymantosa – stwierdził Khumanos z zadumą, sięgając dłonią do rzemienia na szyi. – Znów jest cały... a ja...

Przeniósł spojrzenie z Cymmerianina na księżniczkę i nagle wybuchnął płaczem, po czym pełen pokory odwrócił się w stronę posągu Sadyty. Z wyschniętego gardła kapłana dobyło się stłumione łkanie; ze szlochem ukrył twarz w dłoniach.

– Niejedno zaklęcie straciło dzisiaj swą moc – zauważył Conan.

Afriandra nie odpowiedziała. Zamiast tego, przyklęknęła przy zrozpaczonym kapłanie, by go pocieszyć.

– Dane nam było dożyć dnia cudów! – rozległ się kobiecy głos za plecami Cymmerianina. Mówiła królowa Regula. – Wspaniałego, niezapomnianego dnia, w którym Sadyta dała nam dowód swej boskiej łaski i własną dłonią ocaliła wierne jej miasto przed straszliwym niebezpieczeństwem!

– Zabijając na ołtarzu swojego przyszłego małżonka? – zawołał Conan, otulając się ciasniej królewską szatą.

– Tak jest! – zawołała zapalczywie arcykapłanka. – Skorzystała z przysługującego każdej kobiecie prawa wyboru. Czyniąc to, uchroniła swoich wiernych przed okrutnym panowaniem nieczułego bóstwa!

– Istotnie, panowanie Wotanty nie byłoby może łaskawe – lecz za to krótkie – przytaknął Conan ponuro, oglądając się na posąg Jedynej Prawdziwej Bogini. – Czy to Sadyta rzuciła włócznię?

– Och, bez wątpienia! – zapewniła królowa. – Nie dane mi było tego widzieć, gdyż zeszałam z królewskiej trybuny. Jestem jednak pewna, że setki, a nawet tysiące zebranych tu ludzi zaświadczy, iż to uczyniła!

– Zatem tak właśnie musiało być – przytaknął Conan bez sprzeciwu. – Nie tylko to jest znakiem boskiej pomocy... również pałasz, którym walczyłem z Wotantą.

Podniósł z ziemi broń, nazywaną przez Khumanosa Mieczem Onotymantosa.

– Oraz twoja obecność i fakt, że się nim posłużyłeś! – rozległ się serdeczny głos Semiarchosa, który dołączył do królowej. – Niegdyś byłeś wyrzutkiem, a dziś jesteś nieustraszonym bohaterem w lśniącej zbroi. Czy przypadkiem nie wygrzebałeś jej na pustyni?

– Owszem, panie. To jedyny skarb z Kamiennego Okrętu – odparł Conan, wskazując leżący na bruku pancerz. – Odnalazłem resztki wyprawy twojego wuja, chociaż nie bogactwo, które zdołał odszukać. Kazałem zbrojmistrzowi wymienić sprzączki i rzemień, bo chciałem przedstawić ci ten ryzsztunek jako dowód prawdziwości moich słów. Ucierpiał jednak podczas walki...

– Nieważne! To wspaniałe znalezisko! Zasłużyłeś sobie na nie po wielokroć, lecz jeśli zechciałbyś mi je odsprzedać, zapłaciłbym ci godziwą cenę...

– Ponieważ zbroja okazała się tak przydatna dzisiejszego dnia, sądzę, że Cymmerianin odnalazł ją nie przypadkiem, lecz za sprawą woli Sadyty – wtrąciła się Regula. – Zadziwiające, że pancerz i miecz, pochodzące z tak niesamowitych i niezwykłych źródeł posłużyły do walki w obronie Qjary człowiekowi, którego wyszydzano i unikano, okrzyknięto bluźniercą i wypędzono z miasta...

– Nie zwykłem żywić uraz – oświadczył Conan. – Skoro tego pragniesz, pani, jestem gotów przyjąć twoje przeprosiny za złe traktowanie, które mnie tu spotkało...

– Przeprosiny są zbędne – zapewniła go pospiesznie królowa. – Najwyraźniej to, co się stało, należało do wielkiego planu Jedynej Prawdziwej Bogini, w którym zwykłym śmiertelnikom przypada rola posłusznych pionków. – Regula poprawiła fałdy obszernej szaty na swym posagowym ciele. – Chciałam tylko pokazać, jak dalekosiężne są zamysły Sadyty i jak zdumiewające, a niejednokrotnie zagadkowe mogą być ich skutki.

– Och, droga Regulo – zaprotestował Semiarchos. – Winna jesteś Cymmerianinowi nieco szacunku. – Król Qjary wykazał się monarszym taktem, uśmierzając irytację wpatrującego się chmurnym wzrokiem w arcykapłankę Conana. – Skoro cudzoziemiec był tylko nieświadomym instrumentem woli Sadyty, okazał się przynajmniej przednim, nieugiętym narzędziem! Dał dowód wspaniałego hartu ducha i dzielności,

na pewno milej bogini. Niewątpliwie Sadita życzyłaby sobie, byśmy szczerze wynagrodzili go za jego wysiłki.

– Och, naturalnie – przyznała arcykapłanka, przyglądając się uważnie barbarzyńcy. – Dał godny naśladowania przez naszych wiernych pokaz poświęcenia i wytrzymałości. Jestem pewna, że gdyby zechciał służyć świątyni Jedynej Prawdziwej Bogini i nauczyć się podstaw duchowej posługi, mógłby zająć w przyszłości wysokie stanowisko, może nawet takie, jak nasz nieżyjący bohater Zajus. – Regula błyskawicznie przeniosła spojrzenie z Conana na Afriandrę i z powrotem. – Istotnie, mógłby zająć bardzo wysoko...

– Składam wam obydwójgu serdeczne podziękowania, lecz mimo wszystko zamierzam opuścić Qjarę – powiedział spieszenie Conan, przenosząc spojrzenie na klęczącą przy Khumanosie Afriandrę. Nie zważając na otoczenie, księżniczka otoczyła ramieniem trzęsącego się, pogrążonego we łzach, przyznającego się drżącym głosem do swych przewin kapłana. Cymmerianin mówił dalej, wodząc wzrokiem po kręgu mieszkańców miasta, którzy otoczyli panującą parę: – Zostanę jeszcze parę dni, żeby pomóc wam pozbyć się tego ohydneho posągu. Ostatecznie brałem udział w jego przywiezieniu. – Wskazał promieniujące nadal zielonkawą, roślinną poświatą segmenty Nienasyconego Drzewa. – Twierdzę, że tę okropność trzeba zakopać pod piaskami pustyni – każdy fragment oddzielnie w ten sposób, by wasze miasto nie było objęte ich potwornym oddziaływaniem. – Król przytaknął słowom Cymmerianina, co wywołało głosy zadowolenia ze strony tłumu. – Tak czy inaczej, mogę wam służyć do czasu, gdy do Qjary dotrze pierwsza zmierzająca na północ karawana. Jeżeli chcecie, zapłaćcie mi godziwą cenę za tę zbroję. Za magiczny miecz również; doskonale nadaje się na broń waszej bogini, chociaż jak dla mnie jest źle wyważony. Dzięki temu mógłbym należycie się wyekwipować i wjechać z klasą do Szadizaru!

EPILOG

W mieście Sark nastąpiły dni bogate w wydarzenia. Najpierw ogłoszono świętą misję do Qjary; z powodu suszy i towarzyszących jej trudów, potraktowano ją jako próbę odzyskania łask wielkiego boga Wotanty. Zorganizowanie pielgrzymki oznaczało zaciąg licznych ekip żołnierzy i robotników oraz podjęcie dyplomatycznych starań, związanych z wizytą króla Anaksymandra na północy.

Później rozeszły się wieści o wybuchu wulkanu w górach za Jeziorem Szartumskim. Przez wiele tygodni obserwowano zaciemniające południowy nieboskłon olbrzymie pióropusze dymu i pyłu. Po pierwszym kataklizmie nastąpiła seria trzęsień ziemi w tej samej stronie. Musiały być zaiste niesłychanej siły, skoro grunt drżał nawet pod pałacami w samym Sarku.

W końcu nastąpiły deszcze. Pewnego szarego, mdłego poranka z nieba bez ostrzeżenia poczęła padać drobny deszcz. Trwał bez ustanku przez wiele dni, grożąc wystąpieniem rzek z brzegów, przepełnieniem zbiorników, gwałtownymi powodziami i wymywaniem gruntów. Mimo to deszcze odebrano jako oznakę boskiego błogosławieństwa, łaskę niebiańskiego pana, potwierdzającą wiarę ludu w jego dobroć. Mieszkańcy miasta wylegli tańczyć na ulicach, po których niewiele wcześniej snuli się bez nadziei i padali z wyczerpania. Sark ogarnęła euforia.

Chociaż zapasy żywności były skąpe, świętowano beztrósko i obiecywano sobie po nadchodzących latach bogatszych zasiewów i plonów.

Król Anaksymander pozwolił swojemu ludowi swobodnie świętować – lecz do czasu. Deszcze uniemożliwiały poddanym pracę, władca zaś wolał nie informować ich o gotowanych im nowych trudach i obowiązkach. Korzystając z niespodziewanej łaskowości bogów, monarcha pragnął zaprowadzić w swojej domenie surowszy porządek i podjąć nowe podboje. Sądził, że po okresie uciech bez trudu weźmie motłoch w karby.

W owych dniach Anaksymander był w niemal łaskawym nastroju, aczkolwiek nie otrzymał żadnych bezpośrednich wieści z Qjary. Martwił się, że nie powróciło dwóch adeptów, którym powierzył zadanie obserwowania wydarzeń w znienawidzonym grodzie, lecz podejrzewał, że mogli oslepnąć lub postradać rozum, ujrawszy na własne oczy zstąpienie mściwego bóstwa. Gdyby zaś opieszałość wysłanników była spowodowana lenistwem czy popełnionymi przez nich błędami, po powrocie srogo pożałowaliby swej niedbałości.

Trudno było orzec, czy trzęsienia ziemi i smugi dymu na widnokręgu były rzeczywiście wywołane przez objawienie się boga Wotanty na ziemi. Dygotanie gruntu i dobiegające z jasnego nieba gromy mogły istotnie stanowić echo

tytanicznych kroków boga i miotanych przez niego piorunów. Anaksymander pragnął, by tak właśnie było w istocie.

Król martwił się również, jaki wpływ wywrą wybuchy wulkanów na odziedziczone po jego przodkach kopalnie i kuźnie w południowej prowincji. Liczył jednak, że przy odrobinie szczęścia jego następcy nie będą musieli korzystać z nich przez następne tysiące lat.

Mimo tych drobnych zmartwień, Anaksymander był w gruncie rzeczy pewny, że wysłana przez niego misja zakończyła się sukcesem. Łagodne deszcze stanowiły niewątpliwą oznakę łaskawości niebios, przypomnienie o szczodrości Wotanty. Mżawka była równie ciepła i delikatna, jak krew monarchów i biedaków. Zaspokojony bóg to szczodry bóg, powtarzał sobie król Sarku; napawało go to otuchą co do przyszłości miasta.

Jak gdyby na potwierdzenie żywionych przezeń nadziei, po pewnym czasie z Qjary dotarł symbol poddańczego trybutu. Przywieziono go na sześciokołowej, zaprzężonej w muły platformie. Woźnice i towarzyszący im piechurzy złożyli Anaksymandrowi dostatecznie korny hołd, nim wyruszyli w drogę powrotną. Wysłannicy niewątpliwie wyruszyli z Qjary tuż przed zstąpieniem Wotanty; po dotarciu do rodzimego grodu czekała ich sroga niespodzianka.

Na dołączonym do prezentu zwoju, zapisanym zgrabnym pismem Khumanosa, widniały królewskie pieczęcie bufona Semiarchosa i jego aroganckiej pomocniczki, Reguli. Podarunkiem było masywne, kunsztownie kute łoże z brązu, okute złotą blachą. Dołączono do niego materac z delikatnego puchu, dopasowany do wielkości ramy, przez którą rozpięto siatkę z wiązanych rzemieni. Był to zaiste dar godny monarchy. Wygodniejsze od pryczy, w której zwykle sypiał Anaksymander, sprezentowane łoże trąciło nadmiernym luksusem. Wszelako nieustanne deszcze sprawiły, że w pałacu króla Sarku zapanowały chłód i wilgoć, dlatego też monarcha postanowił przynajmniej na razie pofolgować zachciankom ciała. Zarządził, by wstawiono łoże do jego komnaty sypialnej.

Najwspanialszą cechą łoża zdawały się być jego unikalne ozdoby. Wszystkie cztery narożniki wieńczyły osobliwe szlachetne kamienie wielkości pięści. Półprzejrzyste zielone klejnoty lśniły w mroku własnym światłem. Anaksymander był zauroczony sposobem, w jaki przenikały się rzucane przez nie cienie. Wyciągnąwszy się na łożu i uniósłszy przed siebie dłoń, władca niemalże czuł przenikające ją strumienie płynącej z klejnotów energii.

Nowy arcykapłan, który poświęcił łoże, nie podzielał w pełni entuzjazmu króla. Władcą świątynnej hierarchii został naiwny, młody adept – najbardziej sentymentalny i naiwny, jakiego dane było oglądać Anaksymandrowi. Król odprawił go wkrótce, ogłaszając, że ma ochotę wcześniej udać się na spoczynek.

Monarcha pozwolił się rozdziać swym niewolnicom, lecz gdy jedna z nich lękliwie przycupnęła na skraju łoża, odtrącił ją ze zniecierpliwieniem. Odesłał wszystkie kobiety, nawet parę służących o bujnych piersiach, które wachlowały go liśćmi palm. Wyciągnął się wygodnie na miękkiej, jedwabnej pościeli. Tej nocy czekał go głęboki sen w ciepłym łożu.